

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO

ISSN 2719-9096

NR 3 (11) / 2023

O S T O J A

BERLIN – WARSZAWA – WILNO

CZASOPISMA SPOŁECZNO-KULTURALNE



**WOJNĄ
1939-1947**



**CZESŁAWA CHRZANOWSKA LAT 2
ZAMORDOWANA W ŁÓŻECZKU PRZEZ
UKRAIŃSKICH BANDYTÓW**

**MAKOPOLSKA
WSCHODNIA**

**11 LIPCA NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI OFIAR LUDOBÓJSTWA
DOKONANEGO PRZEZ UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW
NA OBYWATELACH II RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**

W imię miłości

IRENEUSZ ST. BRUSKI



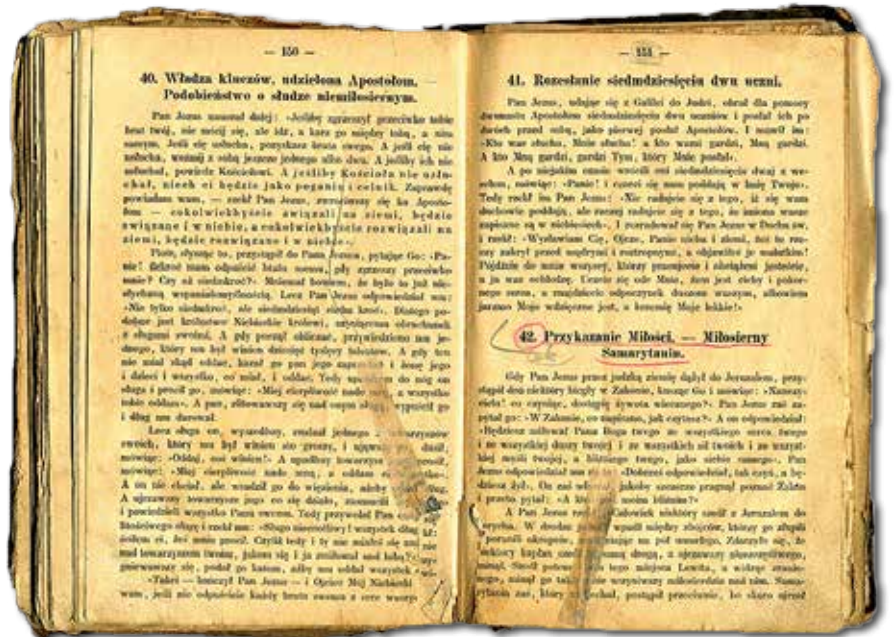
Przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, skreślona przez Łukasza Ewangelistę a wydrukowana w rodzinnej *Biblii* Ulmów, stanowiła dla Józefa i jego małżonki Wiktorii szczególnie przesłanie na drodze codziennego życia. Mogą o tym świadczyć choćby zakreślenia uczynione ręką czytających oraz krótki, ale ile mówiący, dopisek: „Tak”.

Na stronie 151 i następniej Ulmowie sięgali do przypowieści... Pewien człowiek schodził z Jeruzolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na półumarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął. Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiązał do gospody i pielegnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: „Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał”. Któryż z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców? On odpowiedział: „Ten, który mu okazał miłosierdzie”. Jezus mu rzekł: „Idź, i ty czyni podobnie!” (Łk 10,30nn).

W duchu przesłania wypływającego z biblijnej przypowieści, Ulmowie w trzecim roku trwającej wojny otworzyli drzwi swojego domu i przyjęli swoich sąsiadów. Ośmioro Żydów, prześladowanych przez niemiecki reżim, znalazło gościnę. Ich dom stał się tą ewangeliczną gospodą, w której był goszczony i doświadczył opieki pogardzany i odrzucony człowiek.

Ten gest Józefa i Wiktorii był świadectwem odważnego życia wiarą i jej wyznawania, wyrazem wierności Bożemu przykazaniu. Był wyrazem opiekuńczej troski, bez której – jak wyraził kard. Marcello Semeraro podczas Beatyfikacji w Markowej – człowiek zawodzi.

Historia Ulmów z Markowej – napisano we wstępie do albumu Mateusza Szyptmy pt. *Sprawiedliwi i ich świat w fotografii Józefa Ulmy*, wydanego z okazji Beatyfikacji – to okupacja niemiecka w pigułce: brutalność sprawców, zagłada Żydów, heroizm i eksterminacja ludności polskiej.



Pismo Święte należące do rodziny Ulmów FOT. © KOLEKCJA RODZINNA ZOFII SAGAN

Ale to, co stało się w marcu 1944 roku w tej podkarpackiej wsi, to nie tylko przykład krzyczącej krzywdy i niesprawiedli-

wości, lecz także dowód na to, do jak wielkiego heroizmu zdolny jest człowiek. Wszak niczym miłosierny Samarytanin



z przypowieści – Józef i Wiktorja zdecydowali się udzielić pomocy ludziom innej narodowości i wiary. Chrystusowy nakaz miłości bliźniego znaczył dla nich więcej niż kara śmierci grożąca Polakom za pomoc Żydom. Za tę chwalebłą postawę zapłacili tym najcenniejszym, całkowitym darem z siebie w imię miłości bliźniego. ■

„Dziś w Markowej w Polsce beatyfikowano męczenników Józefa i Wiktorię Ulmów wraz z ich siedmiorgiem małych dzieci. Cała rodzina została zgładzona przez nazistów 24 marca 1944 roku za udzielenie schronienia kilkorgu Żydom, którzy byli prześladowani. Nienawiści i przemocy, które charakteryzowały tamten czas, przeciwstawili miłość ewangeliczną. Ta polska rodzina, która stanowiła promyk światła w mrokach II wojny światowej niech będzie dla nas wszystkich wzorem do naśladowania w dążeniu do dobra, w służbie potrzebującym. Brawa dla tej rodziny! Za ich przykładem pocujemy się wezwani do przeciwstawienia sile oręża – moc miłosierdzia, retoryce przemocy – wytrwałość w modlitwie. Uczynimy to nade wszystko dla bardzo wielu krajów, które cierpią z powodu wojny...

Franciscus

- 3** Duda: Cześć i chwała bohaterkiej rodzinie Ulmów
- 4** Wiktoria i dzieci w obiektywie Józefa Ulmy
- 5** Szpytma: Błogosławieni Sprawiedliwi
- 8** Ulmowie są symbolem wszystkich Polaków zamordowanych za pomoc Żydom. Rozmowa z Mateuszem Szpytmą
- 12** Franciszek PP: Ludzkość na rozdrożu: obojętność czy braterstwo?
- 13** Marseille Espérance
- 14** Urbankowski: Wolność, którą prawie miały w rękach...
- 20** Karaś: Satyrykom bezrobocie nie grozi
- 23** Fryz: Porzucić świat absurdów
- 24** Walczak: Memoriał Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich
- 28** Łubczyk: Dlaczego to robił? Rzecz o Henryku Sławiku
- 36** Mieszczanek: Ożarowski dworek
- 40** Brzezicki, Sajnog: Mydło z ludzi
- 40** Apel o upamiętnienie zbrodni na Polakach
- 41** Nitek-Płażyńska: #AkcjaWola
- 42** Paszkiewicz-Jägers: Zadanie na resztę życia
- 46** Bruski: Ostatni obraz van Gogha
- 50** Królikowska-Avis: Imigranci, emigranci, migranci – skąd się wzięli?
- 52** Skuteczna odpowiedź na kryzys emigracyjny
- 53** Piórem Ernesta Brylla: Dzielą nas
- 54** Bartkowski: Och, Tunezjo!
- 60** Laureaci Nagrody im. Witolda Hulewicza za rok 2023
- 62** Młody Duch Tańca w Poznaniu w obiektywie Eweliny Jaśkowiak
- 63** Kociołkowska: Młody Duch Tańca 2023
- 64** Sztuka na koniec świata
- 65** Sztumski: Fotografia daje mi wolność
- 66** Człowiek wielu talentów, zasług i idei. Bohdan Urbankowski (1943-2023)
- 68** Bohdan Urbankowski we wspomnieniach Marka Mokrowieckiego
- 70** Peter Raina okiem berlińskiej Rezydentury MSW
- 72** Kabaret Małgorzaty Todd
- 74** Piórem Stefana Truszczyńskiego
- 77** Goldmann: Cichym bohaterem II wojny światowej
- 78** Wyprawka dla polskiego Orłęcia w Kazachstanie
- 78** Polakom na Białorusi
- 78** Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku



■ 3



■ 12



■ 14



■ 24



■ 28



■ 42



■ 50



■ 53



■ 62



■ 66

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
 BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096
 CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

- **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527
11-041 Olsztyn, ul. Kardynała Hozjusza 12/3, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
- **KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Ernest Bryll, Dobrochna Bugiera (DTP), Bożena Kociołkowska, Radosława Pieniężna-Grabowska, Peter Raina, Kazimierz Świągocki, Stefan Truszczyński
- **STAŁA WSPÓŁPRACA:** Andrzej Bartkowski, Marzena Burczykcka-Woźniak, Wojciech Gołjat, Ełżbieta Królikowska-Avis, Anna Mendakiewicz, Anna Mieszczanek, Jerzy L. Okuniewski, Jakub Pańków, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota, Lech L. Przychodzki, Zbigniew Sajnog, Krystyna Stasiewicz, Konrad Sutarski, Jan Tetter, Małgorzata Todd, Bohdan Urbankowski
- **DRUK:** BookPress
- **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, 00-722 Warszawa, ul. Podchorążych 41/7
- **KONTO:** Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906

NA OKŁADCE

- I strona:** Rodzina Ulmów, KEP 2023 ©
- IV strona:** Henryk Cirut, *Dendroformy* z cyklu *Malarstwo warmińskiego lasu*, 2019 ©

W związku z nieprzyznaniem przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowania czasopisma „Ostoja. Sztuka • Literatura • Społeczeństwo”, niniejszym kierujemy prośbę do naszych niezawodnych Czytelników o wsparcie druku kolejnych edycji pisma. Darowizny można przekazywać na konto Wydawcy „Ostoi”: Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906; tytuł przelewu: „Darowizna na cele statutowe”.

Cześć i chwała bohaterskiej rodzinie Ulmów

Uroczystość [wyniesienia na ołtarze polskiej rodziny, rodziny Wiktorii i Józefa Ulmów wraz z ich dziećmi], z jednej strony ma głęboki wymiar duchowy związany z naszymi przekonaniami religijnymi, naszą wiarą, naszymi także zobowiązaniami z tej wiary wynikającymi. Ale ma także ogromnie ważny wymiar państwowy z punktu widzenia podkreślenia w sposób dobitny, instytucjonalny prawdy historycznej o czasach niemieckiej hitlerowskiej okupacji polskich ziem w czasie II wojny światowej, o ówczesnym zbrodniczym niemieckim prawodawstwie na tej ziemi, które to prawodawstwo było podstawową przyczyną tej tragedii. I tej straszliwej zbrodni, jaka została popełniona na polskiej rodzinie. To niezwykle ważny aspekt w sensie historycznym, faktograficznym i właśnie państwowym.

W 1939 roku Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę. Uczynili to na mocy porozumienia z Rosją Sowiecką, ze Stalinem, paktu Ribbentrop – Mołotow. W efekcie jeszcze w wrześniu 1939 roku Polska została rozdarta pomiędzy dwa totalitarysty niemiecki hitlerowski nazizm i sowiecki komunizm. Polska zniknęła z mapy. Na okupowanym przez Niemców terenie nie było żadnych polskich władz. Chcę to z całą mocą podkreślić: nie było żadnych polskich władz, które kolaborowałyby z hitlerowskimi Niemcami w okresie II wojny światowej. Nie było żadnego kolaboracyjnego polskiego rządu, nie było także żadnych niemieckich formacji wojskowych, w których służyliby w sposób zinstytucjonalizowany Polacy. Nie było takich formacji, żadnych, ani w SS, ani w żadnej innej.

Można zadać pytanie, jak to się stało, i na pewno zadaje je sobie wielu ludzi na świecie. Jak to się stało, że ZA pomoc Żydom, których, jak wiadomo, Niemcy chcieli zniszczyć, wymordować, unicestwić jako naród, zginęła cała polska rodzina. Rodzice Wiktorii i Józef i wszystkie jej dzieci, wszyscy mieszkańcy tego gospodarstwa, wiejskiej chaty, tego gospodarstwa, w którym ukrywanych było ośmioro Żydów Saul Goldman wraz z czterema synami oraz spokrewniona z nim Gołda Gruenfeld, a także Lea Didner wraz córką Reszlą. Jak to się stało, że wszystkich zamordowano? Otóż oczywiście sprawą jest, że Niemcy chcieli unicestwić naród

żydowski. Tak było na wszystkich przez Niemców okupowanych ziemiach, w szczególności w Polsce, gdzie Niemcy nie tylko w sposób bezwzględny mordowali ludzi narodowości żydowskiej, polskich obywateli narodowości żydowskiej w szczególności, i w czasie II wojny światowej ogółem zamordowali ich 3 miliony. Tylko Żydów obywatelstwa polskiego. Trzy miliony.

Ale także stworzyli tutaj swój niemiecki nazistowski przemysł zagłady w postaci obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, takich jak Auschwitz Birkenau, takich jak wiele innych. Ale ustanowili także zbrodnicze prawodawstwo, które było bez precedensu na innych okupowanych ziemiach. Nie było takiego niemieckiego prawodawstwa w okupowanych przez Niemców krajach Europy Zachodniej. Ani we Francji, ani w Belgii, ani w Holandii, także okupowanych, nie było kary śmierci dla całej rodziny za pomoc Żydom w ukrywaniu się. Takie zbrodnicze prawo zostało ustanowione tylko tutaj.

Można zadać pytanie dlaczego? Otóż odpowiedź jest prosta. Na tej ziemi od tysiąca lat mieszkali Polacy razem z Żydami. Mieszkali cały czas przez tysiąc lat nieprzerwanie. Przy różnych wichrach historii, przy różnych zdarzeniach oba te narody także w ramach wielkiej Rzeczypospolitej wielu narodów trwały i współżyły ze sobą, rozwijając swoje kultury, które bardzo często splotały się i stanowią dzisiaj element naszej kultury polskiej. Dopiero II wojna światowa doprowadziła do katastrofy i przerwania tego. Dlatego że naród żydowski Niemcy postanowili unicestwić i zabić wszystkich Żydów mieszkających na terenie Rzeczypospolitej, którą okupowali.

Ale ponieważ Żydzi byli po prostu sąsiadami Polaków, znali się całymi rodzinami, wielu Polaków, wiele rodzin udzielało pomocy swoim żydowskim sąsiadom. Ta kara śmierci – nie tylko dla pomagających, ale dla całych rodzin – miała służyć odstraszeniu, miała zasiać grozę. To po to właśnie ustanowiono to prawodawstwo. To w ramach tego zbrodniczego prawodawstwa zginęła cała rodzina Ulmów. W tamtym czasie, w okresie II wojny światowej, w ten sposób zamordowanych przez Niemców zostało wiele polskich rodzin. Ale ta – rodzina Ulmów – to przypadek najbardziej wyrazisty. I dziś najlepiej wśród wszystkich

znany. Bo wiele jest nieznanymi, do dziś nieodkrytymi i niewyjaśnionymi.

To się stało na oczach całej wsi, na oczach ich sąsiadów. Józef Ulma był człowiekiem powszechnie znanym i społecznikiem. Działaczem spółdzielczości, wynalazcą, a przede wszystkim człowiekiem, który interesował się nowoczesnością – dziś powiedzielibyśmy „innovacyjnym”. Między innymi znany był także jako lokalny fotograf. Miał pełną świadomość wraz z żoną, co czynią, kiedy zgodził się przyjąć pod swój dach tych żydowskich uciekinierów, sąsiadów. Jest pewne, że Goldmanów na pewno znali. Znali ich z Łańcuta, choć nie byli bezpośrednio sąsiadami.

Udzielili im schronienia – Ulmowie jako ludzie, jako chrześcijanie, jako katolicy, kierując się miłością bliźniego i zwykłym odruchem, pokonując oczywistą przeciwną obawę przed śmiercią całej rodziny – to chcę z mocą podkreślić. Józef przecież wiedział, że jest człowiekiem znanym, a więc człowiekiem, na którego zwraca uwagę społeczność lokalna, także i Niemcy – przedstawiciele nazistowskiego, niemieckiego reżimu, którzy tutaj, na tej ziemi, realizowali swoją zbrodniczą działalność. Tak też – niestety – się stało. Oczywiście hitlerowcy dowiedzieli się, doniesiono im, że Ulmowie ukrywają rodzinę.

Przybyli żandarmi niemieccy w przygotowanej akcji i w bestialski sposób zamordowali po kolei całą rodzinę. Dowódca tej akcji – Niemiec, który nigdy nie został za to ukarany – jak potwierdzali świadkowie, kiedy były jakieś delikatne sprzeciwy wobec tego, by zamordować dzieci, powiedział: „Będzie gromadzie łatwiej, nie będzie miała kłopotu”. Powiedział to w sposób cyniczny, wydając rozkaz zamordowania również i najmłodszych. Wszystkich. Nie darowano życia nikomu.

Jako Prezydent Rzeczypospolitej dziękuję, że w tym niezwykłym akcie beatyfikacji całej rodziny – z podkreśleniem, iż beatyfikacja ta obejmuje właśnie wszystkich jej członków, nie tylko rodziców, dojrzałych przecież i dorosłych, w pełni odpowiedzialnych także za rodzinę, ale także i dzieci, również i te najmłodsze, włącznie z tym jeszcze nienarodzonym – następuje potwierdzenie wyjątkowości i świętości

Ciąg dalszy na s. 4 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 3

rodziny jako jednostki, a zarazem komórki społecznej, która jest razem, która stanowi jedno i która współdecyduje o swoim losie i o tym, jaka jest.

Dziękuję za to z całego serca, że została pokazana również prawda historyczna o tamtych czasach i o losach Polaków i Żydów na tej ziemi pod okupacją niemiecką, którzy wszyscy po prostu chcieli przetrwać, chcieli przeżyć, a jednak nie cofali się także i przed tak ostatecznymi aktami braterstwa, także i przed tak ostatecznymi aktami miłosierdzia.

I popatrzcie na Ewangelię. Miłosierny samarytanin – przy którego uczynku prawdopodobnie Józef Ulma, a może Wiktoria napisali „tak” w swojej *Ewangeli*, w swoim *Piśmie Świętym*, domowym – udzielił tej pomocy potrzebującemu człowiekowi, choć nie groziły mu za to żadne negatywne konsekwencje. A wcześniej i kapłan, i lewita ominęli leżącego rannego człowieka. Nie dlatego, że groziły im jakieś konsekwencje za udzielenie pomocy – po prostu minęli obojętnie. Rodzina Ulmów pomogła swoim żydowskim współobywatelom, mimo że mieli pełną świadomość, iż grozi im za to śmierć. Razem zginęli. I nie mam wątpliwości, że dzisiaj razem cieszą się radością obcowania z Panem Bogiem. [...] To ważny dzień dla nas, wszystkich ludzi wierzących. Ale to także ważny, historyczny dzień dla Rzeczypospolitej, dla naszej ojczyzny. To ważny dzień dla wszystkich Polaków.

Niech żyje Polska! Niech Pan Bóg ma w swojej opiece naszą ojczyznę i naszych rodaków rozsianych po całym świecie! Cześć i chwała bohaterskiej rodzinie Ulmów i wszystkim, którzy zginęli, pomagając swoim sąsiadom narodowości żydowskiej w czasie II wojny światowej!

Z przemówienia Prezydenta RP Andrzeja Dudy ■
Markowa, 10 września 2023



Wiktoria Ulma z dziećmi

FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY

Wiktoria i dzieci w obiektywie Józefa Ulmy

Największą pasją Józefa Ulmy była fotografia. Początkowo korzystał z samodzielnie złożonego aparatu, z czasem zaczął używać profesjonalnego sprzętu. Wiele zdjęć zachowało się do dziś; na szczególną uwagę zasługują fotografie rodzinne.

Poniżej prezentujemy zdjęcia najbliższych jego sercu – małżonki Wiktorii oraz dzieci: Stasi, Basi, Władzia, Franusia, Antosia i Marysi. Fotografie ukazują rodzinę

pełną miłości i radości. To jednocześnie piękna dokumentacja codziennego życia na podkarpackiej wsi.

Więcej obrazów z życia rodziny Ulmów i mieszkańców Markowej można znaleźć w albumie pt. *Sprawiedliwi i ich świat. Markowa w fotografii Józefa Ulmy* autorstwa dr. Mateusza Szpytmy, którego drugie wydanie poprawione i uzupełnione ukazało się w bieżącym roku.

ISB, IPN ■



Od lewej: Franuś, Stasia, Basia i Władzio Ulmowie

FOT. ZE ZBIORÓW KREWNYCH RODZINY ULMÓW



FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY



FOT. ZE ZBIORÓW RODZINY ULMÓW

Błogostawieni Sprawiedliwi

■ MATEUSZ SZPYTMA



Dlaczego, ryzykując życie, zdecydowali się na tak heroiczny krok? Historykowi trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ – co zrozumiałe – nie dzielili się niepotrzebnie swoimi motywacjami. Pewne światło rzucają na to fragmenty ewangelicznej przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie oraz o miłości bliźniego, zakreślone w należącej do Ulmów egzemplarzu *Biblii*.

Józef Ulma urodził się 2 marca 1900 roku w Markowej. Nie licząc zmarłego wkrótce po urodzeniu brata, był najstarszym synem Marcina i Franciszki z domu Kluz. Do ślubu mieszkał z rodzicami, dwoma braćmi oraz siostrą. Rodzice Józefa nie byli majętni – posiadali około 3. hektarów ziemi. Józef jeszcze za czasów austriackich, w 1911 roku, ukończył czteroklasową szkołę powszechną w Markowej.

Od lat młodzieńczych angażował się w życie parafii oraz wsi Markowa. Mówią o tym m.in. zachowane dokumenty – choćby wydana mu w 1917 roku legitymacja przynależności do Związku Mszalnego Diecezji Przemyskiej. Przekazy wskazują również, że jako młodzieniec związany był z bractwem różańcowym oraz działającym w parafii Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży Męskiej. W 1921 roku został powołany do odbycia służby wojskowej. W latach 1921-1922 służył w Wilnie oraz Grodnie. Mając 29 lat zaczął uczęszczać do szkoły rolniczej w Pilźnie. Z listu jego kuzyna i przyjaciela, Antoniego Szpytmy, wynika, że w tej szkole zauważono jego zdolności: „O Twoim *prestige* w szkole słyszałem w Przeworsku, zresztą było to do przewidzenia, bo bez chwalby przyznać wypadnie, że ogólnie o wszystkim masz coś do powiedzenia i punkt widzenia na dane sprawy co niejednokrotnie da Ci możliwość rozmów na wiele tematów, no i skonstatować pogląd innych chociażby przełożonych na dane sprawy”.

Działalność gospodarcza i społeczna

Po ukończeniu (z wynikiem bardzo dobrym) pięcioletniego kursu stał się gorącym propagatorem nierozpowszechnionych jeszcze wówczas szeroko upraw warzyw i owoców. Mając niecały hektar ziemi, przeznaczył jego część na najprawdopodobniej pierwszą w Markowej szkółkę drzew owocowych.



Józef i Wiktoria Ulmowie

FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY

Sprzedaż sadzonek stała się jednym z jego źródeł utrzymania. To prawdopodobnie dzięki niemu pojawiło się w Markowej wiele szczepionych jabłoni, może nawet pierwszych w okolicy. Jego nowatorstwo znane było nie tylko w tej dziedzinie. Zachowały się dwa dyplomy, które otrzymał na Powiatowej Wystawie Rolniczej w Przeworsku, zorganizowanej w 1933 roku przez tamtejsze Okręgowe Towarzystwo Rolnicze. Pierwszy z nich uzyskał „za pomysłowe ule i narzędzia pszcze-

larskie własnej konstrukcji”, drugi zaś „za wzorową hodowlę jedwabników i wykresy ich życia”. Zwłaszcza ta ostatnia działalność, datująca się od 1930 roku, wzbudzała ciekawość nie tylko Markowej, ale i okolicy, a nawet ordynata z Przeworska, Andrzeja Lubomirskiego, który wraz ze starostą powiatowym odwiedził Józefa, by obejrzeć jedwabniki i drzewa morwowe.

W latach 30. zaangażował się również w działalność społeczną. Był członkiem wielu organizacji, w tym kierownikiem Spółdzielni Mleczarskiej. Zaangażował się również w działalność ruchu ludowego, w tym powstałego w 1928 roku Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”, w którym był bibliotekarzem i fotografem oraz przewodniczącym Sekcji Wychowania Rolniczego przy

Powiatowym Zarządzie w Przeworsku.

Największą pasją Józefa Ulmy była fotografia. Ucząc się z książek i czasopism, złożył wiatrak, służący mu do produkcji energii elektrycznej, oraz maszynę introligatorską; nauczył się także profesjonalnego fotografowania. Wykonał tysiące zdjęć, z których wiele zachowało się w prywatnych zbiorach krewnych, sąsiadów i innych mieszkańców Markowej.

Ciąg dalszy na s. 6 ▶



Ślub Wiktorii i Józefa Ulmów, 7 lipca 1935

FOT. ZE ZBIORÓW KREWNYCH RODZINY ULMÓW

► Ciąg dalszy ze s. 5

Dzięki niemu udokumentowane zostały występy chóru, orkiestry, dożynki, przedstawienia teatralne, wesela, pierwsze Komunie święte. Robił także zdjęcia na zamówienie. Zachowały się wzruszające zdjęcia jego żony i dzieci. Na uwagę zasługują także autoportrety.

Przetrwiała również jego biblioteka, licząca ponad 300 woluminów. Niektóre z nich opatrzone są ekslibrisem: „BIBLIOTEKA DOMOWA – JÓZEF ULMA”.

Oto tytuły niektórych z książek: *O Drenowaniu; Podręcznik Elektrotechniczny; Podręcznik fotografii, Wykorzystanie wiatru w gospodarce; Radiotechnika dla wszystkich; Przemysł drobny; Przyroda i technika; Dzicy mieszkańcy Australii, Atlas geograficzny; Słownik wyrazów obcych*. Prenumerował czasopisma, m.in. „Wiedzę i Życie” oraz „Przegląd Ogrodniczy”.



Rodzina Wiktorii i Józefa Ulmów

Wiktoria Ulma urodziła się 10 grudnia 1912 roku w Markowej jako najmłodsze, czternaste dziecko Jana Niemczaka i Franciszki z domu Homa, z których dorosłego życia (oprócz niej samej) doczekało trzech braci i dwie siostry. Jej rodzice i rodzeństwo, podobnie jak rodzina Józefa Ulmy, zajmowali się uprawą roli, byli jednak trochę majątniejsi. Gdy Wiktoria miała sześć lat, zmarła jej matka. Ojciec zmarł w 1934 roku – kilka miesięcy przed jej ślubem.

W 1927 roku ukończyła siedmioklasową szkołę powszechną w Markowej. W okresie młodości, zakończonym szybko ślubem oraz rodzicielstwem w wieku 23. lat, angażowała się w działalność parafialnego Bractwa Najświętszego Sakramentu, a następnie została aktorką w Amatorskim Zespole Teatralnym w Markowej, gdzie m.in. grała w jasełkach rolę Matki Bożej. W 1931 roku była jedną z wieńczarek, wręczających wieniec dożynkowy Wincentemu Witosowi podczas dożynek towarzyszących uroczystemu otwarciu Domu Ludowego w Markowej. W połowie lat 30. XX wieku była słuchaczką jednego



Saul Goldman z Łańcuta (trzeci z prawej); podczas okupacji niemieckiej razem z czterema synami był ukrywany przez Ulmów. FOT. ZE ZBIORÓW KREWNYCH RODZINY ULMÓW

z kursów na Uniwersytecie Ludowym w sąsiedniej Gaci.

Wiktoria Niemczak i Józef Ulma pobrali się w 1935 roku. Ślub zawarli w kościele parafialnym w Markowej 7 lipca. Według świadectw wielu mieszkańców Markowej małżeństwo było dobre i darzyło się wielką miłością. Nawet na zdjęciach widzimy Józefa trzymającego Wiktorię na swoich kolanach, przytulonych.

Doczekali się także szybko potomstwa. I tak, po roku wspólnego życia, 17 lipca 1936 roku urodziła się Stasia; a kolejno: 6 paź-

dziernika 1937 roku Basia, 5 grudnia 1938 roku Władzio, 3 kwietnia 1940 roku Franio, 6 czerwca 1941 roku Antoś, 16 września 1942 roku Marysia, a gdyby Wiktoria nie została zamordowana, to na wiosnę 1944 roku urodziłyby siódme maleństwo.

Józef po 1935 roku nie tylko zajmował się pracą na roli, ale nadal działał społecznie. Wiktoria natomiast zajmowała się domem – na zdjęciach widać jak rysuje czy pisze dzieciom w zeszytach, lub stoi otoczona dużą i zadbaną gromadką swoich dzieci. Warto dodać, że wkrótce po ślubie Ulmowie zamieszkali w niewielkim drewnianym domu, zbudowanym przez Józefa na obrzeżach wsi.

Pod koniec sierpnia 1939 roku Józef Ulma został zmobilizowany. Bronił ojczyzny przed Niemcami. Z wojny wrócił mocno schorowany.

Sprawiedliwi z Markowej

Akcję Reinhardt Niemcy rozpoczęli w Markowej na początku sierpnia 1942 roku. W jej ramach wymordowali na miejscu lub wywieźli do obozów zagłady większość żydowskich mieszkańców. Józef i Wiktoria, widząc przerażający los Żydów, najpierw pomagali ukrywać się trzem Żydówkom w jarach i potokach. Gdy okazało się to nieskuteczne, przyjęli, prawdopodobnie w grudniu 1942 roku, pod swój dach ośmioro kolejnych. Byli to Saul Goldman i jego czterech synów (Baruch, Mechel, Joachim i Mojżesz) oraz dwie córki Chaima Goldmana, krewnego Saula: Gołda Grünfeld i Lea Didner. Ta ostatnia znalazła się u Ulmów z małą córeczką o imieniu Reszla. Mężczyźni mieszkali wcześniej w Łańcuta, kobiety w Markowej. Ojciec Gołdy i Lei, Chaim Goldman, był markowskim rolnikiem.



Józef Ulma przy swojej pasiece; niektóre z zachowanych uli znajdują się obecnie w skansenie w Markowej

FOT. ZE ZBIORÓW KREWNYCH RODZINY ULMÓW

Dlaczego, ryzykując życie, zdecydowali się na tak heroiczny krok? Jako historykowi trudno jest mi odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ – co zrozumiałe – nie dzielili się niepotrzebnie swoimi motywacjami. Pewne światło rzucają na to zakreślone w należącej do Ulmów ewangelii przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie oraz inny fragment o miłości bliźniego. Znamy również odpowiedź Józefa na sugestię jednego z mieszkańców, by nie ryzykował życia rodziny: „To też są ludzie. Ja ich nie usunę”.

Po kilkunastu miesiącach fakt ukrywania Żydów przez Ulmów dotarł jednak do Niemców. Prawdopodobnie dowiedzieli się o tym od jednego z granatowych policjantów.

24 marca 1944 roku, tuż przed świtem, do ich domu wtargnęli niemieccy funkcjonariusze. Najpierw zamordowano ukrywanych Żydów. Następnie rozstrzelano Józefa i Wiktorię. Świadek, który widział zbrodnię, podaje: „W czasie rozstrzelania na miejscu egzekucji słychać było straszne krzyki, lament ludzi, dzieci wołały



Wiktoria Ulma z córką Stasią

FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY

rodziców, a rodzice już byli rozstrzelani. Wszystko to robiło wstrząsający widok”.

Wśród tych krzyków, po zastrzeleniu rodziców, żandarmi zaczęli się zastanawiać co zrobić z szóstką dzieci. Po naradzie zdecydowano, że je także należy rozstrzelać. Żandarmi krzyczeli m.in.: „Patrzenie jak polskie świnie giną – które przechowują Żydów”.

Zginęły: Stasia, Basia, Władziu, Franuś, Antoś i Marysia. Wraz z Wiktorią zginęło jej siódme dziecko, wówczas jeszcze w łonie matki na krótko przed planowanym urodzeniem.

W jednej z rozmów Władysław Ulma powiedział

mi, że jego brat Józef miał takie powiedzenie: „czasem trudniej dobrze przeżyć jeden dzień niż książkę napisać”.

Józef, jego żona Wiktoria oraz ich dzieci przeżyli dobrze całe swoje życie. Dzisiaj otacza się ich czcią nie tylko dlatego, by wyrazić uznanie i dziękczynienie, ale również z myślą, abyśmy każdego dnia starali się być tak dobrymi jak był Miłosierny Samarytanin.

MATEUSZ SZPYTMA, IPN ■

□ Instytut Pamięci Narodowej udostępnił specjalny portal poświęcony Rodzinie Ulmów – www.rodzinaulmow.ipn.gov.pl. Portal jest kompendium wiedzy o Ulmach oraz zbiorem najważniejszych materiałów archiwalnych. Zamieszczono w nim również materiały multimedialne, w tym programy dokumentalne oraz nagrania poświęcone rodzinie Ulmów. Ponadto strona prezentuje wydarzenia związane z upamiętnieniem rodziny Ulmów, organizowanych przez IPN w całej Polsce.



Wiktoria z dziećmi

FOT. ZE ZBIORÓW KREWNYCH RODZINY ULMÓW

INSTITUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Rodzina Ulmów z Markowej

Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich. (J 15, 13)

Ulmowie są symbolem wszystkich Polaków zamordowanych za pomoc Żydom



FOT. © SŁAWEK KASPER / IPN

Z dr. Mateuszem Szpytmą, wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej i krewnym rodziny Ulmów rozmawia Paweł Bugira z Katolickiej Agencji Informacyjnej

Paweł Bugira, KAI: Proszę na początek powiedzieć o pokrewieństwie, jakie łączy Pana z rodziną Ulmów.

Mateusz Szpytma: Moja babcia była siostrą Wiktorii Ulmy, a Wiktoria była mamą chrzestną mojego taty. Babcia z Wiktorią się bardzo lubiły, pomagały sobie w czasie wojny. Moja babcia była troszkę bardziej majątna, więc dzieliła się tym, co miała i nieraz mój tata zanosił różne rzeczy Ulmom, podobnego wsparcia udzielała im również pozostała część jej rodziny i rodziny Józefa. Pamiętam, że w latach 80. XX wieku nieraz bywaliśmy w domu, w którym się wychowała Wiktoria. Odwiedzaliśmy tam krewnych, czyli rodzeństwo i szwagrów Wiktorii, oczywiście już wtedy nieżyjącej.

Jest Pan spokrewniony z rodziną Ulmów, pochodzi Pan z Markowej, ale kiedy tak na poważnie zaczął Pan zgłębiać ich historię?

Mimo że ta historia była obecna w mojej rodzinie, to tak naprawdę zacząłem się nią interesować na wiosnę 2003 roku, czyli dokładnie dwadzieścia lat temu. Impulsem

była dla mnie informacja, którą usłyszałem na Mszy św., że Kościół katolicki rozważa wszczęcie procesu beatyfikacyjnego rodziny Ulmów. Uświadomiłem sobie jaki skarb, jakich bohaterów mam w swojej rodzinnej miejscowości i w swojej rodzinie.

Ponieważ z wykształcenia jestem historykiem i już wtedy byłem pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej, uznałem za swoją powinność zgłębić tę wiedzę. Pomyślałem, że powinien powstać trwały znak poświęcony rodzinie Ulmów i ukrywaniu przez nich Żydów w postaci pomnika. Z tym pomysłem zwróciłem się do Towarzystwa Przyjaciół Markowej, do wójta gminy Markowa i do księdza proboszcza. W każdym z tych trzech miejsc spotkałem się z przychylnym podejściem. Stałem na czele komitetu budowy tego pomnika, który powstał ze składek mieszkańców wsi. Tu nie było dotacji żadnej instytucji

państwowej. Został on odsłonięty 24 marca 2004 roku.

Również na wiosnę 2003 roku uświadomiłem sobie, że tak naprawdę to nie ma publikacji o rodzinie Ulmów, jedynie w monografii wsi Markowa pojawia się nota biograficzna o Józefie Ulmie. Postanowiłem, że powstaniu pomnika będzie towarzyszył również artykuł naukowy, zgłębiający tę historię.

Pomnik i artykuł nie zamknęły jednak tematu, a dopiero tak naprawdę go otworzyły.

Myślałem, że na tym poprzestaną, ale impulsem do dalszego działania były uroczystości 60. rocznicy mordu na rodzinie Ulmów. Ta historia niezwykle mocno zainteresowała media, także poprzez to, że na odsłonięciu tego pomnika pojawił się Abraham Izaak Segal, który przeżył w Markowej ostatni etap Holokaustu. Tenże Abraham Izaak rozpropagował tę

historię w Izraelu. Pomagała w tym jego synowa, która jest wicedyrektorką szkoły i organizowała wyjazdy do Polski, w tym do Markowej. A to wszystko było ułatwione poprzez fakt, że Ulmowie od 1995 roku byli uznani za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, więc nikt w Izraelu nie miał wątpliwości, że sprawa jest wiarygodna. I właśnie po 2004 roku zaczęły przyjeżdżać bardzo liczne wycieczki izraelskie pod ten pomnik i na grób rodziny Ulmów.



Jednocześnie przeżycia związane z tą historią i zainteresowanie medialne skłoniły społeczność Markowej do tego, aby dwa lata później nadać szkole podstawowej i gimnazjum imię Rodziny Ulmów. Wówczas, w 2006 roku, pojawili się przedstawiciele władz państwowych, których dwa lata wcześniej nie było: Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, przyjechał ambasador Izraela w Polsce. I tak ta wiedza zaczęła się rozpowszechniać. Równocześnie wspierany przez śp. Janusza Kurtykę, prezesa IPN, napisałem dwie różne książki o rodzinie Ulmów: jedną po polsku, a drugą po angielsku.

Od siedmiu lat w Markowej funkcjonuje Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej, które przybrało imię Rodziny Ulmów. W jej powstanie miał Pan wkład organizacyjny i merytoryczny. To pierwsza tego typu placówka. Na czym się Pan wzorował, jak powstawała wizja tego obiektu?

Widząc liczne wycieczki z Izraela do Markowej – a było to około 5. tysięcy odwiedzających rocznie – stwierdziłem, że warto stworzyć muzeum, które będzie poświęcone ich historii. Zbiegło się to z wydaniem przez oddział Instytutu Pamięi Narodowej w Rzeszowie książki prof. Elżbiety Rączy o ratowaniu Żydów na Podkarpaciu. Wtedy zmodyfikowałem ten pomysł, żeby to muzeum było poświęcone wszystkim Polakom ratującym Żydów na Podkarpaciu, a nosiło imię Rodziny Ulmów. Nad koncepcją scenariusza wystawy stałej muzeum pracowałem właśnie z panią profesor Rączy. Ostatecznie, niedługo przed otwarciem placówki, zapadła decyzja, że będzie ona gromadzić historie z całego kraju, co kilka lat później zaszkutkowało m.in. nową koncepcją Sadu Pamięci, w którym wymieniono nazwy wszystkich miejscowości, w których ratowano Żydów.



Wiktorija Ulma z dziećmi

FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY

Na początku pomysł utworzenia muzeum wydawał się kompletnie nierealny, ale spotkałem na swojej drodze Bogdana Romaniuka, radnego sejmiku województwa podkarpackiego i ówczesnego prezesa Stowarzyszenia Szczęśliwy Dom im. Wiktorii i Józefa Ulmów. Bogdan przekonał do tego pomysłu Zarząd województwa podkarpackiego, a następnie cały Sejmik. Inwestycję, przy przychylności również ówczesnego wiceministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Tomasza Merety, zlecono Muzeum-Zamek w Łańcucie. No i powolutku, w pewnych bólach, to muzeum zaczęło powstawać. Kluczowy, ostatni etap budowy oraz otwarcie to już efekt przychylności wielu instytucji i osób. Warto tu wspomnieć, że mogłem liczyć na każdego z kolejnych Prezesów IPN, ale bez ogromnej przychylności nowego Marszałka Województwa, którym w 2013 roku został Władysław Ortyl, realizacja byłaby bardzo trudna.

Pana zasługi w promocję rodziny Ulmów, upowszechnianie i upamiętnienie ich życia, są ogromne. Brał Pan udział w konferencjach

i wystawach poświęconych Ulmom w kraju i za granicą. Dziś każdy bez problemu może znaleźć o nich przynajmniej podstawowe informacje. Ale jak było przed dwudziestu laty? Czy łatwo było znaleźć odpowiednie, wiarygodne materiały?

Dwadzieścia lat temu o rodzinie Ulmów prawie nikt nic nie wiedział poza miejscowością, w której żyli, oraz poza urzędnikami Yad Vashem, zajmującymi się przyznaniem im medalu w 1995 roku. Wszystko było do zbadania. W przypadku rodziny Ulmów niesamowite jest to, że mamy niezwykle dobrze zachowaną dokumentację w porównaniu do innych Polaków, którzy ratowali Żydów.

Józef Ulma pasjonował się fotografią i zachowało się około 800 zdjęć jego autorstwa, w tym wiele, które wykonał swojej rodzinie. Zachowało się również mnóstwo dokumentów. Rodzina Józefa, niezwykle poważnie podchodząca do historii swojego rodu, te wszystkie rzeczy zachowała. Nic nie zostało zmarnowane – wszystkie pamiątki, dokumenty po Józefie Ulmie były w szafach albo na strychu w pudłach. Czekwały na swój czas i na swojego historyka. Trafiło akurat na mnie, choć przecież mógł się tym przez sześćdziesiąt lat zainteresować ktoś inny. Jako osoba wywodząca się z tej wsi miałem ułatwiony kontakt z mieszkańcami; znali moich rodziców, moich dziadków, ufali mi, dzielili się wiedzą, dokumentami, zdjęciami. Nie miałem najmniejszych problemów z pozyskiwaniem wiedzy. Jednocześnie miałem też profesjonalny warsztat potwierdzony studiami magisterskimi i doktorskimi.

Ponadto byłem bliskim współpracownikiem śp. Janusza Kurtyki, który w 2005 roku został prezesem Instytutu Pamięi Narodowej i wziął mnie z sobą do Warszawy. Byłem tam jego asystentem i zastępcą szefa jego biura.



Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej FOT. NIZIO DESIGN INTERNATIONAL

Ciąg dalszy na s. 10 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 9

To wszystko ułatwiało mi działalność, bo gdybym był wolnym strzelcem, to niewiele bym zrobił, bardzo trudno byłoby się przebić z tą wiedzą. Tu się złożyło mnóstwo nieoczekiwanych okoliczności, które ułatwiły rozszerzenie wiedzy o tej historii. Poznałem też Żydów, którzy ukrywali się w Markowej u innych rodzin i którzy też pomogli w rozpropagowaniu wiedzy o rodzinie Ulmów i innych Polakach ratujących Żydów. Warto bowiem dodać, że w swoich badaniach nie ograniczyłem się tylko *sensu stricte* do zbadania historii Ulmów. Chciałem poznać również historię Holokaustu w mojej wsi i losy każdego z Żydów tu zamieszkałych. W dużej mierze mi się to udało. Odkryłem także kilku Żydów, nieznanymi wcześniej opinii publicznej, którzy przeżyli dzięki Polakom w Markowej. Teraz wiemy, że było ich co najmniej 21. Udało się również uratować wiedzę o wielu polskich domach, w których uzyskali pomoc.

Jak widać każdy święty ma swój czas i Pan Bóg wybrał ten czas i Pana, aby tę historię upowszechnić.

Jednocześnie ksiądz arcybiskup Józef Michalik, który z ówczesnym proboszczem śp. księdzem Stanisławem Leją zainicjował proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów, został przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski. Uczestniczył w prawie każdej rocznicy ich śmierci, a jego głos bardzo często wybrzmiewał w mediach. Jego homilie o heroicznej postawie Ulmów miały niezwykle znaczenie w rozwoju kultu prywatnego, ale też zainteresowania społeczeństwa tą historią.

Na beatyfikację „Samarytan z Markowej” ma Pan wyjątkowe spojrzenie, bo z potrójnej perspektywy: jako krewny, jako człowiek wierzący i jako historyk.

No i jako mieszkaniec tej samej wsi, bo przeżyłem w Markowej dwadzieścia lat swojego życia. Wszyscy moi przodkowie, prawdopodobnie od XIV wieku, a na pewno od XVIII wieku, są związani z tą wsią.

Jak Pan odbiera to, co się wokół tej rodziny już wydarzyło i co się nadal dzieje?

Nigdy nie myślałem, że będzie tak głośno o tej historii. To jest dla mnie coś, co się wymyka takiemu podejściu ludzkiemu. Widzę w tym rękę wyższą. Dla mnie osobiście – pod każdym względem – jako członka rodziny, mieszkańca, historyka, to wielka radość i również rodzaj satysfakcji, że mogłem w pewnym stopniu się do tego dołożyć poprzez ustalenie wielu faktów i rozpropagowanie wiedzy. Przecież dwadzieścia lat temu byłbym rad, gdyby powstała jakakolwiek wystawa o rodzinie Ulmów i została pokazana w Markowej, a nie licząc wystawy stałej w Muzeum Ulmów, wystawa IPN



Grobowiec rodziny Ulmów na cmentarzu w Markowej FOT. MACIEJ KLUCZKA / MISYJNE DROGI

Samarytanie z Markowej objechała kilkadziesiąt krajów na sześciu kontynentach!

Pozostaliśmy jeszcze przy perspektywie historycznej. Swego czasu o relacjach polsko-żydowskich często się mówiło przez pryzmat Jedwabnego, co jest oczywiście obrazem bardzo niepełnym. Historia Ulmów, ale i innych rodzin z Markowej i z całej Polski, prezentowana w Muzeum Polaków Ratujących Żydów pokazuje zupełnie inne relacje.

W historii rodziny Ulmów skupiają się jak w soczewce różne sytuacje z czasów II wojny światowej. Mamy nie tylko bohaterstwo, ale również podłość, donos, jednocześnie mamy reakcję Polskiego Państwa Podziemnego, bo jest wykonany wyrok śmierci na tym prawdopodobnym donosicielu, mającym na sumieniu gorliwą współpracę z okupantem. Mamy różne zachowania wobec Żydów: i pozytywne, i negatywne – i to nie tylko takie, które były wymuszone groźbami przez okupanta. Musimy pamiętać, że tacy ludzie jak Ulmowie wiele ryzykowali i nie możemy mieć do nikogo pretensji, że nie narażał swojego życia. A przecież zginęło około tysiąca Polaków za ratowanie Żydów. Musimy wiedzieć o tym, że w Polsce – w odróżnieniu od okupowanej Europy Zachodniej – groziła śmierć za pomaganie Żydom.

I Niemcy nie mieli skrupułów, żeby te wyroki wykonywać, czego przykładem są nasi Błogostawieni. Ulmowie nie byli majątną rodziną, ale przyjęli pod swój dach aż ośmioro potrzebujących. Co więcej, nie wzięli za to żadnych pieniędzy, co udowodniono nie tylko w procesie beatyfikacyjnym, ale i w postępowaniu prowadzonym przez Instytut Yad Vashem i nadaniu im medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Postawa tej rodziny, ale i wielu innych zwyczajnie zadziwia.

Znamy też inne rodziny polskie, które zginęły za pomoc Żydom, choćby rodziny

Kowalskich, Baranków czy Książków spod Miechowa. Wpływ na decyzję Kościoła katolickiego o procesie beatyfikacyjnym, a następnie o beatyfikacji rodziny Ulmów miał nie tylko ich heroizm i to, że ratowali Żydów, ale także ich całe życie, to jakimi ludźmi byli przed wojną, jakimi byli obywatelami i chrześcijanami. Ulmowie są dzisiaj – nie tylko w naszym kraju – symbolem tych wszystkich Polaków, którzy za pomoc Żydom zostali zamordowani.

Oprócz aspektu religijnego, beatyfikacja rodziny Ulmów ma bardzo ważny wymiar historyczny i wizerunkowy dla Polski.

Oczywiście, bo poprzez wyniesienie do chwały ołtarzy rodziny Ulmów pokazujemy nie tylko jej historię, ale innych Polaków, którzy ratowali Żydów. Pokazujemy jak straszne były warunki, że terror dotyczył nie tylko Żydów, wobec których był najokrutniejszy, ale także Polaków. Przypominamy, że za pomoc Żydom groziła kara śmierci, była ona wykonywana i Niemcy często nie mieli litości nawet dla małych dzieci, ani – jak w tym przypadku – dla kobiety, która była w zaawansowanej ciąży. Ta historia pokazuje więc dramat Polski pod okupacją niemiecką i wielki heroizm tych, którzy odważyli się sprzeciwić tak okrutnej okupacji.

Co wiemy o oprawcach rodziny Ulmów?

Całkiem sporo. Wiemy, że było pięciu żandarmów niemieckich, którzy do pomocy wzięli sobie granatowych policjantów. Jeden z nich został osądzony: Josef Kokot w 1958 roku został skazany na karę śmierci, zamienioną później na dożywocie. Zmarł w polskim więzieniu w 1980 roku. Osobiście zastrzelił on kilkoro dzieci.

Wiemy też bardzo dużo o Eilercie Diekenie, który dowodził tą operacją. To był człowiek bezwzględny, który przez cały okres funkcjonowania posterunku żandarmerii niemieckiej w Łańcucie, od 1 stycznia 1941



aż do lipca 1944 roku, był jego dowódcą. To właśnie on wydał decyzję o rozstrzelaniu nie tylko Żydów, czy Józefa, ale również dzieci. Wiemy, że po wojnie był policjantem w Esens i do swojej śmierci w 1960 roku był poważaniem obywatelem. O tym świadczy chociażby korespondencja, którą prowadziliśmy z jego córką. Myślała, że pytamy o ojca po to, aby go upamiętnić w muzeum. Była przekonana, że to był człowiek, który pomagał Ulmom w czasie II wojny światowej. Widzimy tutaj potężną skalę niewiedzy na temat okupacji niemieckiej, na temat tego, co czynili poszczególni funkcjonariusze państwa niemieckiego na okupowanych obszarach.

Wiemy również, że prawdopodobny donosiciel, granatowy policjant Włodzimierz Leś też był podczas egzekucji na Ulmach i że z wyroku Polskiego Państwa Podziemnego został rozstrzelany 10 września 1944 roku w Łańcucie.

Na ile pewne jest, że donosicielem był właśnie Włodzimierz Leś?

Wysoce prawdopodobne, ale gdy chodzi o oskarżanie kogoś o spowodowanie śmierci, to trzeba być ostrożnym po wielokroć bardziej, niż gdyby się mówiło o czymś, co zbrodnią nie było.

Największe zdumienie i smutek budzi śmierć dzieci i to nie tylko Ulmów, bo zginęło również dziecko żydowskie.

Owszem, w ośmioosobowej grupie Żydów ukrywanej przez Ulmów była Lea Didner z małą córką o imieniu Reszla. To część tragedii tej historii.

A mamy wiedzę czy ktokolwiek z oprawców miał choćby chwilę zawahania, oporu przed zamordowaniem dzieci? Czy wszyscy wykonywali wyrok bez mrugnienia okiem?

Mamy zeznania bardzo ważnego świadka, Edwarda Nawojkiego z Kraczkowej – furmana, który na rozkaz Niemców przywiózł ich do Markowej. Mówił potem, że po rozstrzelaniu Żydów oraz Józefa i Wiktorii, żandarmi zbrali się na naradę, aby zdecydować co zrobić z dziećmi: czy puścić je wolno, czy również rozstrzelać. Eilert Dieken zdecydował, że należy wszystkich zabić. A mógł zdecydować

inaczej, bo znamy takie przykłady z innych miejscowości, gdzie Niemcy wkraczali do domu, w którym ukrywani byli Żydzi, mordowali wszystkich dorosłych oraz nastolatków, którzy byli świadomi tego ukrywania, ale oszczędzali dzieci, które nie decydowały, nie pomagały osobiście. Wówczas oddawali je na wychowanie krewnym albo miejscowości.

Czyli nie mamy śladów, aby ktokolwiek z oprawców wstawił się za dziećmi?

Ujął się za nimi sołtys Markowej Teofil Kielar, ale swój pogląd mógł wyrazić już bezpośrednio po zbrodni, gdy wezwano go na miejsce. Od niego też wiemy, że z jego obserwacji wynikało, że o ile mord na Żydach oraz Józefie i Wiktorii raczej nie budził wątpliwości żandarmów, to prawdopodobnie dwóch z nich – gdyby to od nich zależało, a nie Eilerta Diekena – oszczędziliby dzieci.

W rocznicę powstania muzeum prezydent Andrzej Duda zaznaczył w okolicznościowym liście, że zasługą i zadaniem tej placówki jest upamiętnienie wszystkich Polaków ratujących Żydów. „Wydobycie historii tych wspaniałych ludzi na światło dzienne jest powinnością nas żyjących, dlatego musimy kontynuować badania i poszukiwania” – napisał. Czy dużo jest jeszcze do odkrycia?

Bardzo dużo. W Instytucie Pamięci Narodowej prowadzony jest projekt badawczy poświęcony dzieciom Żydów i relacji polsko-żydowskich. Jednym z jego aspektów jest powstawanie tzw. monografii regionalnych poświęconych ratowaniu Żydów. Ukazał się pierwszy tom, bardzo obszerny prawie tysiąc stronnicowy, który pokazuje stan badań nad Polakami ratującymi Żydów. Ukazał się też tom poświęcony przedwojennemu województwu śląskiemu w czasie okupacji niemieckiej oraz pierwszy tom słownika z notatkami osób represjonowanych za pomoc Żydom. Przed nami kolejne publikacje. Ten temat jeszcze jest niewyczerpany i jeszcze wiele odkryć jest przed nami.

Czego się Pan spodziewa po beatyfikacji rodziny Ulmów?

To trudne pytanie, ale liczę, że dzięki niej wiedza o Ulmach i innych osobach



□ Mateusz Szpytma – rocznik '75, historyk i muzealnik, doktor nauk humanistycznych, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, zaangażowany w badanie zbrodni w Markowej, współtwórca i dyrektor Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej, członek Rady Programowej Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz Międzynarodowej Rady Oświecimskiej, autor książek: *Sprawiedliwi i ich świat. Markowa w fotografii Józefa Ulmy* (2007, 2015), *The Risk of Survival: the Rescue of the Jews by the Poles and the Tragic Consequences for the Ulma Family from Markowa* (2009), *ZSL w województwie krakowskim (1949-1956). Geneza – ludzie – działalność* (2013).

ratujących Żydów będzie szerzej znana w Polsce i za granicą. Może pojawi się też więcej szacunku dla tych Polaków, którzy zdecydowali się ratować Żydów i trochę więcej zrozumienia, że w takich warunkach, jakie stworzył okupant, nie było możliwości masowego ratowania Żydów. Spodziewam się też większego zaakcentowania wartości małżeństwa i rodziny w życiu społecznym.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał PAWEŁ BUGIRA, KAI ■



□ Papież Franciszek podczas wizyty w Marsylii z racji forum III Spotkań Śródziemnomorskich, 22 września 2023 roku, wygłosił przemówienie, w którym odniósł się do pogłębiającego się kryzysu migracyjnego. Papież przedstawił swoją wizję tego, jak powinna wyglądać europejska polityka migracyjna. Tytuł papieskiego wystąpienia pochodzi od redakcji.

Ludzkość na rozdrożu: obojętność czy braterstwo?

■ FRANCISZEK PP.



Drodzy bracia i siostry, dziękuję, że tu jesteście. Przed nami jest morze, źródło życia, ale to miejsce przywołuje tragedię katastrof morskich powodujących śmierć. Zebraliśmy się, żeby upamiętnić tych, którym się nie udało, którzy nie zostali ocaleni. Nie przyzwyczajajmy się do traktowania katastrof jako wiadomości, a śmierci na morzu jako liczb: przeciwnie – są to imiona i nazwiska, są to oblicza i historie, są to przerwane istnienia i zniszczone marzenia.

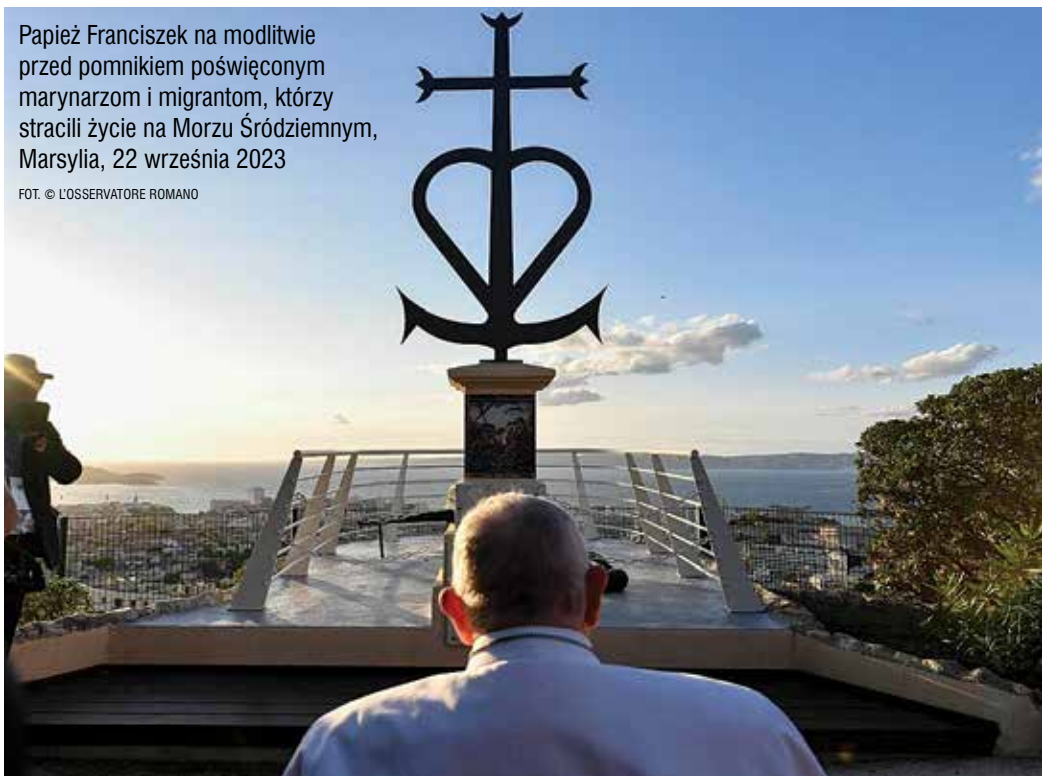
Myślę o wielu braciach i siostrach, którzy utonęli pogrążeni w lęku, wraz z nadziejami, jakie nosili w swych sercach. W obliczu tak wielkiego dramatu nie trzeba słów, lecz czynów. Jednak wcześniej potrzebny jest humanizm: potrzebne jest milczenie, płacz, współczucie i modlitwa. Zapraszam was teraz do chwili milczenia, by upamiętnić tych naszych braci i siostry: dajmy się poruszyć ich tragediami...

Zbyt wiele osób, uciekając przed konfliktami, ubóstwem i katastrofami ekologicznymi, znajduje w falach Morza Śródziemnego ostateczne odrzucenie w swym poszukiwaniu lepszej przyszłości. W ten sposób, to piękne morze stało się ogromnym cmentarzem, na którym wielu braci i sióstr pozbawionych jest nawet prawa do posiadania grobu, a pochowana jest jedynie ludzka godność. W książce-świadectwie pt. *Fratellino*, bohater, pod koniec trudnej podróży, która prowadzi go z Republiki Gwinyi do Europy, mówi: „Kiedy znajdziesz się na morzu, jesteś na rozdrożu. Po jednej stronie jest życie, po drugiej śmierć. Nie ma innych dróg wyjścia” (A. Arzallus Antia, I. Balde, *Fratellino*, Mediolan 2021, s. 107).

Przyjaciele, przed nami również rozdroże: z jednej strony braterstwo, które wydaje w ludzkiej wspólnotce owoc dobra; z drugiej – obojętność, która zakrwawiła Morze Śródziemne. Jesteśmy na rozdro-

Papież Franciszek na modlitwie przed pomnikiem poświęconym marynarzom i migrantom, którzy stracili życie na Morzu Śródziemnym, Marsylia, 22 września 2023

FOT. © L'OSSERVATORE ROMANO



żu cywilizacji. Albo kultura humanizmu i braterstwa, albo kultura obojętności: niech każdy radzi sobie, jak może.

Nie możemy pogodzić się z tym, że istoty ludzkie są traktowane jak karty przetargowe, więzione i torturowane w okrutny sposób – wiemy, że często, gdy ich odsyłamy, są skazani na tortury i więzienie – nie możemy dłużej przyglądać się dramatom katastrof morskich, spowodowanych obrzydliwym handlem i fanatyzmem obojętności. Obojętność staje się fanatyczna. Osoby, którym grozi zatonięcie, porzucone na falach, muszą zostać uratowane. To obowiązek człowieczeństwa, to obowiązek cywilizacji!

Niebo będzie nam błogosławić, jeśli na lądzie i na morzu będziemy umieli troszczyć się o najsłabszych, jeśli będziemy umieli przezwyciężyć paraliż strachu i obojętności, który skazuje ludzi na śmierć w białych rękawiczkach. Dlatego my, reprezentanci różnych religii, jesteśmy wezwani, by być przykładem. Bóg bowiem pobłogosławił ojca Abrahama. Został on wezwany do

opuszczenia swojej ojczyzny i „wyszedł nie wiedząc, dokąd idzie” (Hbr 11,8). Jako gość i pielgrzym na obcej ziemi przyjmował wędrowców, którzy przechodzili obok jego namiotu (por. Rdz 18): „wygnany ze swojej ojczyzny, bezdomny, sam był domem i ojczyzną wszystkich” (św. Piotr Chryzolog, *Mowa 121*). A „w nagrodę za gościnność otrzymał obietnicę, że będzie miał syna” (św. Ambroży z Mediolanu, *Obowiązkach duchownych*, II, 21, przeł. Kazimierz Abgarowicz, Warszawa 1967, s. 147). U źródeł trzech monoteizmów śródziemnomorskich leży zatem gościnność, umiłowanie cudzoziemca w imię Boga. Jest to niezbędne, jeśli, podobnie jak nasz ojciec Abraham, marzymy o pomyślnej przyszłości. Nie zapominajmy refrenu biblijnego: „sierota, wdowa, migrant, obcy”. Sierota, wdowa i obcy: to ci, których Bóg każe strzec.

My, ludzie wierzący musimy więc być przykładowi w naszej wzajemnej i braterskiej akceptacji. Relacje między grupami religijnymi często nie są łatwe,

przez udrękę ekstremizmu i ideologiczną plagę fundamentalizmu, które niszczą prawdziwe życie wspólnot. Ale w tym kontekście chciałbym powtórzyć to, co napisał pewien mąż Boży, który żył niedaleko stąd: „Niech nikt w sercu nie żywi nienawiści przeciw bliźniemu, ale miłość. Kto bowiem choćby jednego człowieka mieć będzie w nienawiści, nie będzie mógł przed Bogiem ostać się bezpiecznie. Tak długo modlitwa jego nie będzie wysłuchana, jak długo będzie przechowywał złość w sercu swoim” (św. Cezary z Arles, *Kazania*, XIV, 2, tłum. ks. Stefan Ryznar, Warszawa 1989, s. 79).

Dziś również Marsylia, charakteryzująca się różnorodnym pluralizmem religijnym, stoi na rozdrożu: spotkanie lub starcie. Dziękuję wam wszystkim, którzy opowiadacie się za drogą spotkania: dziękuję za wasze solidarne i konkretne zaangażowanie na rzecz ludzkiej promocji i integracji.

Marsylia jest wzorem integracji. To piękne, że tutaj, wraz z różnymi środowiskami, które pracują z migrantami, istnieje Marseille Espérance, organ dialogu międzyreligijnego promujący braterstwo i pokojowe współistnienie. Spoglądamy na pionierów i świadków dialogu, takich jak Jules Isaac, który mieszkał w pobliżu, i którego 60. rocznica śmierci została niedawno upamiętniona. Jesteście Marsylią przyszłości. Idźcie naprzód nie zniechęcając się, niech to miasto będzie dla Francji, Europy i świata mozaiką nadziei.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć słowa, które David Sassoli wypowiedział w Bari, przy okazji poprzedniego spotkania na temat regionu Morza Śródziemnego: „W Bagdadzie, w Domu Mądrości kalifa Al Ma'muna, spotykali się Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie, aby czytać święte księgi i filozofów greckich. Dziś wszyscy, zarówno wierzący, jak i niewierzący odczuwamy potrzebę odbudowy tego domu, aby wspólnie kontynuować walkę z bożkami, burzyć mury, budować mosty i nadawać treść nowemu humanizmowi. Wierzę, że spojrzenie w głąb naszych czasów i pokochanie ich jeszcze bardziej, gdy trudno jest kochać, będzie ziarnem zasianym w tych dniach, tak bardzo skupionych na naszym losie. Przestańmy się lękać problemów, które stawia przed nami Morze Śródziemne! [...] Od tego zależy przetrwanie Unii Europejskiej i nas wszystkich” (*Przemówienie z okazji spotkania refleksyjno-duchowego „Morze Śródziemne granicą pokoju”*, 22 lutego 2020).

Bracia, siostry, razem stawiamy czoła problemom, nie pozwólmy, by zgasła nadzieja, razem twórzmy mozaikę pokoju! ■



Obecni członkowie Marseille Espérance, 2023 FOT. © @MARSEILLE ESPERANCE

Marseille Espérance jest instytucją społeczną – „organem dialogu międzyreligijnego promujący braterstwo i pokojowe współistnienie” jak określił to pp. Franciszek w swoim przemówieniu – założoną w lutym 1990 roku przez ówczesnego burmistrza Marsylii Jeana-Claude’a Gaudina w celu zbliżenia mieszkańców miasta z różnych kultur i religii w szacunku dla siebie nawzajem i przyjaźni, utrzymania dialogu i uniknięcia ewentualnych konfliktów między społecznościami.

Skupia ona pod egidą burmistrza przedstawicieli świeckich, katolików, prawosławnych, protestantów, żydów, muzułmanów, buddystów i ormiańskich przywódców duchowych miasta. Nie rozmawiając o religii, nie zajmując stanowiska w sprawach międzynarodowych i nie mając oficjalnego statusu, reaguje zwłaszcza wtedy, gdy jakieś wydarzenie grozi podziałem społeczności miasta.

– W codziennej „burzy” my, Marsylczycy wszystkich kultur, wszystkich wyznań, chcemy pozostać na „kursie nadziei”. Potępiamy wszelkie rodzaje przemocy stosowanej w sposób nieodpowiedzialny wobec kogośkolwiek z powodu jego rzeczywistego lub domniemanego członkostwa w tej czy innej społeczności – podkreślają członkowie ME.

Marseille Espérance prowadzi różnorodne projekty na rzecz braterstwa między ludźmi, w duchu wzajemnego dialogu.

Wszak „dialog” to etymologicznie dwa greckie wyrazy: *dia* – przyimek, który oznacza „przejście przez coś”, „to, co przechodzi” oraz *logos* – słowo, mowa. W przeciwieństwie do debaty, odbywa się ona w duchu szacunku, otwartości i słuchania, co pozwala stronom poznać się nawzajem i docenić dzielące je różnice i wspólne wartości.

W takim duchu, w wigilię 2000 roku, w otwarcu na przesłanie pokoju, tolerancji i braterstwa, organizacja utworzyła Place de l’Espérance w każdej z szesnastu dzielnic Marsylii, a przy wejściu do centralnego parku miasta (Parc du 26ème Centenaire) odsłonięto Drzewo Nadziei (w ramach realizacji Fontaine de l’Espérance) autorstwa rzeźbiarza Daniela Chotarda. Ponad 350 tysięcy osób z Marsylii włączyło się w tę inicjatywę i ich imiona, wyryte w kamieniu, tworzą podstawę pomnika. Replika Drzewa Nadziei została podarowana miastom bliźniaczym Marsylii – Algierowi i Szanghajowi. Z okazji 25-lecia Marseille Espérance, w parku posadzono symbolicznych 25 drzew. Każda wspólnota wybrała drzewo o znaczeniu kulturowym lub religijnym, wielu wybrało drzewo oliwne. Ponadto instytucja organizuje szereg konferencji i zasiada w jury FID (Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych), jest zaangażowana w Spotkania Śródziemnomorskie, których trzecia edycja z udziałem papieża Franciszka odbyła się we wrześniu br. ■



Fontaine de l’Espérance

FOT. © CANTAGAL.COM

Wolność, którą prawie miały w rękach...

■ BOHDAN URBANKOWSKI



Pamiętnik Wandy Przybylskiej *Częstka mego serca* miał już wydania zagraniczne: ukazał się w Danii, we Włoszech (dwukrotnie!) i we Francji, doczekał się tłumaczenia na japoński (!), a w 2019 roku ukazał się jego przekład niemiecki: *Ein Teil meines Herzens*. Była to praca zupełnie bezinteresowna, więc chociaż odnotujmy nazwiska tłumaczek: Lucie Rauff i Renata Weiss z Niemieckiego Towarzystwa Dobrego Sąsiedztwa z Polską. Wydająca pamiętnik ewangelicka oficyna Donat Verlag urządziła też kilka spotkań promocyjnych, między innymi w Bremie, Hanowerze i Berlinie. Wstyd powiedzieć, ale w Internecie więcej jest o tym pamiętniku wzmianek w językach obcych, po niemiecku, nawet japońsku – niż po polsku.

Pamiętnik dorosłego dziecka, wstępy dziecięcych dorosłych

W polskiej pamięci pamiętnik Wandy Przybylskiej nadal nie istnieje – jak zresztą i sama autorka. Miał dwa wydania, które przeszły bez echa, może dlatego, że ukazały się w pechowych latach (1969, 1985), może dlatego, że miejsce Wandy zajęte zostało już przez inną dziewczynkę – Anne Frank, więc po co nam jeszcze jedna bohaterka, nie możemy aż tyle się wzruszać.

Na literaturę poświęconą Armii Krajowej nigdy nie było dobrej pory. Złożyły się na to przyczyny polityczne i głębsze od nich, światopoglądowe, sięgające dna naszej kultury – słowo „dno” jest tu bardzo na miejscu. Analizę tych głębszych przyczyn zajmujemy się na końcu szkicu. W tym miejscu dopowiedzmy jeszcze, iż nie pomogły promocji pamiętnika Przybylskiej nazwiska autorów wstępów. Najpierw był to Lesław Bartelski, którego w 1969 roku kojarzono z ruchem moczarskim, potem Jarosław Iwaszkiewicz, pisarz momentami genialny (nowele, *Plejady*, *Kosmogonia*, pederastia) – ale o fatalnej opinii koniunkturalisty. Dopiero teraz, gdy jest pogoda dla koniunkturalistów, tchórzy i pederastów, wstęp Iwaszkiewicza mógłby pomóc, przynajmniej w warszawskim „salonie” – lecz niestety, pisarz leży



□ Młodziutka Wanda Przybylska nazywana przez najbliższych Dadą, autorka pamiętnika *Częstka mego serca*; podczas Powstania Warszawskiego pracowała jako sanitariuszka; zginęła 4 września 1944 roku.

Na pytanie: Czy polska Anne Frank? – trzeba odpowiedzieć krótko: Nie. To ktoś inny – trochę młodszy, trochę mądrzejszy, bardziej utalentowany. Ktoś, kto powinien odzyskać miejsce w podręcznikach, programach nauczania, a przede wszystkim w pamięci Polski i Europy – przekazane w ramach zakończonej politycznej poprawności rodzinie Anne Frank.

Bohdan Urbankowski ■

w grobie brzuchem do dołu i w mundurze górnika, a książka Wandy – na półkach bibliotek, też jak w grobie.

Wykorzystując fakt, iż raz do roku Polacy przypominają sobie o Powstaniu – przypomnijmy autorkę i jej książkę. Nieliczni publicyści wspominający o pamiętniku Przybylskiej dodają, iż pisała go 14-letnia uczennica. Jest to po części prawdziwe, to znaczy wymaga dopowiedzenia.

Wanda Przybylska urodziła się w 1930 roku (dokładnie 10 czerwca), pamiętnik zaczęła pisać nie gdy miała lat 14, na-

wet nie gdy miała 12 lat, a rok wcześniej. Wyczytać to można w zapisie z 17 sierpnia 1942: „Przecież ja i w zeszłym roku pisałam pamiętnik. Ale jaki on był? Jaki był suchy, wcale nieciekawy [...]. Teraz dopiero wiem, jak się pisze pamiętnik”. Wiemy więc, dlaczego, osiągnąwszy 12-letnią dojrzałość – Wanda spaliła pierwotną wersję pamiętnika.

Na prawach dygresji parę słów o biografii autorki. Nie jest długa. Wanda urodziła się w rodzinie nauczycielskiej, co nie pozostało bez wpływu na jej rozwój, dodatkowych bodźców dostarczały liczne podróże. Urodziła się w Sochaczewie, w 1937 roku rodzina zamieszkała w Piotrkowie – tam przeżyła wybuch wojny i aresztowanie ojca. Po jego uwolnieniu, wiosną 1940, państwo Przybylscy przenieśli się do Warszawy, zamieszkali w byłym Domu Akademickim na Tamce. Ze względu na ciężkie warunki lokalowe Wandę

umieszczono na czas jakiś w Aninie. Tam, wiosną 1942, dziewczynka zaczęła znowu pisać.

Na tym etapie pamiętnik Przybylskiej podobny jest do pamiętnika Anne Frank i setek innych „dzienniczków”. Przeważają relacje z koleżeńskich spotkań i rozmów, ubarwiają go wiersze – przepisane lub własne.

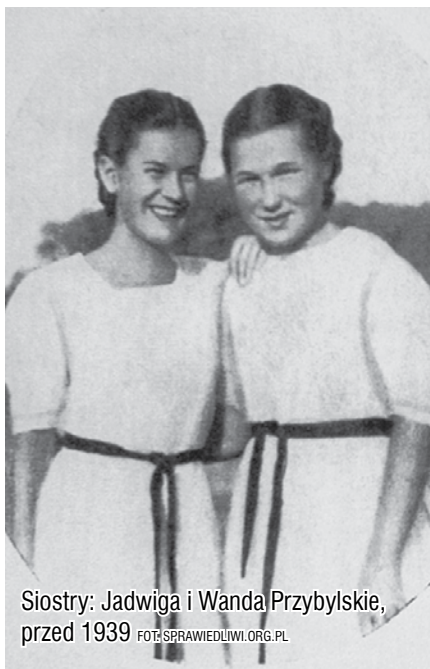
1 sierpnia 1942 roku Wanda pisze: „teraz zaczęła się u mnie mania pisania wierszy”. Nie znaczy to, że nie pisała ich wcześniej, jeden z nich, wcale nie pierwszy, wpisała 30 lipca. Wanda miała pisarskie ambicje, ale i duże wymagania. Z jednej z notatek

(24 lipca 1942) dowiadujemy się, że „zrobiła z własnej książki ognisko”. Stąd prosty wniosek, iż pisała ją, lub nawet napisała, przed tą datą. Treści jej już nie poznamy. Pojawiają się też zapisy świadczące o dużej wrażliwości i „otwarcium” na ludzi. Następuje pierwszy krok w dorosłość: 10 sierpnia 1942 roku zapisuje, iż widziała na stacji dwóch niemieckich żołnierzy. A właściwie to oni jej się przyglądali, i to z niekłamana miłością. „On – pisze o wehrmachtowcu – pewno ma taką małą córeczkę, którą zostawił. Miał łzy w oczach, jak uśmiechał się do małej dziewczynki. Było mi go żal! Bardzo żal!”. Zaskakujące? Ile trzeba dobroci i mądrości, by zdobyć się na takie słowa...

Z biegiem dni historia podsuwa dziecku sceny coraz okrutniejsze. W pamiętniku pojawiają się wspomnienia z wojny, 20 sierpnia trafimy na opis likwidacji faleńskich Żydów. Zapis z tego dnia zaczyna się radośnie: „Jedziemy na plażę do Świdra!”. Ale to podstęp losu, kolejna inicjacja w dorosłość: zamiast oczekiwanego opisu plaży w pamiętniku znajdujemy opis: „To mrowie ludzkie siedzące nieruchomo w taki spiek. To mrowie trupów!!! Słyszę jęk i płacz i widzę szyderczy śmiech! Za cóż to? [...] Za to, że jest się takiej, a nie takiej narodowości. Za to, że to Żydzi, a nie oni? Więc za to można się tak znęcać? Można być takim barbarzyńcą!”.

W zapisie z następnego dnia znajdujemy ciąg dalszy dramatu: „Tam, gdzie wczoraj siedzieli Żydzi, dziś jest już tylko pobożewisko trupów i resztki porzuconych ubrań! Żydów wywieźli. A tych, którzy zostali zamordowani, nawet nie sprzątają”.

W tej samej części pamiętnika (6 września) znajdujemy informacje wojskowe, z których znaczenia dla naszej wiedzy o historii dziewczynka może nawet nie zdaje sobie sprawy: „nastąpiło bombardowanie Warszawy” (dopowiedzmy: przez lotnictwo sowieckie), „mieszkańcy uciekają nawet na noc i nocują w lesie”. Wandzie przypomina to wrzesień 1939 roku: „Wtedy też tak samo było. Też tłumy ludzi uciekały z Warszawy. A może to jedno będzie inaczej, wtedy zaczęła



Siostry: Jadwiga i Wanda Przybylskie, przed 1939 FOT.SPRAWIEDLIWI.ORG.PL

się wojna, a teraz się skończy”. To ważne zdania dla zrozumienia głębokich, tkwiących w ludziach oczekiwań – i tym samym późniejszej aprobaty dla powstania. Notatka z 18 października informuje o tym, co działo się kilka dni wcześniej: „Dnia 12 X 1942 r. były tu, w Aninie, bomby zegarowe podłożone pod tor. Ale nie tylko w Aninie. W tej chwili na całej Guberni. A wczoraj powiesili tych zakładników”.

Świat dziecka zmienia się powoli w koszmarny, ale pamiętnik jest zarazem świadectwem, jak po chwilowym załamaniu („nie wierzę już, aby to piekło mogło się skończyć” – 18 października 1942) dziecko zaczyna z tym koszmarem walczyć, opanowywać go intelektualnie i tak zaczyna brać udział w zbiorowym wysiłku na rzecz niepodległości.

Takich świadectw nie ma w innych pamiętnikach. Zapis z 7 stycznia mówi o dzieciach z lubelskiego, w wieku od 1. do 10. lat, które marzną w pociągach stojących na bocznicach. To dzieci z Zamojszczyzny oderwane od swoich rodziców. Trzeba im pomóc. Zapis z 18 stycznia 1943 roku mówi o łapankach, zapis z 24 kwietnia o walkach w getcie. 3 maja pojawi się następujący zapis na ten temat: „Żydzi

bronią się wciąż jeszcze w getcie. Już co prawda jest ich bardzo mało i tylko resztką sił bronią się. Zresztą całe getto już prawie płonie”. Zapis z 13 maja dramatycznie kończy ten temat: „Już prawie pół Warszawy się spaliło, to było getto. A teraz jeszcze i ciągle bomby”. Potem znów będą zapiski z codziennego życia, relacja z wycieczki do Wilanowa, wzmianka o urodzinach (10 czerwca) itp. To nieudana próba powrotu w dzieciństwo. Ale powrót taki nie jest możliwy. 23 czerwca Wanda postanawia przerwać pisanie: „nie mogę, bo musiałabym dużo, bardzo dużo pisać nieszczerze”.

W styczniu 1943 państwo Przybylscy przenieśli się na Pańską i zabrali Wandę z Aniną do Warszawy. Rodzice Wandy włączyli się w tajne nauczanie jako nauczyciele, dziewczynka też w tym uczestniczy – przede wszystkim jako uczennica, na swój sposób próbuje pomagać. 27 czerwca 1944 Wanda wraca do pisania pamiętnika. Widać, że uczyniła kolejny krok w dorosłość. Ta część pamiętnika jest jeszcze bardziej dramatyczna od poprzedniej. Mówi o oczekiwaniu na walkę i o samym powstaniu. Wzrusza dojrzałością moralną, Wanda – do niedawna dziecko – przeżywa problemy moralne i zarazem religijne – głębiej od wielu dorosłych. Zwróćmy uwagę na zapis z 2 lipca: „wagony śmiertelnie rannych ludzi” i dodaje: „Každy się na to oburzy i ja też się waham. Waham się, czy Niemców można nazwać naprawdę ludźmi. Patrzyłam na te śmiertelne rany, strasznie zniekształcone ciała, na umęczone ręce, rozpalone oczy i... musiałam, miałam litość”.

To pytanie o najgłębszy sens chrześcijaństwa – religii opartej na miłości... Dziewczynka waha się między nią a pragnieniem zemsty, przypomina sobie niemieckie zbrodnie, a jednak pisze: „czy za te straszne krzywdy musimy i czy potrzeba się mścić. Ja myślę, że ich winy są tak ogromne, że nie ma na świecie tak wielkiej żadnej pomsty. A nawet – czy my nie możemy rzeczywiście pokazać, że nie zawsze trzeba się mścić za krzywdy.

Ciąg dalszy na s. 16 ▶



► Ciąg dalszy ze s. 15

Czyż nie możemy zrobić tak, żeby za krzywdy odpowiedzieć przyjaźnią! Ale oto myślę i mówię już: nie! [...] Trzeba zemsty. I znów wraca wahanie i prośba: sama nie wiem, jak powinno być. Jak trzeba? O!... Boże... Ty dopomóż, Ty wskaż drogę”.

Następne zapisy to już notatki z oczekiwania na walkę. Znów zaskakuje dojrzałość polityczna i wiedza 12-letniej dziewczynki. Pamiętnik przekazuje nastroje Warszawy, nastroje konspiratorów – przekonuje, iż powstanie nie mogło nie wybuchnąć, 30 lipca, w poniedziałek, Historia, ta pisana wielką literą, podchodzi do bram stolicy: „Już Bolszewicy (!) zajęli Otwock i dochodzą do radości. Radość jest o 15 km od Warszawy. Już przez cały dzień słychać huk armat. Niedługo wyzwoleństwo (!)”.

Powstanie

Powstanie wybucha 1 sierpnia. Czytelnika może zaskakiwać, iż 14-letnia Wanda wiedziała o nim z góry – choć może niezbyt dokładnie. To ważny zapis pogłosek elektryzujących polską świadomość zbiorową.

„Ale i oto wybija – pisze 1 sierpnia, we wtorek. – Jest teraz wpół do czwartej i za pół godziny ma się zacząć powstanie. Tak, aby jutro nie było już Niemców. Dziś z rana Bolszewicy (!) byli już w Warszawie, na Pradze. Co prawda były to pierwsze czołówki, Niemcy ich odparli. Co chwila spoglądam na zegarek. O! teraz już tylko piętnaście minut i prawdopodobnie znacznie się rozlewie krewi.

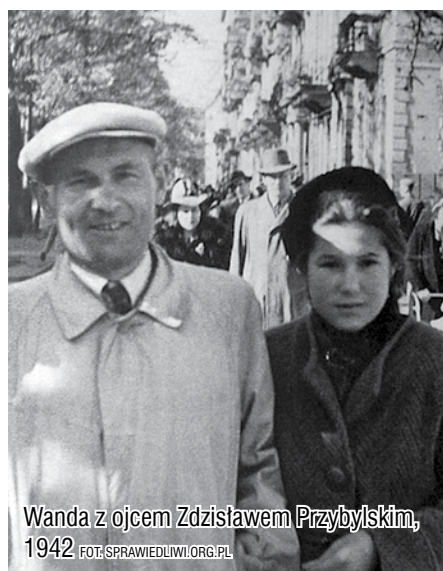
Było dziś cały dzień brzydko. Deszcz padał bezustannie. Teraz słońce wyjrzało i zrobiła się cudna pogoda. Przychodzi mi na myśl, że słońce chce oświecić, rozradować i dodać otuchy tym, którzy za chwilę mają walczyć za Ojczyznę!”.

Potem, w telegraficznym skrócie, pojawiają się pierwsze zapiski z najwspółczesniejszej historii. Zdobyte na wrogu auto ozdobione białą-amarantową chorągwią, zdobycie budynku na rogu Zielnej i Bagna, szpieg czy Niemiec, który przejeżdża rowerem i rzuca granat na akowców stojących w bramie, pierwsi ranni, sanitariuszki biegnące ulicą – Wanda żartuje, że z powodu choroby nie może im pomóc – okrzyki nawołujące do nabierania wody, za chwilę ma też nie być światła... „Jest rzeczywiście wojna – pisze Wanda. – Teraz jest 9 godzina [...] położę się trochę i pomodłę za tych, co zginęli i co żyją, a są w wielkim niebezpieczeństwie”. Tak kończy się pierwszy dzień Powstania.

2 sierpnia mimo gorączki Wanda włącza się do prac sanitariuszek – w domu, w którym mieszkają Przybylscy, zorga-



Jadwiga Przybylska z córkami Wandą i Jadwigą, 1942 FOT.SPRAWIEDLIWI.ORG.PL



Wanda z ojcem Zdzisławem Przybylskim, 1942 FOT.SPRAWIEDLIWI.ORG.PL

nizowano punkt sanitarny. Dziewczynka całą noc nie śpi, szykuje łóżka dla rannych, przygotowuje opatrunki – „Tak czas zszedł do rana”. Dziewczynka zapisuje też pierwsze dobre wiadomości z pola walki: „Bolszewicy są już w Warszawie, na przodzie, na Żąbkowskiej. Mosty są opanowane przez naszych, tak, że lada chwila mogą być w Śródmieściu. [...] Plac Napoleona opanowany przez naszych. [...] Przed chwilą przechodzili nasi żołnierze i prowadzili jeńców”.

Niestety niewiele z tych pogłosek odpowiada prawdzie, jak się rzekło: to raczej dokument stanu świadomości, zapis pogłosek i oczekiwań od historii – niż samej historii.

Dzień później wciąż pełna optymizmu Wanda dopisuje: „Walki idą pomyślnie. Na przedmieściach Warszawy są już Wojska Polskie, które przysły z lasów, i Armia Polska, która idzie z Bolszewikami”.

Powtórzmy: to nie zapis historii, to zapis stanu świadomości warszawiaków. Dopiero zapis z 4 sierpnia wieje zwątpieniem: „aż mi się nie chce pisać. Żadnych dobrych wiadomości. Chłopaki trzymają się bardzo dzielnie, zajmują nowe pozycje, ale cóż?... niedługo zabraknie naboju. Żadnej pomocy od Bolszewików ani Anglików! A za to Niemcy ruszyli. Dziś pogoda jest

piękna. Zaczęły się też bombardowania. Cóż!... na to nasi są bezsilni. Nie mają dział przeciwlotniczych. Więc ci bezczelnie dranie zniżają się i nawet tną z karabinów maszynowych. Wciąż wyglądamy samolotu angielskiego albo sowieckiego... a tu nic. [...] Znów się pali w dwóch miejscach”.

5 sierpnia sytuacja jeszcze się pogarsza. Wanda spędza prawie cały dzień w schronie.

6 sierpnia jakby historia stanęła w miejscu: „Siedzimy w schronie. Jesteśmy przygotowani na śmierć. Gdzie wpadną Ukraińcy – wszystkich wyrzynają. [...] Naokoło się pali (Niemcy rzucają bomby zapalające). [...] Przymomina mi się teraz getto i broniący się Żydzi, którzy wyginęli co do jednego. Tak teraz my będziemy wyglądać. Wolność, ta wolność, którą już, po pięciu latach, mamy prawie w swych rękach, ma być znowu przez nas utraczona. To chyba niemożliwe!!! Pomocy!!! Cudu!!!”.

Podobne w nastroju są następne zapisy.

8 sierpnia Wanda pisze z rezygnacją: „Już minął tydzień powstania. Plany się pokrzyżowały, bo kto z nas lub żołnierzy przypuszczał, że to potrwa więcej niż kilka – 2-3 dni. A tymczasem stało się inaczej – trudno – wolna Boża. Może choć teraz, po tygodniu coś się zmieni i zaświta nam wolność [...]. Dlaczego nic się nie dzieje”.

Nie „dzieje się” wielka historia, nie rusza ofensywa aliantów, poza tym dzieje się wiele rzeczy radosnych i tragicznych – Wanda odnotowuje je wszystkie z dokładnością przydatną dla przyszłych historyków.

9 sierpnia – powszechna radość z powodu uruchomienia polskiego radia i magnetofonów ulicznych.

10 sierpnia – wiadomość o wymordowaniu przez Ukraińców [tak naprawdę to byli Rosjanie z RONA – BU] mieszkańców z Wawelskiej.



11 sierpnia – wiadomość o pierwszych nocnych zrzutach.

13 sierpnia: „Dziś jest piękna pogoda, więc zaczęły się bombardowania już od rana”.

I mimo wszystko optymizm: „Nasi zwyciężają (dziś zdobyli dwie nowe pozycje)”.

15 sierpnia – porażające wiadomości o uciekinierach z innych dzielnic, o rozstrzelaniu ludności przez Niemców. Nie tylko: „Niemcy znów podpalają szeregi domów miotaczami min. [...] Były też wypadki, że kobiety i dzieci pędzili przed czołgami, po to, by nasi żołnierze nie mogli do tych czołgów strzelać”.

17 sierpnia – pogłoski o spodziewanym ataku bolszewików na Warszawę. Powstanie zamienia się w codzienność, pożary, naloty, życie w ogniu stają się codziennością, śmierć staje się codziennością. Wanda próbuje pomagać przy rannych, czyta *Nad Niemnem*, żyje.

22 sierpnia przynosi trochę dobrych wieści: „Niemcy zostali wykurzeni z PASTY (Gmach telefonów na Zielnej). Siedzieli tam zamknięci od początku powstania, obstrzeliwali naszych wysmienicie, bo PASTA to duży gmach. Dziś już na PAŚCIE powiewa polska flaga, a cała jej załoga (100 ludzi) wzięta do niewoli lub (bo byli tam SS i żandarmeria) rozstrzelani. My mamy wreszcie spokój od ostrzału i można już swobodnie chodzić po Pańskiej”.

Kolejny sukces 22 sierpnia: „Nasi odparli wiele natarć niemieckich, a przede wszystkim zdobyli kilka pozycji niemieckich. Między innymi kościół Świętego Krzyża, gdzie Niemcy bronili się. Walka trwała we wnętrzu kościoła [...]. Na koniec Niemcy podpalili go. Szkoda, bo to był bardzo ładny zabytek. W kościele byli uwięzieni Polacy, nawet i dzieci. Toteż świetnie się udało, bo oni zostali ocaleni”.

25 sierpnia przynosi tylko dwa zdania: „Jest coraz ciężiej żyć. Coraz bardziej jesteśmy wycieńczeni i przygnębieni, że nic się nie polepsza”.

W pamiętniku następuje kilkudniowa przerwa.

Pod datą 28 sierpnia znajdujemy wyjaśnienie: „Nie pisałam już trzy dni, ale po tym, co przeżyłam, trudno mi nawet dziś pisać. Było straszne piekło”. Potem Wanda opisuje życie pod ostrzałem potężnych moździerzy zwanych „krowami”: „Robi się przeraźliwie ciemno, tak jak w najgłębszą noc, jest także ogień, który przebiega z impetem powietrze. Podnosi się jakiś przeraźliwy, straszny kurz i dym, który dusi w gardle i płucach i zatyka gardło, są takie huki, a w tym wszystko leci, wszystko się kołtuję. Meble się łamią i przewracają, cegły, sufit [...] wszystko leci i spada na głowę, cały dom lata”.



Wanda Przybylska (1933-1944)

FOT. SPRAWIEDLIWI.ORG.PL

W schronie też jest niewiele lepiej: „Wszystko się trzęsie i kurz podnosi się taki, że musieliśmy robić sobie chusteczki z gazy moczowej, które zakładało się na nos i usta. [...] Gdy wyszłam na chwilę ze schronu, zobaczyłam straszny widok, wszędzie ruiny. Wokoło ani jednego całego domu i... nie ma też mojego. Wszystko zburzone, zniszczone. Całe podwórko zawałone gruzem i belkami”.

Tak już będzie do końca. Ostatni zapis pochodzi z 29 sierpnia. Wanda leży w piwnicy, dalej chora, dzień wcześniej miała 40 stopni gorączki.

„Życie jest teraz okropne. Śpi się i siedzi cały czas w piwnicy, w tym brudzie i wilgoci. Umyć nie można, bo woda jest za cenę złota. Kanalizacja przerwana... po wodę chodzi się do studni na trzecia ulicę, pod ostrzałem. Stoi się w ogonku 3-4 godziny, [...] gdy wyjdzie się na ulicę lub na podwórko, wszędzie wokoło gruzu lub ruiny”.

Wanda Przybylska nie dokończyła swego pamiętnika, a właściwie swej kroniki powstania. 4 września, w czasie walk na Powiślu, niemiecki pocisk ugodził dziewięć-

czynkę w skroń. Rodzice i jej siostra, 17-letnia sanitariuszka, byli bezsilnymi świadkami jej śmierci. Nie biernymi: biegli przez zwaly gruzów z konającą Wandą na rękę, szukali powstańczego szpitala – gdy go znaleźli, dziewczynka już nie żyła. W plecaku, który Wanda zawsze nosiła w tamtych dniach, oprócz paru sucharków i jakichś niezbędnych drobiazgów znaleźli jej pamiętnik. Szkolny zeszyt bez okładek, zapisany dziecinnymi pismem, pełen wykrzykników, czasem jeszcze szkolnych błędów – a jakże dorosły!

Do pamiętnika, który od wydawców otrzymał tytuł *Cząstka mojego serca*, dołączone zostały próby literackie i listy – wśród nich list do Hanki Dobrowolskiej, drukowany też osobno w prasie jako *Powstańczy list*. Jest to właściwie opowiadanie w formie listu – pisanego już po „powstaniu sierpniowym”, to znaczy po szczęśliwym końcu walk. Młoda autorka nie przypuszczała nawet, że Powstanie trwać będzie do początków października i że nie skończy się zwycięstwem. Jest to nadzwyczaj dojrzała i tragiczna opowieść. Akcja dzieje się w piątek, 11 sierpnia – po otrzymaniu przez Wandę wiadomości o zbrodniach Niemców na Wawelskiej. Bohaterka, czyli sama autorka, udaje się z meldunkiem do oddziału na placu Narutowicza, jest śmiertelnie zmęczona, próbuje przysnąć – budzi ją jednak rozkaz: ma iść z kolejnym meldunkiem do oddziału walczącego w rejonie Wawelskiej. Oficer nie kryje przed nią, iż daje jej rozkaz dlatego, że jej poprzedniczka nie doszła. Bohaterka idzie piwnicami, potem przemyka ulicą pod ostrzałem. Natyka się na martwe ciało łączniczki – swojej poprzedniczki. Na Wawelskiej wchodzi w podwórze i trafia na ofiary masakry. Widzi krwawiącego dzieciaka, który nie może się ruszyć, bo jego ciało przywala jakiś trup.

Ciąg dalszy na s. 18 ▶



Patrol sanitarny Wojskowej Służby Kobiet na ul. Moniuszki FOT. DP / CC BY-SA 3.0

► Ciąg dalszy ze s. 17

Wanda wyciąga go spod zabitego, zakłada mu na rany opatrunki. Idzie dalej – i trafia na ciało swojej przyjaciółki, Krystyny. Dziewczyna leży na ziemi, jedną ręką ściska dłoń matki – również martwej, w drugiej zaciska ryngraf, który kiedyś dostała od swoich przyjaciółek. Wygląda na martwą, i choć serce bije – narratorka nie może jej docucić. Opowiadanie pozostało – chyba celowo – zawieszane. Nie chce się wierzyć, że autorka miała 14 lat!

Martyrologia, nihilizm, heroizm – słowa do przemyslenia

Powtórzmy jeszcze raz: w polskiej pamięci pamiętnik Wandy Przybylskiej nadal nie istnieje – jak zresztą i sama autorka. Propagandziści tworzący fikcyjną historię PRL, zmyślający fikcyjnych bohaterów nie mogli zgodzić się na to, by do zbiorowej pamięci docierały wiadomości o prawdziwych bohaterach i prawdziwych godnych podziwu czynach. Dotyczyło to zwłaszcza czasów Powstania Warszawskiego, wobec którego komuniści winni są zbrodni prowokacji i zaniechania obiecannej pomocy. Ktoś powie: PRL się skończył. – Tak, ale nie zmieniła się psychika zbiorowa jego mieszkańców – jest w niej nadal coś chorego, niewolniczego. Fakt, iż niewolniczenia pana, nie oznacza od razu, iż zmienia duszę.

Poprawność polityczna to wyższy stopień cenzury. Już Piłsudski kpił kiedyś z władz carskich, iż marząc o tym, by stojącego na chodniku policjanta wsadzić Polakowi w duszę. Władze PRL były bliskie tego sukcesu. Polskie elity, pod kierunkiem TW „Autorytetów” zaczynały wystrzegać się my-



śli o niepodległości (szczytem

marzeń była Kuroniowa „finlandyzacja”), kpiły z „bohaterszczyzny”, uprawiały antynacjonalizm bez nacjonalistów i antysemityzm – bez antysemitów. W III RP tendencje te wcale nie znikły. Polskie elity nie mają oporu przed włączeniem w tyłek, mają jedynie problem w czyj.

Pamiętnik Wandy Przybylskiej nie jest jedynym tekstem odrzuconym.

Kiedyś, już w niby wolnej RP, przy okazji dyskusji radiowej o *Głosach* upomniałem się o parę książek – o pamiętniki Trzebińskiego i Pohoskiej, o *Dzieciństwo w pasiakach* Bartnikowskiego. Oficjalnie usłyszałem zastrzeżenia, że po co nam martyrologia, prywatnie – jeden z redaktorów zwrócił mi na korytarzu uwagę, iż tego rodzaju apel może być odczytany jako „nacjonalistyczna” próba zastąpienia dzienniczka Anne Frank jakimś polskim autorem...

Nie wiem, czy ów redaktor jeszcze pracuje, wiem, że w mózgowicach Polaków nadal pracują kulturowane przez niego poglądy. Bojąc się podejrzenia o polski nacjonalizm – polskie elity uprawiają nacjonalizm niemiecki, żydowski, rosyjski, a czasem kilka naraz... Politycy wciąż nie rozumieją, że polem bitwy o Polskę jest dziś rzeczywistość wirtualna, nie doceniają, iż walka o pamięć jest równie ważna jak

walka o banki (przebrali zresztą jedną i drugą). Media pozostają nadal pod wpływem ideowym ludzi stanu wojennego, którzy byli dobierani na zasadzie selekcji negatywnej (bez etyki, bez wiedzy etc.) – i w ten sam sposób dobierali

sobie następców. Nawet jeśli niektórzy już zdechli – idee mają się dobrze, przeskoczyły na innych nosicieli. Nosiciele zaś – bojąc się usunięcia – szantażują otoczenie poprawnością, doszukują się wszędzie „nacjonalizmu” i co najmniej homofobii (ciotowstrętu). Wskazując wymyślone przykłady, dają potencjalnym sponsorom ważny sygnał: jesteśmy „Europejczykami” – gotowi jesteśmy działać przeciw Polsce, niszczyć polską kulturę – a honoraria brać w euro.

Przyjrzyjmy się dwom najczęściej używanym argumentom.

Zestawienie dzienniczka Anne Frank z pamiętnikami Wandy Przybylskiej może być owocne poznawczo albo jałowe, uczciwe etycznie albo nieuczciwe. Na pewno jednak nie ma niczego wspólnego z „nacjonalizmem”. To raczej niepisany zakaz takich zestawień jest nacjonalizmem *à rebours!* Cierpienie, zwłaszcza cierpienie niewinnych dzieci, ma wymiar ogólnoludzki, budzi protest – bez względu na to, w jakim języku krzyczą z bólu. Owszem, cierpienie dorosłych jest nieco inne – tu trzeba odróżnić cierpienie ofiar od cierpień, które stają się, rzadziej zresztą, udziałem oprawców, tak jak trzeba odróżnić agresję od obrony. W wymiarze biologicznym ból ludzki jest podobny, podobny nawet do zwierzęcego, w wymiarze duchowym, etycznym – są różne bóle i różne ich oceny. Tym właśnie różnimy się od zwierząt.

Dziennik Anne Frank (1929-1945), przynajmniej w pierwszej wersji, miał charakter bardziej prywatny, mówił sporo o problemach dojrzewania, o rodzącej się miłości, a w każdym razie o zainteresowaniu sferą płci. Znalazło się w nim sporo uwag i złośliwości „rodzinnych”, a nawet miejsce na humor – co czasem świadczyło o lekko-myślności, a czasem wymagało heroizmu. Trudno jest oceniać ten tekst – zwłaszcza że specjaliści wciąż nie mogą ustalić, co jest w nim autentycznym zwierzeniem, a co późniejszym „udoskonaleniem”. Można jednak założyć, że pamiętnik Anne byłby bardzo podobny, nawet gdyby powstał w innym, niewojennym czasie. Takie „listy”



Mjr Ivan Frołow (w środku) i oficerowie brygady RONA w czasie narady polowej podczas tłumienia Powstania Warszawskiego, początek sierpnia 1944 FOT:DP/CC BY-SA 3.0

do istniejących i nieistniejących przyjaciółek piszą tysiące dziewcząt. Nie są nad wiek rozwinięte, nie zdobywają się na refleksje nad historią czy moralnością. Zapiskom Anne Frank wyjątkowość nadają zewnętrzne okoliczności, wymiar tragizmu – nasza wiedza o przyszłej śmierci autorki.

Zabrzmiało to może okrutnie, lecz z punktu widzenia historyków Wanda Przybylska miała więcej „szczęścia”: los postawił ją w tym miejscu, w którym akurat decydowały się losy Polski i tej części Europy na lat wiele. Kazał żyć politycznymi nadziejami, których mechanizmy dopiero zaczęła pojmować i jeszcze obrzucił jej dom bombami. Pamiętnik Anne Frank tak szerokiej perspektywy historycznej czy etycznej nie miał – bo mieć po prostu nie mógł. Holandia była luksusowym zakątkiem piekła. Względny spokój opłacała śmiercią swych synów posłanych do SS-Niderland i codziennym donosicielstwem. Jego ofiarą padnie także rodzina Anne. Ale te rachunki sumienia muszą robić sami Holendrzy, tego nie można robić za nich – jeśli mają ich jakoś zmienić.

Podobnie absurdalny jest zarzut „nacjonalizmu” w odniesieniu do pamiętników Trzebińskiego, Pohoskiej czy wspomnień Bartnikowskiego. Nie przekreślają one obserwacji Anne Frank, raczej je uzupełniają – o wiedzę, której tamto dziecko mieć nie mogło. Rzucając doświadczenia jednostkowe na tło historii i historiozofii, konfrontując z projektami humanistów. Polska, ba, Europa, która zna pamiętniki Anne Frank, a nie zna Trzebińskiego, Pohoskiej, Bartnikowskiego, jest po prostu uboższa, głupsza. Ale co powiedzieć o Polsce, która niemal wstydliwie przemilcza pamiętnik Wandy?

Wymienione przeze mnie wspomnienia różnią się prawie wszystkim, mają jednak wspólny mianownik. Wspomnienia Bohdana Bartnikowskiego pokazują, iż nawet w piekle Auschwitz możliwa była przyjaźń,



Powstanie Warszawskie, powstańcze groby, sierpień 1944 FOTONAC

opieka, człowieczeństwo; wspomnienia Andrzeja Trzebińskiego to wspaniałe projekty ludzkiej kultury, ludzkiego świata – przeciw cywilizacji pogardy; wspomnienia Wandy Przybylskiej mówią o bohaterstwie tych, którzy przeciw piekłu urządzanemu przez okupantów powstali. Wspólnym mianownikiem tych książek jest heroizm. Nie ma w nich martyrologii.

Martyrologia jest pochwałą cierpienia, apologią męczeństwa. Otóż: żaden ze wspomnianych autorów nie chwali męczeństwa dla męczeństwa. Jeśli trafiają się opisy cierpienia – to przecież były ceną, jaką płacono za patriotyzm, za przyjaźń, za miłość. I właśnie to, że ludzie płacili taką cenę, jest miarą ich człowieczeństwa.

Literackie świadectwa tamtych lat nie są „cierpiętnictwem”, a fakt, iż mogły powstać, jeśli – przy okazji – największym świadectwem wiary w literaturę, wiary w sztukę łączącą prawdę, dobro i jeszcze piękno.

Frazeologia poprawności politycznej ujawnia nie tyle „humanizm”, co spustoszenia, jakie w humanizmie poczyniły komunizm i hitlerizm, a potem – kapitalistyczny konsumpcjonizm. Ujawnia lęk przed wolnością, lęk przed projektowaniem świata ludzkich wartości, lęk, by

nikomu się nie narazić. Z nadętej wiary w „ogólnoludzkie” wartości pozostaje jedynie wiara w wartości najniższe, materialne, więc nie tyle ludzkie, co zwierzęce. Poprawność polityczna okazuje się ideologią niewiary w człowieka, maską nihilizmu.

Wspomniałem o fantazji Przybylskiej Warszawa za dwadzieścia lat. Wróćmy do niej na zakończenie. Została napisana 9 czerwca 1944 roku.

Narratorka wraca po latach do Warszawy. To miasto-ogród. A może – jeden wielki Żoliborz. Drzewa, trawniki, kwiaty, w większych domach są windy, wszędzie elektryczność, kanalizacja, gaz. Nie ma tramwajów – jeździ się taksówkami albo metrem. Nie ma też małych sklepów – same magazyny. Przez Wisłę przerzucono dwaście mostów, odbudowano Zamek Królewski i część kamienia Starego Miasta – te zażytkowe. Na pozostałej części – park. Przy Marszałkowskiej, niedaleko Królewskiej, największy teatr w Polsce, nieco dalej, w największym gmachu – prezydent i ministerstwa. I nigdzie nie ma żebraków. Normalna wizja świata, demokratyczna (można było przecież marzyć o monarchii!), może nieco lewicowa. Narratorka zwiedza „sławne kolonie robotnicze”. Wśród drzew bielą się dwupiętrowe domki, widać też uniwersytet robotniczy, w kolonii nie brak żłobka, przedszkola i szkoły. W podwarszawskim Aninie, także w Wawrze i Międzyzlesiu – domy zdrowotne, a również domy dla sierot i starców. To chyba echa poglądów marzycieli z kręgu lewicowych piłsudczyków (opiekunczą rola państwa) i z kręgu Abramowskiego i Żeromskiego. To był jakiś pomysł na Polskę: szklane domy. W finale opowiadania dziewczyna widzi wielki pomnik Wolności ku czci rozstrzelanych w ostatniej Wielkiej Wojnie. Nie umarli bez sensu. Ona też. Wanda wiedziała, w jakiej Warszawie żyje i o jakiej Warszawie marzy, o jaką chciała walczyć i za jaką mogłaby nawet oddać życie. My tego nie wiemy. Żyjemy z kaleką pamięcią i z amputowaną wyobraźnią.

BOHDAN URBANKOWSKI ■



Płonące domy przy ul. Marszałkowskiej

FOT. DP / CC BY-SA 3.0

Satyrykom bezrobociu nie grozi...



Marian T. Karaś, Tarnobrzeg, maj 2023 FOT. © LECH L. PRZYCHODZKI

Z Marianem Tadeuszem Karasiem rozmawia Lech L. Przychodzki.

Lech L. Przychodzki: Wydałeś ostatnio trzeci zbiór aforyzmów i fraszek. Wszystkie dzieli spora otchłań czasowa: *Igraszki satyra* ukazały się w roku 1995, w 2007 *Zamyślenia z myślenia* a dopiero w roku 2022 *Słowo się rzekło*. *Igraszki z myślą*.

Czy wpłynął na to fakt, iż uprawiane przez Ciebie gatunki należą do zdecydowanie niełatwych czy też najistotniejszą przyczyną sygnalizowanych przerw (acz przez cały ten czas publikowałeś) były tzw. czynniki losowe? A może dla Karasia-autora i formy aforyzmów ów upływ lat pomiędzy kolejnymi książkami nie ma specjalnego znaczenia?

Marian T. Karaś: Zdecydowanie czynniki losowe; moją sytuację permanentnie determinowała bieda, uwikłany w działalność solidarnościową, całe lata 80. spędziłem na obronie własnych przekonań, za co płaciłem cenę chwytania się za

byle jakie zajęcia, gwarantujące jakiekolwiek zabezpieczenie materialne. Stąd praca w piekarni, cegielni, PKS-ie itd. Dla mnie nie ma trudności z materia – po prostu przychodzi mi coś do głowy, a ja to notuję i staram się wprowadzić to w obieg. Czynię tak od lat. Ot i wszystko.

Wedle Macieja Edera (*U źródeł aforystyki polskiej. Studium o „Przysłowiacz...”* Andrzeja Maksymiliana Fredry) aforyzm w dzisiejszym rozumieniu powstał na ziemiach polskich stosunkowo niedawno. Tworzyli potem te subtelne mini-formy literackie tacy giganci polskiej kultury jak Aleksander Świętochowski, Stanisław Brzozowski, Henryk Elzenberg, Antoni Kępiński czy Stanisław

Jerzy Lec. Umiejszczasz się jakoś w tej tradycji, czy raczej – doceniając ją – wolisz zająć się własnym spojrzeniem na świat?

Z wymienionych przez Ciebie twórców, zetknąłem się z dziełami Kępińskiego i Leca. Na studiach wpadł mi w ręce zbiór aforyzmów Nietzschego; zrobił na mnie wrażenie, jeżeli jednak do kogoś z nich nawiązuję – czynię to nieświadomie. Myślę, że każdy ma własne, indywidualne spojrzenie na świat.

Łatwo zauważyć, iż cenisz sobie współpracę rysowników-satyryków. Pierwszą książkę ilustrował Jan Surma, kolejne Michał Graczyk. Obaj postrzegają współczesne (nie tylko polskie) realia jako wybitnie siermiężne, gdzie pod szyldem głoszonych publicznie

wysokich ideałów kryją się zwyczajne ludzkie małości, by nie rzec – głupota i podłość... Nie boisz się, iż rysownicy zdominują przesłanie literackie?

Na temat rysowników mam wyrobioną opinię. Moim zdaniem stanowią oni liczących się udziałowców w kreowaniu satyrycznej wizji



świata. Po pierwszej książce krytyka zdecydowanie podkreśliła udział w całości Jana Surmy, który po zrobieniu mojej karykatury zawiesił (nie wiem czy na dłużej) swoją działalność rysowniczą.

Na temat rysunków Michała Graczyka nie znam żadnej opinii. Poza opinią kolegów i własną!

Właściwie od „zawsze” poruszałeś się na styku kultury oficjalnej i niszowej. Przygotowanie zawodowe masz niezgorsze, bo prócz archeologii na Jagiellonce w latach 70. XX wieku ukończyłeś tam podyplomowe dziennikarstwo. Tylko niemal od początku kariery reportażysty (bo tę formę ukochałeś najbardziej) pisałeś niejako pod prąd oficjalnej propagandy sukcesu. Stąd baczna uwaga, jaką poświęciła Ci SB i w czasach Generała zawodowe sprowadzenie do parteru. Które z ekip dziennikarskich, z jakimi pracowałeś, wspominasz najlepiej. Bo potem musiałeś już walczyć o przeżycie... Na szczęście nie gubiąc ideałów...

Zainteresowanie SB moją osobą było konkretne. Kiedy podjąłem pracę w „Tygodniku Nadwiślańskim” w 1981 roku, spotkał mnie zaszczyt propozycji wykonania dla nich charakterystyki dziennikarzy pod kątem ich słabych stron – na przykład czy mają kontakty z rodziną na Zachodzie, co mówią po spożyciu alkoholu czy lubią kobiety bądź mężczyzn. Oczywiście odmówiłem. Proponujący mi rzecz oficer skwitował to następująco: „Panie Karaś, lepiej żeby Pan pisał o kimś, niż ktoś o Panu. My i tak kogoś znajdziemy!”. I znaleźli. Tyle, że ja już byłem w „Biuletynie Informacyjnym NSZZ «Solidarność» Ziemi Sandomierskiej”, gdzie zastał mnie stan wojenny. A posłuszny władzy dziennikarz uniknął poniżającej weryfikacji i dotrwał



Drugi od prawej: Dzielny Wojak Karaś w Szkole Oficerów Rezerwy FOT. ARCHIWUM MARIANA KARASIA

w redakcji „Tygodnika Nadwiślańskiego” do upadku komuny.

Z perspektywy lat dochodzę do wniosku, iż najlepiej było mi w redakcji zakładowej gazety Huty Stalowa Wola – „Socialistyczne Tempo”. Dziś taka nazwa śmieszy, wtedy była normą. Nasza szefowa nie pisała niczego, ale dbała o właściwe kontakty z „opieką” gazet w PZPR. My, załoganci, byliśmy od pisania, a ja w ramach rozpedu obroniłem na dziennikarstwie UJ pracę dyplomową, zatytułowaną: *Analiza zawartości artykułów o tematyce gospodarczej na łamach „Socialistycznego Tempa”*.

Próbowano Cię zrobić w różne historie, nawet włamanie (do własnej kuzynki), a jesienią 1981 roku w rzecz znacznie poważniejszą – znieważenie naczelnych władz PRL. Miałeś sporo szczęścia, bo objęła Cię amnestia. Ale

do reportażu nie wróciłeś. Odreagowywałeś, pisząc pierwsze aforyzmy i fraszki. I tak zostało do dziś...

Zacznijmy od tego znieważenia. Jesienią 1981 roku wybrałem się do Sandomierza na imieniny zaprzyjaźnionego malarza – Tadka Sygientowskiego. Świętowanie zajęło nam trochę czasu, a w regionie trwał strajk generalny, nie było czym wrócić do Tarnobrzega. Próbowałem więc przenocować w Domu Turysty. Niestety zostałem potraktowany z butą przez panią z recepcji. Nie wytrzymałem. Wygarnąłem jej, że poza sezonem – a nawet w trakcie – są miejsca dla swoich, a dla mnie nie ma. Uczyniłem to pewnie nazbyt sugestynnie. Ostatecznie musiałem za pół litra wódki z Pewexu wrócić taksówką do domu. Wkrótce dowiedziałem się, iż wdrożono przeciwko mnie postępowanie prokuratorskie, co zdecydowało ostatecznie o przejściu do regionu Solidarności.

Jeżeli chodzi o włamanie do mieszkania kuzynki była to SB-ecka prowokacja. Akurat udało mi się znaleźć pracę w Muzeum Okręgowym jako kierownik sandomierskiego Zamku, który właśnie po 20. latach remontu oddano do użytku. Niestety, szczęście trwało tylko trzy miesiące. Miałem pecha. W Muzeum uwił sobie gniazdko były SB-ek, Adam Szkoła, który dorabiał do swojej SB-eckiej emerytury jako kierownik administracji. Dał on mi faktycznie niezłą szkołę. Załatwił mi „dołek” w Komendzie Miejskiej w Tarnobrzegu. Przy okazji jego opuszczania dowiedziałem się, że byłem podejrzewany o dokonanie włamania do mieszkania kuzynki. Totalna bzdura, chodziło o przeszukanie mojego mieszkania. Na szczęście bieżącą bibułę trzymałem w matczynej stodole we wsi.

Redakcja tarnobrzesckiej „Siarki”, M. Karaś drugi od lewej; koniec lat 70. FOT. ARCHIWUM MARIANA KARASIA



Ciąg dalszy na s. 22 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 21

Próbując się bronić uruchomiłem Kostka Miodowicza, z którym studiowałem archeologię. Na nic jednak nie zdały się moje zabiegi. Kostek podczas rozmowy w Busku-Zdroju oświadczył, że nie utrzymuje z ojcem żadnych kontaktów. Jedyłą rzeczą, jaką mi załatwił, było miejsce w Klinice MSW, gdzie dokonano operacji nerki mojej żony. Po trzech miesiącach znowu byłem na zielonej trawce, ale podobnie jak w różnych innych opresjach życiowych, przyszedł mi z odsieczą mój średni brat – Andrzej. Załatwił mi pracę w cegielni polowej Andrzeja Piskorskiego, gdzie zajmłem się rekultywacją wyrobisk pocegielnianych na stawy rybne. Tam zastał mnie czerwiec 1989 roku.

Znowu zacząłem pisać, tym razem do „Biuletynu Komitetu Obywatelskiego *La-birynt*”. Wszystko za darmo. Pieniądże jako dziennikarz zacząłem zarabiać w roku następnym.

W 1990 zostałeś potraktowany jak smarkacz przez red. Białka, wtedy dyrektora oddziału „Gazety Wyborczej” w Kielcach (naczelnym był red. Załucki). Przez rok pisałeś i zbierałeś ogłoszenia, nie mając choćby legitymacji służbowej. Nie pomogła nawet interwencja Seweryna Blumsztajna. Nie pasowałeś do „GW” ideologicznie czy etycznie?

Zaczepliłem się wówczas w tworzonej właśnie kieleckiej mutacji „Gazety Wyborczej”. Słowo „zaczepiłem” oddaje złożoność sytuacji, w której się znalazłem. Umowę o akwizycję ogłoszeń podpisałem i to dość szybko. Na umowę o pracę dziennikarską nie doczekałem się nigdy. Pisałem za wierszówkę i prowizję od reklam. Było tego sporo, zważywszy, że wierszówki w „Gazecie Wyborczej” płacono dość solidnie, ale najwięcej dochodów przynosiła akwizycja.

Wykorzystując osobiste kontakty w Siarkopolu (który chylił się ku upadkowi) zmonopolizowałem ogłoszenia o przetargach na domy do rozbiórek i wyprzedaży wszelkiego mienia ruchomego, głównie samochodów. Oddział tarnobrzeski „Gazety Wyborczej” dostarczał więcej pieniędzy niż wieloosobowy oddział radomski. Nic więc dziwnego, że gdy oświadczyłem panu Białkowi, iż kończę prowizorkę w jego „Gazecie”, zaproponował mi dalszą współpracę w zakresie... reklam i ogłoszeń. Odszedłem do „Nowin”, gdzie kontynuowałem działalność dziennikarską i akwizycyjną.

Uczestniczyłeś w zjeździe, reaktywującym Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Czy dzisiejsze SDP bardzo oddaliło się od linii, nakreślonej dziennikarstwu przez Stefana Bratkowskiego?

Na zjazd, reaktywujący działalność SDP, wybrałem się z województwa tarnobrzeskiego



Współtwórcy „Ulicy Wszystkich Świętych”, od lewej: Alfred Bartyll-Blanke, Krzysztof Szmydt i Krzysztof Ska-in May; Lublin 2003 FOT. © LECHIL. PRZYCHODZKI

razem z redaktorem Dionizym Garbaczem (zastępcą redaktora naczelnego „Socialistycznego Tempa” i znanego działacza opozycji). Obrady trwały cały dzień. Zwycięstwo Stefana Bratkowskiego było przygniatające. Uczeliliśmy je w jednej z warszawskich restauracji w towarzystwie prezesa Wojciecha Giełżyńskiego i dwóch pań redakterek. Rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o linii programowej SDP. Dziś trudno mi powiedzieć, co dzieje się w Stowarzyszeniu. Od lat nie przynależę do niego, a próba powrotu za pośrednictwem oddziału lubelskiego w roku 2017 zakończyła się fiaskiem. Ty i część dziennikarstwa bawicie się teraz w SDP-Lublin na Wychoździe, a ja zostałem bez przydziału.

Wielu krytyków i twórców jest zdania, iż bez tzw. szkoły życia, jaką musi przejść artysta,

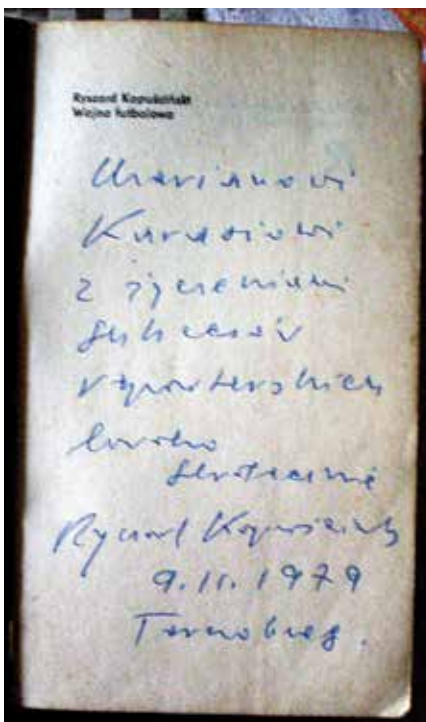
niczego ciekawego nie zaferuje on odbiorcom. Zgodzisz się z takim podejściem?

Myszę, że satyrycy w większości, zanim zaczną tworzyć, muszą mieć doświadczenie życiowe. Nie spotkałem się z nastoletnim satyrykiem... Żeby nim zostać trzeba mieć wiedzę i talent. Im więcej wypitego atramentu – tym lepiej. Mój rodak tarnobrzeski, Andrzej Mleczek, studiował architekturę na Politechnice Krakowskiej. Inni też mają wyższe studia, a wypłynęli jako satyrycy właśnie.

Pisywałeś do dawnego „Przekroju”, do „Szpilek”, potem „Ulicy Wszystkich Świętych” czy „Magazynu Obywatel”. Zupełnie różne tytuły, różni ich szefowie – ale to, co proponowałeś, trafiało. Do czytelników również. Także Polonusów w Kanadzie, Belgii, Niemczech czy Polaków na Litwie (niezapomniany www.infopol.lt/pl Staszka Tarasiewiczza)... Uważasz się za aforystę już odkrytego dla literatury i jej odbiorców?

Swoją twórczość nazywam pisaniną. *Fraszki i aforyzmy* drukowałem w ponad 30. tytułach. W tym między innymi w „Szpilekach”, „Przekroju” i „Ulicy Wszystkich Świętych”. Jako trzydziestolatek popełniłem pierwszy aforyzm i robię to do dziś. Jeśli chodzi o odkrywanie, jest szansa, że odkryje mnie kolega po fachu – archeolog – i byłbym mile zaskoczony, gdyby przywitał mnie którymś z moich aforyzmów. Z poetami jest bowiem tak jak z ziarnami. Zobaczy się, co z nich wyrośnie, jak poleżą w glebie. Czy to rzeczywiście aforyzm, oddający istotę rzeczy?

Z drugiej strony zdarzało mi się przy piwie usłyszeć mój aforyzm, „sprzedawany” innym uczestnikom biesiad jako własny. Do piwoszy, zdaje się, już trafiłem. Pora na strzechy, tylko ich na wsi polskiej nie uświadcysz.



Z wydawcami i redakcjami współpracuje się różnie. Przykład kieleckiej „Gazety Wyborczej” z roku 1990 obrazuje to najlepiej. Czy wszystko zagrało, gdy ukazała się ostatnia książka? Bo wydawnictwa są teraz nastawione na zysk, nie specjalnie kierując się ambicjami kreowania świata kultury. I nie spodziewam się, by uległo to szybko jakiegokolwiek zmianie na lepsze.

Ostatnia książka może być traktowana jako cud. W 2019 roku posypało mi się zdrowie. Nie w głowie było mi pisanie. Jedną z terapeutek postanowiła mnie zaktywizować. Kupiła mianowicie zeszyt i długopis. Przez pewien czas nic mi nie przychodziło do głowy, aż w końcu wymyśliłem fraszkę o epidemii, zatytułowaną *Koronawirus: „Import z Chin nie dla drwin”*. Tak zaczęła się moja kolejna przygoda z satyrą.

Później narodził się pomysł wydania trzeciej książki (drugiej papierowej). Tytuł wymyśliłeś Ty, twoim dziełem jest też wybór materiałów. Tłumaczył na niemiecki nasz wieloletni kolega z kolejnych niezależnych redakcji – düsseldorfski humanista z Górnego Śląska rodem – Alfred Bartylla-Blanke.

Podzielał twój pesymizm, jeśli chodzi o kulturotwórczą rolę wydawnictw. Jest ona znikoma. Dziś, żeby wydać książkę, wystarczy mieć pieniądze. Wydawca się znajdzie, ale dystrybucja to już porażka. Dotyczy to także Poligrafu. Autorzy debiutujący, a także mniej znani przepadają na etapie hurtowni, skąd księgarze biorą książki do sprzedaży według tylko sobie znanych kryteriów. Przebicie się więc – to zadanie bardzo trudne.

Wróciwszy z wojska (rok tzw. SOR-u) do Tarnobrzega pod koniec lat 70. otrzymałeś propozycję stanowiska redaktora naczelnego „Siarki”. Prawie się udało, ale nie byłeś osobą partyjną... To zdecydowało o odrzuceniu Twojej kandydatury. Trzeba było czekać do... września roku 2021, by ekipa www. SieMyśli-ke.info, polskojęzycznego portalu kenijskiego, jednogłośnie wybrała Cię szefem redakcji po rezygnacji Edka Soroki, poprzedniego *leadera*. Ciężko jest być naczelnym?

Rzeczywiście była taka przymiarka, do objęcia stanowiska naczelnego „Siarki” jednak nie doszło: jako człowiek spoza układu – przypadłem. Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że może stało się i dobrze. Los wielu naczelnich gazet przyzakładowych po wprowadzeniu stanu wojennego był nieciekawym, po prostu ich eliminowano, zastępowano... Bycie naczelnym w 1981 roku to jazda po bandzie. Natomiast uczynienie mnie przez zespół naczelnym redaktorem SieMyśli-ke.info traktuję jako chichot historii. Niewiele dziś mogę, a tu taki awans! Czuję się zobowiązany (*śmiech*).



FOT. © LECH L. PRZYCHODZKI 2011

□ **Marian Tadeusz Karaś** – rocznik ’50, urodził się we wsi w Kotowa Wola pod Tarnobrzegiem, absolwent archeologii i dziennikarstwa podyplomowego UJ, dziennikarz. Satyrą zajął się w 1984 roku, kiedy to z przyczyn politycznych nie mógł już uprawiać zawodu reportażysty. Fraszki i aforyzmy publikował m.in. w „Przekroju”, „Szpilkach”, „Ulicy Wszystkich Świętych”, „Karuzeli” oraz portalu internetowym „Się Myśli”. Autor zbioru fraszek, aforyzmów i limeryków pt. *Igraszki satyra* (1995), zbioru aforyzmów pt. *Zamyślenia z myślenia* (2007; wydanie internetowe) oraz *Słowo się rzekło. Igraszki z myślą* (2022). Laureat Ogólnopolskiego Konkursu Satyrycznego „Uzdrawianie śmiechem” (1988) oraz nagrody marszałka województwa podkarpackiego „Znak Kultury”, przyznawanej twórcom, animatorom kultury i osobom chroniącym dziedzictwo narodowe.

Odporności na życie Ci nie brak. Pytań stawiać nie przestałeś. Od czasu, gdyśmy wiosną 2010 roku wędrowali przeciekającym wałem, chroniącym Tarnobrzeg podczas kolejnej wielkiej powodzi i rozmyślali, co też jeszcze nas spotka – zmieniło się wiele. W nas i dokoła nas. Ale satyryk zawsze będzie miał coś do roboty, o ile nie zatraci ostrości widzenia. Michałowi i Tobie taka „ślepotą” raczej nie grozi. Czy to znaczy, że mamy czekać na następny tomik fraszek i aforyzmów pióra M.T.K.?

Istotnie, satyrykom nie grozi bezrobocie. Głupota, małość i inne przywary są wieczne. Jest o czym pisać. Nie wiem, czy uda mi się wydać czwartą książkę. Na jakiś czas muszę spasować. Zadowala mnie współpraca z „Się Myśli”. A co będzie w przyszłości, czas pokaże...

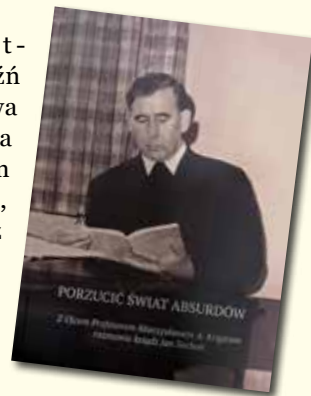
Z Marianem T. Karasem rozmawiał
LECH L. PRZYCHODZKI ■

Mieczysław Albert Krąpec urodził się pod Tarnopolem we wsi Berzewowica Mała w 1921 roku. Ukończył Państwowe Gimnazjum im. Wincentego Pola w Tarnopolu w 1939 roku, po czym wstąpił do Zakonu Dominikanów w Krakowie. W 1943 roku złożył śluby wieczyste, a w 1945 otrzymał święcenia kapłańskie. Od 1951 roku został związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, a od 1970 do 1983 roku pełnił tam funkcję rektora.

Dzięki wydaniu tej książki-wywiadu z Ojcem Profesorem, zamierzamy zapoznać czytelników z tą niezwykłą postacią, jej wartością jest bowiem żywa mowa Mieczysława Krąpca. To on sam opowiada o swoim życiu, o zawiłościach historycznych jego czasów i o walce w obronie Uniwersytetu, Kościoła i wiary.

W książce można znaleźć obrazy jego rodzinnej wsi, nauki w gimnazjum, przywołanie pamięci do jego doświadczeń wojennych, jego pracę w nauce i edukacji, a także wspomnieniami tamtych czasów. Rozmowę z prof. Krąpcem prowadzi o. Jan Sochoń – wybitny naukowiec i pisarz. Właśnie dzięki jego pomysłowi powstała ta książka.

Długoletnia przyjaźń Mieczysława A. Krąpca z Karolem Wojtyłą, później już Janem Pawłem II, stała się drogowskazem i jednocześnie ratunkiem dla wielu Polaków,



którzy nie godzili się z systemem politycznym PRL-u. To też pomogło przetrwać KUL-owi i zostać jedną z najważniejszych uczelni w Polsce. „Zawsze podziwiałem Twój realizm spojrzenia na codzienność i maksymalizm w szukaniu odpowiedzi na związane z nią pytania i problemy” – napisał Jan Paweł II w liście skierowanym do o. Mieczysława Krąpca z okazji jego 80. urodzin. Miał rację, ponieważ Ojciec Profesor nieustannie bronił swoich realistycznych pozycji w filozofii, co miało ogromny wpływ na jego życie i działalność.

Jego celem było „wyjaśnić świat i człowieka, by go prowadzić z absurdu istnienia i myślenia”. Uświadamiał przy tym, że „bez rozumu nikt nie jest zdolny przyjąć wiary”. Następnym pokoleniom przekazał myśl, że „należy poddać się we władanie realistycznej filozofii bytu i rozumiejąco wsłuchiwać się w głos chrześcijańskiego Objawienia”. I dodał: „to w zupełności wystarczy”.

PIOTR FRYZ ■

Memoriał Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich

Z placu budowy w Domostawie piórem Zbigniewa Walczaka

Rozpoczynamy 22 czerwiec 2023

Spółeczny Komitet Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” dokonał zgłoszenia rozpoczęcia prac przy budowie Memoriału Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich w Domostawie do powiatowego nadzoru budowlanego w Nisku. Pierwszą niezwykle ważną czynnością wykonaną na działce, gdzie stanąć ma pomnik, było założenie repera roboczego oraz wyznaczenie obrysu zewnętrznego cokołu pomnika przez geodetę Leszka Bednarza. Reper umożliwi odpowiednie, zgodne z projektem budowlanym, usytuowanie pod względem wysokościowym ław fundamentowych pod pomnik i ogrodzenia oraz konfiguracji nawierzchni całej działki.

Ponadto podpisana została przez prezesa Zarządu Komitetu Budowy Umowa o wykonanie instalacji elektrycznej w ramach zadania „Memoriał Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich w Domostawie” – za kwotę 85 488,94 złotych brutto. Zamówienie obejmuje: zasilanie i rozdział energii, instalację oświetlenia terenu, instalację oświetlenia tablic pamiątkowych (tzw. Ściany Pamięci), instalację oświetlenia pomnika, zestaw gniazd ZG oraz telewizję użytkową CCTV – monitoring.

Ława fundamentowa 13 lipca 2023

Pracownicy Gminnego Zakładu Komunalnego Spółka z o.o. (GZK) w Jarocinie wykonali szalunki, a następnie zamontowali zbrojenie z drutu żebrowego. Po zakończeniu tych prac przygotowawczych zalano całość mieszanką betonową do wysokości 1. metra. Po związaniu betonu zostaną wykonane szalunki cokołu.



FOT. © SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY POMNIKA „RZEŹ WOŁYŃSKA” W DOMOSTAWIE, 2023



Cokół pnie się w górę 19 lipca 2023

Firma GZK w Jarocinie rozebrała szalunki ławy fundamentowej i po wykonaniu szalunku dolnej części cokołu zalała go betonem.

Cokół niemal gotowy 26 lipca 2023

Gminny Zakład Komunalny w Jarocinie zakończył dzisiaj betonowanie cokołu pomnika. Po założeniu szalunków na górną część postumentu i uprzednim umieszczeniu śrub do przytwierdzenia pomnika, całość do wysokości docelowej wypełniona została mieszanką betonową. Efekt będzie widoczny po kilku dniach, gdy szalunki zostaną zdjęte z cokołu.

FOT. © SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY POMNIKA „RZEZ WOŁYŃSKA W DOMOSTAWIE, 2023



Cokół po ściągnięciu szalunków 31 lipca 2023

Kolejne prace do wykonania to obłożenie cokołu okładzinami kamiennymi z płyt granitowych polerowanych oraz konfiguracja terenu.

Cokół pomnika odebrany 10 sierpnia 2023

Ława fundamentowa z cokołem już odebrana. Na jej wykonanie trzeba było 1,6 ton stali zbrojeniowej oraz 11 betoniarek (po 8 m³ betonu każda). Faktura opiewała na kwotę 69 101,40 złotych brutto. Ława została już obsypana ziemią. Zanim to nastąpiło prezes Społecznego Komitetu Budowy Pomnika umieścił w specjalnie przygotowanym miejscu, poświęcony w dniu 10 lipca 2022 roku, Akt erekcyjny wraz z ziemią pobraną z miejsc kaźni na Wołyniu.





FOT. © SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY POMNIKA, RZEZI WOŁYŃSKA, W DOMOSTAWIE, 2023

Zjazdy z drogi technicznej 11 sierpnia 2023

Dwa zjazdy z drogi technicznej (do obsługi MOP Bukowa II) na teren z pomnikiem wykonane. Niby drobiazg. Ale ci, którzy załatwiali podobną sprawę w GDDKiA wiedzą, ile czasu trzeba, aby załatwić formalności. Ze zjazdu zlokalizowanego przy MOP-ie, będzie prowadziła przez strefę wejścia aleja pod pomnik. Przez połowę tego zjazdu i pomnik przebiega główna oś zagospodarowania działki.

Obsypaniem ławy fundamentowej rozpoczynamy konfigurację terenu.

Stan finansów 15 sierpnia 2023

Spółeczny Komitet Budowy Pomnika Rzezi Wołyńska w Domostawie zbiera pieniądze na cele związane ze wzniesieniem pomnika Andrzeja Pityńskiego poprzez portal: zrzutka.pl oraz na założone konto w banku.

Na zrzutka.pl od dnia jej uruchomienia w dniu 21 lipca 2021 roku wpłynęła kwota 219 817,00 zł od 2 010 wspierających. W rzeczywistości liczba wspierających może być mniejsza lub większa, gdyż niektóre osoby dokonywały wpłaty wielokrotnie, ale też na wpłatę konkretnej kwoty składało się nieraz dwie lub więcej osób. Pieniądze ze zrzutki są przekazywane na konto Społecznego Komitetu, utworzone w dniu 15 czerwca 2020 roku. Poprzez konto opła-

camy rachunki związane ze wzniesieniem pomnika. Wszystkie wpłaty na konto SKBP od utworzenia do chwili obecnej to kwota 380 131,90 zł. Łączne wpłaty na konto i na zrzutka.pl to kwota 580 131,90 zł.

Spółeczny Komitet wydatkował pieniądze w wysokości 183 316,17 zł na następujące cele: zakup i transport 24. ton łupka szarogłazowego do obłożenia nim ogrodzenia od strony drogi oddzielającej teren z pomnikiem od MOP Bukowa II – 24 860,76 zł, prace ziemne i związane z organizacją uroczystości poświęcenia i wmurowania Aktu erekcyjnego w dniu 10 lipca 2021 (banery, catering, tuba z stali nierdzewnej) – 15 126,79 zł, demontaż pomnika w od-

lewni w Gliwicach i jego transport do gminy Jarocin – 41 995,00 zł, projekt budowlany Memoriału Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich – 29 520,00 zł, opinia prawna, opłata za pozwolenie na budowę i dziennik budowy – 1 062,25 zł, wykonanie ławy fundamentowej z cokołem – 69 101,40 zł, akcja wsparcia Polaków na Ukrainie – 1 021,97 zł oraz prowizje bankowe – 547,00 zł.

Obecnie Społeczny Komitet Budowy Pomnika ma do dyspozycji 396 815,73 zł.

Wizyta weteranów z USA 10 września 2023

W niedzielę przybyli do Jarocina członkowie Zarządu SWAP Okręg 2 w Nowym



Jorku: adiutant finansowy Zygmunt Bielski oraz sekretarz dr Teofil Lachowicz. Zapoznałem szacownych gości z postępowaniem przy budowie Memoriału Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich. Mieli także okazję zobaczyć teren inwestycji. Jako że rodzinna miejscowość Mistrza Andrzeja Pityńskiego Ulanów oddalona jest od Jarocina tylko kilkanaście kilometrów udaliśmy się tam, aby panowie z Zarządu SWAP mogli zwiedzić Muzeum Jego imienia.

Warto przypomnieć, że Mistrz Pityński był członkiem tej organizacji i pełnił funkcję komendanta Placówki 123. w Nowym Jorku. Podczas odwiedzin Ulanowa towarzyszyła nam żona Pana Zygmunta – Maria oraz Państwo Małgorzata i Witold Zychowie z Tarnobrzega. Nasi goście zwiedzili w Ulanowie kościół, hall Urzędu Miasta i Gminy, gdzie znajdują się wykonane przez Mistrza Pityńskiego popiersie śp. Andrzeja Bąka długoletniego burmistrza i Tarcza Honoru (poświęcona mieszkańcom Ulanowa, którzy zginęli w czasie wojny). Następnie odwiedziliśmy muzeum oraz cmentarz, na którym złożone zostaną szczątki Andrzeja Pityńskiego, gdy pomnik jego autorstwa zostanie już odsłonięty.

Prace ziemne 22 września 2023

Po wykarczowaniu licznych pniaków rozpoczęliśmy wyrównywanie terenu poprzez przepychanie zgromadzonej uprzednio ziemi w zaniżenia terenu. Lada dzień rozpocznie pracę ekipa montująca płyty granitowe do cokołu.



FOT. © SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY POMNIKA „RZEŻ WOŁYŃSKA” W DOMOSTAWIE, 2023

Cokół pomnika gotowy 26 września 2023

Zwały ziemi przywiezionej w ubiegłym roku zostały wreszcie przy pomocy spychacza przesunięte w obniżenia terenu. Zaczyna to nabierać właściwego kształtu. Trzeba będzie jeszcze usunąć pozostałości po wykarczowanych pniakach oraz dowieźć ziemi. Rozpoczął się montaż płyt granitowych do cokołu. Prace zakończono 27 września 2023 roku.

Kiedy odsłonięcie pomnika?

Biorąc pod uwagę zaawansowanie prac przy budowie Memoriału oraz finanse jakie mamy do dyspozycji najprawdopodobniej uroczystość odbędzie się 14 lipca 2024 roku. Wprawdzie mamy już cokół pomnika obłożony płytami granitowymi i można by posadzić na nim pomnik, ale teren przy pomniku nie jest wystarczająco zagospodarowany, aby zorganizować na nim uroczystości.

Wiele osób będzie zawiedzionych, ale prawdopodobnie nie mieliby dobrego samopoczucia, gdyby uroczystości odbyły się w obecnej scenarii. Po pracach ziem-

nych – prawdę mówiąc – trudno jest wejść na teren z pomnikiem, żeby się porządnie nie zakurzyć. Ziemi jeszcze brakuje, ale uzupełniać braki będziemy sukcesywnie podczas wykonywania planowanych do wykonania elementów zagospodarowania terenu jak plac przed pomnikiem i alejki. W najbliższym czasie rozpoczną się prace przy instalacjach elektrycznych, ogrodzeniu z gotowych paneli metalowych jednego boku działki oraz zagospodarowania terenu (strefa dojścia do pomnika i plac wokół cokołu).

ZBIGNIEW WALCZAK ■

□ W dalszym ciągu ponawiamy apel o wsparcie finansowe zbiórki na budowę Pomnika „Rzeź Wołyńska”. Konto Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie: BNP Paribas Bank Polska S.A., nr 95 1600 1462 1894 9205 2000 0001; dla wpłacających zagranicą: PL 95 1600 1462 1894 9205 2000 0001, kod SWIFT: PPABPLPK. Wpłaty prosimy dokonywać z dopiskiem: „Darowizna na cele statutowe”.
Link do zrzutki: www.zrzutka.pl/82zxhw



Dlaczego to robił? Rzecz o Henryku Sławiku

Pomnik Henryka Sławika
i Józsefa Antalla w Warszawie

FOT. © MATEUSZ OPASIŃSKI/CC BY-SA 4.0

■ GRZEGORZ ŁUBCZYK



Ślązak Henryk Sławik, podając skutecznie zbawczą rękę tysiącom polskich Żydów, którzy, podobnie jak on, po wybuchu wojny znaleźli schronienie u bratanków, nie wiedział, że kiedyś w Izraelu ustanowiony zostanie zaszczytny tytuł „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”. Nie wiedział też, że na wręczanym dyplomie pojawi się piękna żydowska sentencja: „Kto ratuje jedno życie, jakby świat cały ratował!” Narazając swoje życie, a często płacąc najwyższą cenę, tacy jak Sławik nie liczyli na żadne profity. Czym się kierowali i dlaczego to robili? Postawa i niezwykle czyny tego Ślązaka o wielkim polskim sercu skłaniają w jego przypadku do szukania odpowiedzi nie tylko na to pytanie.

Z Katowic do Budapesztu

Henryk Sławik jako aktywny uczestnik trzech powstań śląskich o polskość tego regionu, a także jako dziennikarz i wieloletni redaktor naczelny organu prasowego śląskich socjalistów „Gazety Robotniczej”, która z uwagą i krytycznością opisywała i przestrzegała przed groźbą rosnącego w siłę niemieckiego faszystów, dobrze wiedział, co go czeka, gdy we wrześniu 1939 roku wojska Hitlera dotrą na Śląsk.

I nie pomylił się. Jego nazwisko znalazło się na liście Ślązaków wyznaczonych do aresztowania w pierwszej kolejności. Z zapisów w tzw. księdze gończej dla Polski wynikało, że po ujęciu Sławika przez Urząd Kryminalny Policji Rzeszy miał on być natychmiast dostarczony do Berlina i poddany śledztwu, a potem...

Żonę Jadwigę z dziewięcioletnią córką Krysią w ostatniej chwili Sławik wysłał do rodziny małżonki w Warszawie w nadziei, że tam będzie bezpieczniej, a sam ruszył

ku południowej granicy w Karpatach. 18 września dotarła do niego wiadomość, że węgierskie władze, choć weszły w sojusz polityczny z Niemcami, niejako odpowiadając na agresję Rosji Sowieckiej na wschodnią Rzeczpospolitą i ku zaskoczeniu Hitlera otworzyły swą granicę przed Polakami.

Wiedzieć też należy, że dwa tygodnie wcześniej Rada Stanu Królestwa Węgier pod kierownictwem regenta Miklósa Horthy'ego i premiera Pála Telekiego jednogłośnie odrzuciła niemiecką prośbę o zgodę na



Henryk Sławik, prezes Komitetu Obywatelskiego, na wystawie twórczości uchodźców, Budapeszt, 1943 FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA ŁUBCZYKA

transport przez północne Węgry oddziałów Werhmachtu, które miały uderzyć na Polskę od południa. Na ponowną już nie prośbę, lecz żądanie ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa w tej sprawie, premier Teleki twardo odpowiedział: „Prędzej wydam rozkaz wysadzenia naszych linii kolejowych, niż weźmiemy udział w inwazji na Polskę. Dla Węgier jest sprawą honoru narodowego nie brać udziału w jakiegokolwiek akcji wojskowej przeciwko Polsce”.

Ten mały w 1939 roku kraj, wciąż niepodległy z decyzjami „Trianon” z 1920 roku, na mocy których dawne Królestwo Węgier jako część przegranej w Wielkiej Wojnie Monarchii Austro-Węgierskiej utraciło dwie trzecie swojego terytorium, miał odwagę powiedzieć: NIE największej wówczas potęgze militarnej świata! A przecież jego władze liczyły na pomoc Berlina w odzyskaniu przynajmniej części swych dawnych ziem. Wielowiekowe więzy przyjaźni i braterstwa z Polakami okazały się jednak silniejsze i ważniejsze niż interes polityczny!

Opiekun współrodaków

Węgry, na których red. Henryk Sławik znalazł się wśród około 120-130. tys. rodaków-uchodźców, miały być dla niego tylko przystankiem w drodze do tworzonej przez gen. Władysława Sikorskiego we Francji nowej armii polskiej. Dlaczego więc



Hrabia Pál Teleki, dwukrotny premier Królestwa Węgier (1920-1921 i 1939-1941); dzięki jego decyzji polscy uchodźcy wojenni mogli znaleźć schronienie na Węgrzech

nie zrealizował swego planu i pozostał na Węgrzech? Czy zadecydowała o tym li tylko siła argumentacji Józsefa Antalla, któremu Ferenc Keresztes-Fischer, minister spraw wewnętrznych, polecił organizację rządowego Biura ds. Uchodźców Wojennych, mającego objąć opieką uchodźców cywilnych?

W sposób racjonalny trudno wytłumaczyć, dlaczego Antall – ze 114. zgrupowań-oboźców z cywilnymi uchodźcami, by lepiej poznać ich potrzeby – postanowił odwiedzić również ten, pod Miskolcem, w którym akurat przebywał Sławik? Wystąpienie Sławika w dobrze znanym Antallowi języku niemieckim, uznał on za niemal gotowy program działania tworzonego przezeń Urzędu. Dodatkowa rozmowa w cztery oczy obu panów okazała się kluczowa dla węgierskiego losu redaktora z Katowic. Przedstawiając się, nagle dotarło

do nich, że – Antall na Węgrzech jako wysokiej rangi urzędnik ministerstwa i działacz chłopskiej partii prawicowej, a Sławik na Śląsku jako znany samorządowiec, polityk PPS-u i dziennikarz – gros swojego życia zawodowego i społecznego poświęcili niesieniu pomocy ludziom w potrzebie, biednym i niezaradnym. Świadomość tego niemal od razu ich do siebie zbliżyła.

Wahającemu się Polakowi Węgier zaproponował pomoc w utworzeniu organizacji, która będzie reprezentowała interesy cywilnych uchodźców wobec jego urzędu, a jednocześnie współpracowała z jego biurem. Gdy Sławik to usłyszał, obudził się w nim zmysł sprawnego organizatora, jakim zawsze był, a możliwość zaopiekowania się tysiącami współrodaków sprawiła, że mundur żołnierza gen. Sikorskiego postanowił zamienić na stanowisko prezesa Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech.

Trzy miesiące po utworzeniu Komitetu Obywatelskiego, co miało miejsce już w listopadzie 1939 roku, Rząd RP na Uchodźstwie uznał go za swoje przedstawicielstwo, a jego prezes Henryk Sławik w dniu 3 marca 1940 roku został delegatem ministra Jana Stańczyka, szefa Ministerstwa Opieki Społecznej polskiego rządu. Korzystając z jego wsparcia, w tym finansowego, dopóki było to realne, ale nade wszystko z ogromnej pomocy propolskiego rządu węgierskiego oraz propolskich stowarzyszeń, jak Węgiersko-Polski Komitet Opieki nad Uchodźcami, a także lokalnych społeczności, zwłaszcza tych miejscowości, które przyjęły polskich uchodźców oraz wielu organizacji międzynarodowych, Komitet Obywatelski podjął bardzo aktywną i różnorodną działalność opiekuńczą. I tak było aż do 19 marca 1944 roku, tj. do wkroczenia i zajęcia Węgier przez wojska Hitlera, który uznał węgierskie władze za nielojalnych sojuszników.

Ciąg dalszy na s. 30 ▶



Jadwiga Sławik z Krysią przed wyjazdem do Budapesztu, Warszawa 1943 FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA



Sławikowie, Henryk z żoną Jadwigą i córeczką Krysią, na spacerze w Szczawnicy, lipiec 1937 FOT. ZE ZBIORÓW GRZEGORZA LUBCZYKA

► Ciąg dalszy ze s. 29

Komitet Sławika zajmował się sprawami socjalno-bytowymi, opieką zdrowotną, sferą kulturalno-oświatową i wydawniczą oraz edukacją dzieci i młodzieży szkolnej od stopnia podstawowego po matury w słynnym gimnazjum i liceum w Balatonboglárze z delegowaniem jego abiturientów na uczelnie węgierskie włącznie, a także szkoleniem zawodowym dorosłych. Dużo uwagi poświęcano tworzeniu warunków do kultywowania praktyk religijnych rodaków, czym zajmowało się kilkudziesięciu duchownych-uchodźców w ramach Katolickiego Duszpasterstwa Polskiego jako wyodrębnionej struktury Komitetu Obywatelskiego.

Aż trudno uwierzyć, że wszystko to działo się w czasie, gdy Europa i świat pogrążony był w największej hekatombie w dziejach ludzkości! Wprost niewiarygodne, że gdy naszą Ojczyznę okupant zamienił w Generalne Gubernatorstwo na Węgrzech wychodziła w języku polskim uchodźcza prasa (m.in. „Więści Polskie” to 6-8. kolumnowa gazeta, ponad 360 wydań!), wydawano i drukowano książki, tworzono typowo polskie widowiska muzyczne i sztuki teatralne, żołnierze podnosili wiedzę na kursach zawodowych i językowych, a młodzież pod kierunkiem nauczycieli-uchodźców przerabiała program klas szkół podstawowych, gimnazjalnych i licelanych, natomiast w słynnym Balatonboglárze około 150. maturzystom wręczono świadectwa dojrzałości!



Grupa internowanych żołnierzy z węgierskimi strażnikami/opiekunami, Sárvár, 9 listopada 1939. FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA MAGYARORSZÁG. 1939. XI. 9.



Żołnierze II Plutonu, 2. Kompanii, Vámosmikola 1940

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA



Część mieszkańców 300-osobowego obozu z rodziną, m.in. Selbiraków, Púski 1940-1943 FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

Wyjątkowy „Sprawiedliwy”

Nim poznamy motywacje najbardziej niebezpiecznej i najbardziej spektakularnej sfery działalności Sławika na Węgrzech przedstawię o nim wypowiedzi nie polityków i historyków, ale świadków wydarzeń, tych osób, które mają mu za co dziękować oraz tych, którzy z nim na Węgrzech współpracowali.

Podczas pracy nad pierwszym filmem o prezisie Komitetu Obywatelskiego pt. *Henryk Sławik. Polski Wallenberg* od odnalezionych w Izraelu kilku mieszanek legendarnego sierocińca w Vácu nad Dunajem i ucznia polskiej szkoły w Balatonboglárze w 2004 roku usłyszałem:



„Ja wierzę, że on był boskim posłańcem. Niemcy zrobili to, że zostałam sama jedna na tym świecie. Jeśli więc dziś żyję i mieszkam w Izraelu i mam tak dużą, własną rodzinę, dzieci, wnuki i prawnuki, w sumie ponad 30 osób, to dlatego, że Sławik mnie uratował [...]. Gdyby nie zrobiono mi nowego dowodu, a w nim nie napisano, że jestem Polką, to by mnie nie było. Czego to robili nasi opiekunowie, by ukryć prawdę. Na przykład w niedzielę ksiądz Bohársik prowadził nas do kościoła, by mieszkańcy Vácu widzieli, że jesteśmy rzymskimi katolikami z Polski” (Cipora Lewawi z d. Cyla Ehrenkratz);

„Wcześniej chodziłam stale głodna, w Vácu było co jeść. Sławik z Antallem przysyłał nam marmoladę. Jako jedna ze starszych dziewcząt smarowałam nią chleb i dawałam młodszym. Sławik uratował dużo żydowskich dzieci. Gdyby nie



Grupa uczniów z ukochanym ks. Andrzejem Czeluśniakiem, Balatonboglár 1940-1944. FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA



Przerwa na śniadanie w stynnej polskiej szkole w Balatonboglárze. FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

on, to byśmy zginęli. Przecież na Węgry też przyszli Niemcy, a my przeżyliśmy. Jak nie pamiętać takiego Człowieka?!” (Tova Feldman z d. Steiner, której zesperowana mama z wielkim trudem precyzyjnie się do wąskiego otworu

w ścianie wagonu zdążającego do obozu w Bełżcu i gdy tylko pociąg zwolnił, po raz ostatni ucałowała córkę i jakimś cudem wypchnęła ją na zewnątrz);

Ciąg dalszy na s. 32 ▶



Harcerska zbiórka, Balatonboglár 1940-1944. FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

► Ciąg dalszy ze s. 31

„Chodziliśmy na wycieczki, kapaliśmy się w Dunaju. Jakby wojny nie było. Ileż my zawdzięczamy Sławikowi i Antalowi!” (Sofi Magids vel Zofia Czerna);

„Tyle lat minęło, a ja wciąż pamiętam jego zatroskane, pełne dobra spojrzenie. Nigdy nie zapomnę tego, że po ucieczce z okupowanej Polski do Budapesztu wysłał mnie do polskiej szkoły nad Balatonem, czym mnie uratował” (Ludwik Halperin vel Hajda);

„W swoim już dość długim życiu nie poznałem wielu równie szlachetnych i bardziej uczciwych ludzi od Sławika. Ja wiem i nie zapominam o tym, że wielu Polaków ratowało Żydów z narażeniem własnego życia. Wśród nich Sławik był jednak kimś wyjątkowym. On całym sercem oddał się tej pracy, choć wiedział, że zapłaci życiem” (Henryk Zvi Zimmermann – przez pół roku do zajęcia Węgier przez Niemców żydowski współpracownik Sławika, którego miałem szczęście poznać i który odkrył przede mną nieznaną wcześniej prawdę o Sławiku, czym zmobilizował mnie do podjęcia batalii o wprowadzenie go do galerii nie tylko najwybitniejszych Polaków, do batalii, która trwa już 20 lat).

Podczas pierwszego spotkania z Henrykiem Zimmermannem, co miało miejsce w Warszawie wiosną 2001 roku z udziałem dwóch byłych uchodźców z Węgier – Bogumiła Dąbrowskiego, ucznia słynnej polskiej szkoły nad Balatonem i Jana Stolarskiego, żołnierza Września '39, który po walkach z Niemcami na Podkarpaciu znalazł schronienie w obozie internowanych nad Ipolyem w Vámosmikola, ten polski Żyd z przedwojennego Krakowa, a przybyły wówczas z Hajfy, nazwał Sławika „polskim Wallenbergiem”.



Jedna z grup uchodźczego sierocińca dzieci żydowskich z opiekunami, Vác 1943 FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

Przyznaję, że za Zimmermannem i ja dwukrotnie użyłem tego porównania, w tytule pierwszej swojej książki o Sławiku: *Polski Wallenberg. Rzecz o Henryku Sławiku* i w tytule pierwszego filmu dokumentalnego *Henryk Sławik. Polski Wallenberg*, który z Markiem Maldisem w 2004 roku zrealizowaliśmy dla TVP. Znacząc jednak kolejność niezwykłych dokonań obu „Sprawiedliwych”, to raczej Wallenberga należałoby nazwać „szwedzkim Sławikiem”.

Gdy Wallenberg jako szwedzki dyplomata w połowie 1944 roku przyjechał na Węgry z misją i dużymi pieniędzmi, by ratować skazanych na zagładę, w tym samym czasie Sławik, który przez kilka poprzednich lat na tych samych Węgrzech skutecznie ratował Żydów, już był po brutalnych przesłuchaniach w budapesteńskiej siedzibie gestapo i zesłany do

niemieckiego obozu Mauthausen-Gusen oczekiwał na wykonanie wyroku śmierci.

Przepustki w życie...

Na niemal każdym z ponad 250. spotkań autorskich i prelekcji w Polsce, ale też na Węgrzech, we Francji, Kanadzie, Austrii, na Słowacji i Litwie, podczas których odkrywałem prawdę o zapomnianym Sławiku, ich uczestników szczególnie nurtowało pytanie: Dlaczego On się podjął jeszcze jednego i najbardziej niebezpiecznego w warunkach wojennych wyzwania, jakim było ratowanie Żydów? Uczynił to mimo wielu obowiązków i problemów, które musiał rozwiązywać z racji kierowania wielotysięczną organizacją polskich uchodź-



Tova Feldman, jedna z najstarszych mieszkanek żydowskiego sierocińca, smaruje najmłodszym chleb z maroladą, przystaną przez Józsefa Antalla, Vác 1943 FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA



József Antall i Henryk Sławik w górach Mátra, gdzie wzywali polskie sanatorium i obóz internowanych żołnierzy, 1943

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

ców i to w kraju, który wszedł w sojusz polityczny z Niemcami Hitlera?

Co Sławikiem kierowało, że już na początku 1940 roku, zachowując wszelkie zasady konspiracji, wyrobił pierwszym polskim Żydom nowe dokumenty tożsamości na nazwiska o typowo polskim brzmieniu. Było to możliwe dzięki nieocenionej pomocy głównie Antalla, któremu bezgranicznie zaufał i *vice versa*, oraz wsparciu również zaufanych polskich duchownych-uchodźców, wystawiających na prośbę Sławika fałszywe metryki chrztu, niezbędne w procedurze węgierskiego urzędu, wyrabiającego tego rodzaju dowody tożsamości. Każdy taki dokument to była... przepustka w życie!

Decyzja o ratowaniu obywateli polskich żydowskiego pochodzenia była samodzielną, a jednocześnie proroczą decyzją Sławika. Godne podkreślenia jest to, że natychmiast przystąpił on do realizacji tego ratunkowego planu. Być może uczynił to pod wpływem wiedzy o sposobie traktowania niemieckich Żydów przez tamtejsze władze, poczynając od słynnej „nocy kryształowej” w listopadzie 1938 roku?

Sławik nie czekał więc na „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, które formalnie weszło w życie 20 stycznia 1942 roku, tj. w dniu konferencji w Berlinie z udziałem szefów głównych organów represji nazistowskiego państwa pod przewodnictwem Reinharda Heydricha, choć, jak wiadomo, do masowych mordów ludności żydowskiej Niemcy przystąpili w sierpniu 1941 roku po ataku na ZSRR.

Nie zważając na słabnącą z roku na rok propolską elitę węgierskich władz i dobrze rozwiniętą sieć niemieckich agentów Sławik, dzięki nieustającej pomocy Antalla, wyrabiał polskim Żydom nowe dokumenty aż do 19 marca 1944 roku, tj. do okupacji Węgier przez wojska niemieckie. Do swoistej legendy weszło utworzenie przez Sławika i Antalla sierocińca dzieci żydowskich, który dla kamuflażu nosił nazwę „Sierocińca dzieci polskich oficerów”. Znalazło się w nim około stu sierot, które przybyły na Węgry w połowie 1943 roku z południa okupowanej Polski z ostatnią niemal 5-tysięczną falą żydowskich uciekinierów. Ich opiekunowie tak zorganizowali drogi ewakuacji, że mimo niemieckiej okupacji Węgier wszystkie



przeżyły, a kilka ich świadectw zacytowałem wcześniej.

Swego rodzaju odpowiedź na pytanie o motywacje ratowania Żydów przez Sławika zawiera wypowiedź zaufanej sekretarki prezesa Komitetu Obywatelskiego, Ślązaczki Stefanii Pielok. W 2004 roku podzieliła się ona ze mną taką oto oceną i wiedzą o swym Szefie: „Po założeniu w Vácu sierocińca jakiś złośliwiec nazwał prezesa Sławika «królem żydowskim».

Wiedząc, co te biedne dzieciaki przeszły, rzeczywiście, bardzo się nimi interesował. Traktował je ciepło i życzliwie, jak małych przyjaciół. Nie znaczy to, że polskimi mniej się zajmował. Od chwili powstania Komitetu Obywatelskiego opieka nad najmłodszymi i młodymi Polakami należała do najważniejszych zadań naszego Biura [...]. Pan prezes był osobą tolerancyjną, ale nie w pracy. On od siebie bardzo dużo wymagał i chciał, ażebyśmy postępowali podobnie. Cenił inicjatywę, rzetelne wykonywanie powierzonych obowiązków, ofiarność. Gdy ktoś się wyróżniał, dostrzegał to i chętnie mu dziękował. Często mi powtarzał, kto jakim jest człowiekiem nie decyduje jego pochodzenie, wykształcenie, ani jego religia. W Komitecie Obywatelskim na odpowiedzialnych stanowiskach również pracowali Polacy żydowskiego pochodzenia, co mu nie przeszkadzało. Nie wszystkim się to podobało, a nawet mu przysparzało wrogów. Wiedział o tym i z pewnością dużo zdrowia go to kosztowało, ale jako człowiek z charakterem nie ulegał podszeptom, ani naciskom, które prowadziłyby do krzywdy jakiegoś uchodźcy [...].

Ciąg dalszy na s. 34 ▶



Córka Henryka Sławika, Krystyna, z Henrykiem Zimmermannem w Yad Vashem z okazji odebrania medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”, Jerozolima 1990. FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

► Ciąg dalszy ze s. 33

Sławik nie siebie, lecz drugiego człowieka stawał na pierwszym planie. Tak samo postępował Antall. Obaj byli ludźmi wyjątkowymi, z klasą. Wiedziałam, że gdy znajdę się w potrzebie to oni mnie nie zostawiają, że w każdej sprawie mogą się do nich zwrócić. I to nie na zasadzie «coś za coś», tylko z serca. Gdzie dziś są tacy ludzie? W swoim życiu podobnych do nich już więcej nie spotkałam”.

Gdy zapytałam, jak wytłumaczyłaby ten pozytywny, czy, po prostu, normalny stosunek Sławika do Żydów, Stefania Pielok odpowiedziała: „Myślę, że Pan prezes Sławik wyniósł to ze Śląska. Jak pamiętam, z Katowic jeździło się na zakupy do Będzina i Sosnowca, które przed wojną – chyba nie tylko w moim otoczeniu – nazywano żydowskimi miastami. U Żydów było najtaniej, a jak trzeba było to towar dawali na tzw. kreskę. My chodziliśmy do kościoła, oni do synagogi. Czy to powód, by krzywo na siebie patrzeć? [...] Od kiedy poznałam Pana Sławika staram się być w zgodzie z jego zasadami, które mi przekazał. Pan Prezes mawiał: «Ludzi można podzielić tylko na dobrych lub złych. To wszystko, zapamiętaj!». Tak do mnie mówił”.

Ta prosta odpowiedź ileż ona mówi o Henryku Sławiku, o traktowaniu przez niego drugiego człowieka, co też potwierdził inny ważny świadek postępowania Sławika – Tamás Salamon-Rácz, sekretarz generalny Węgiersko-Polskiego Komitetu Pomocy Uchodźcom, który blisko z nim współpracował: „On był ucieleśnieniem uczciwości, przyjaźni i dobroduszości. Nigdy mu na myśl nie przyszło, czy danej osobie trzeba czy nie trzeba pomóc. A należy wiedzieć, że po dwakroć był zagrożony



József Antall (pierwszy z prawej) podczas spotkania z abp. Angelo Rottą – nuncjuszem apostolskim na Węgrzech

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA LUBCZYKA

ten, kto poza tym, że był Polakiem, był też Żydem. Jeżeli więc uchodźca był Polakiem to trzeba było mu pomóc. Gdy zaś był Polakiem żydowskiego pochodzenia to należało mu pomóc w dwójnasób. I Sławik to robił”.

Przyjaźń na śmierć i życie

Gdy w 1944 roku Niemcy wkroczyli na Węgry i polscy uchodźcy znaleźli się w niebezpieczeństwie, wtedy Sławik jako ich opiekun swym zachowaniem pokazał, jak on rozumie „odpowiedzialność” i jak traktuje „przyjaźń”. Podczas spotkania, które okazało się ostatnim, ukrywającego się w kryjówce nad Balatonem ojca Henryka z piętnastoletnią córką Krysią, ta zapytała w taki mniej więcej sposób:

„Tatusiu, ty się ukrywasz, mamusię Niemcy zabrali, a przecież po naszym przyjeździe pół roku temu z Warszawy do Budapesztu, powiedziałeś mamusi, co słyszałam: «Tu nic nam nie grozi. Antall wyrobił nam trzy paszporty z wizami do Szwajcarii i gdyby nawet Niemcy wkroczyli na Węgry, to tam się skryjemy i jakoś przeczekamy». Dlaczego nie wyjechaliśmy, powtórzyła pytanie córka. Tata się zasepił i po chwili milczenia: «Dziecko moje, trudno ci to zrozumieć, ale jak mogłem zostawić ludzi powierzonych mojej OPIECE i wyjechać...»”.

O jakim morale trzeba być człowiekiem, by odpowiedzialność za uchodźców przedłożyć nad bezpieczeństwo i niepewny los członków najbliższej rodziny.



Tablica upamiętniająca Antalla na murach miejskich w Warszawie FOT. © KRZYSZTOF DUDZIK / CC BY-SA 3.0



Grób Józsefa Antalla w Budapeszcie FOT. © TOMASZ KURPIERZ / IPN

Po aresztowaniu Sławika i Antalla Niemcy doprowadzają do ich konfrontacji w siedzibie gestapo w Budapeszcie. Oprawcy chcą również Antallowi wymierzyć najwyższy wymiar kary, oskarżając go m.in. o jego udział w przetrzucach polskich wojskowych z Węgier do Francji, do armii gen. Sikorskiego i o ratowanie polskich Żydów. Bity i katowany Sławik nie wydaje węgierskiego Przyjaciela. Gdy po brutalnym przesłuchaniu Niemcy wieźli obu do więzienia, Antall do Sławika: „Przyjacielu, uratowałeś mi życie. Dziękuję!”, na co usłyszał: „Tak płaci Polska!”. To sławikowe DZIĘKUJĘ za to wszystko, co Węgrzy, Antall dla uchodźców zrobili. To jednocześnie postawa i zachowanie Sławika wobec przyjaciela Antalla, to potwierdzenie przyjaźni prawdziwej, przyjaźni na śmierć i życie!

*

Henryk Sławik razem ze swoim zastępcą, wiceprezesem Andrzejem Pyszem i prof. krakowskiej ASP Stefanem Filipkiewiczem oraz z członkami kierownictwa konspiracyjnej Placówki „W”: Józefem Fietzem-Edmundem Fietowiczem i Kazimierzem Gurgulem zostali powieszani 23 sierpnia 1944 roku – w odstępach 15-minutowych – w niemieckim obozie zagłady Mauthausen-Gusen.

Żona Sławika Jadwiga zesłana została do obozu w Ravensbrück, w którym – według relacji jej wnuka Zbigniewa Kuterma – poddana była uwłaczającym eksperymentom medycznym.

József Antall przeżył. Jako sprawny organizator został ministrem odbudowy. To on odnalazł osamotnioną piętnastoletnią córkę swego Przyjaciela – Krysię. Niewiele brakowało, by ją adoptował.

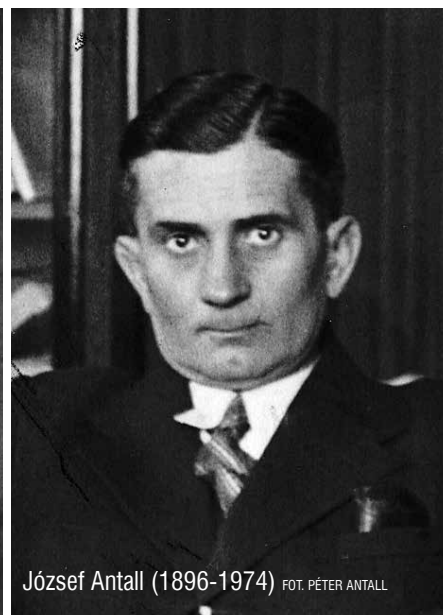
Jadwiga Sławik szczęśliwie przeżyła i wróciła do Katowic. Gdy ta wiadomość dotarła do Budapesztu, Antall zorganizował Krysi podróż do mamy pod opieką polskiej pracownicy swego uchodźczego Urzędu – Barbary Czerwińskiej.

Po przejęciu na Węgrzech władzy przez komunistów Mátyása Rákosiego opiekunowie polskich uchodźców poszli w odstawkę. Wojskowych degradowano, odbierano im emeryturę, a nawet wyrzucano z mieszkań i zsyłano do obozów pracy przymusowej, by przystosowali się do zasad nowego, wspaniałego ustroju. Antall na szczęście nie musiał się reedukować, ale by utrzymać rodzinę dorabiał korepetycjami językowymi i w zapomnieniu zmarł w 1974 roku. Na jego życzenie na płycie nagrobnej pojawił się napis: „POLONIA SEMPER FIDELIS”.

GRZEGORZ ŁUBCZYK ■



Henryk Sławik (1894-1944) FOT. CAW



József Antall (1896-1974) FOT. PÉTER ANTALL



Pomnik Henryka Sławika i Józsefa Antalla w Katowicach FOT. © TOMASZ KURPIEŃ/FPN



Uroczystość upamiętniająca Henryka Sławika i Józsefa Antalla, Warszawa 2021 FOT. © MN / BUJMM

Ożarowski dworek dla von dem Bacha

■ ANNA MIESZCZANEK



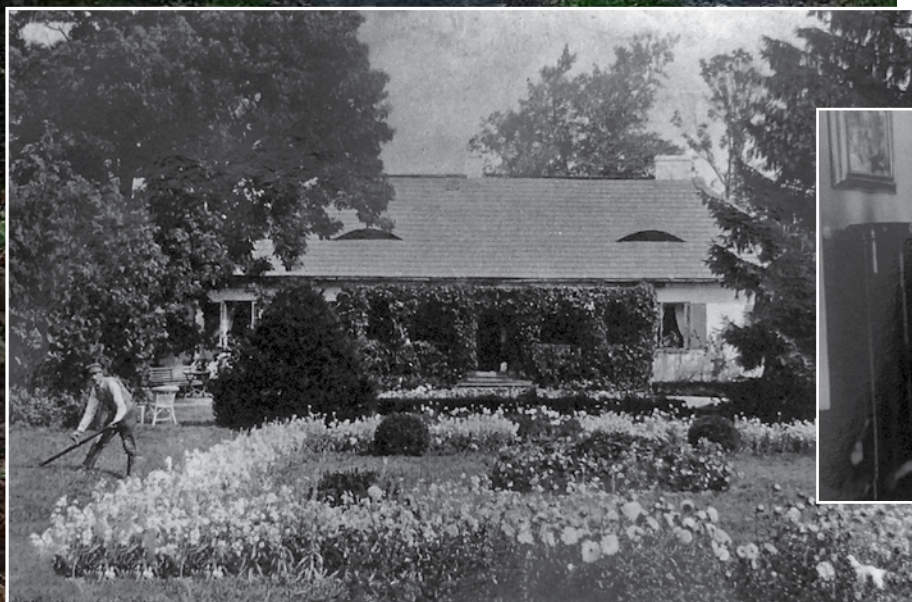
2 października 1944 o 9 rano „delegaci polscy wraz z generałami zasiedli dookoła okrągłego stołu. W głębi pokoju usiadł szef sztabu niemieckiego...”. Takie zdanie zapisał w swojej *Armii Podziemnej*, wydanej w Londynie w 1951 roku, Tadeusz „Bór” Komorowski.

Tego dnia, przed 8 rano, ci delegaci Powstania szli przez ruiny Warszawy z Małej Pasty przy Piusa XI (dziś Piękna), gdzie była Komenda Główna AK, do niemieckiej barykady pod Politechniką. Tam major SS, szef sztabu grupy Reinefarth, spytał ich, czy mają broń. Mieli negocjować z Niemcami, więc wedle Konwencji Haskiej broni mieć nie mogli. I nie mieli. Major SS zaprosił ich do samochodów – pojechali do niemieckiej kwatery głównej von dem Bacha w Ożarowie. Za godzinę mieli się przy tym okrągłym stole w niedużym parterowym dworze przy dzisiejszej ulicy Poniatowskiego.

Dwa miesiące wcześniej, chyba już 6 sierpnia, Niemcy kazali iść precz właścicielom tego dworu – rodzinie Reicherów. Niemieccy żołnierze wyrzucili większość mebli i zastąpili je przywiezionymi nie wiadomo skąd ciężkimi gdańskimi kredensami i stołami. Erich von dem Bach tak naprawdę nazywał się Żeleński, bo pochodził z Kaszub i w domu mówił po polsku, ale uważał się za spadkobiercę pruskich junkrów. Poprosił więc Himmlera w 1940 roku o zmianę nazwiska – był w końcu od 1938 roku jednym z wyższych dowódców wrocławskiego SS i policji, posłem do Reichstagu. A teraz, w sierpniu '44 mógł zainstalować w ożarowskim dworze sztab swojej Korpsgruppe von dem Bach. Liczyła 25 tysięcy żołnierzy SS i brygady RONA Kamińskiego.

1 sierpnia 1944 roku był w sopockim Grand Hotelu, kiedy dostał rozkaz Himmlera mianujący go dowódcą grupy pacyfikującej Powstanie: „Każdego

mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców, Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2023

FOT. © IWIMOM

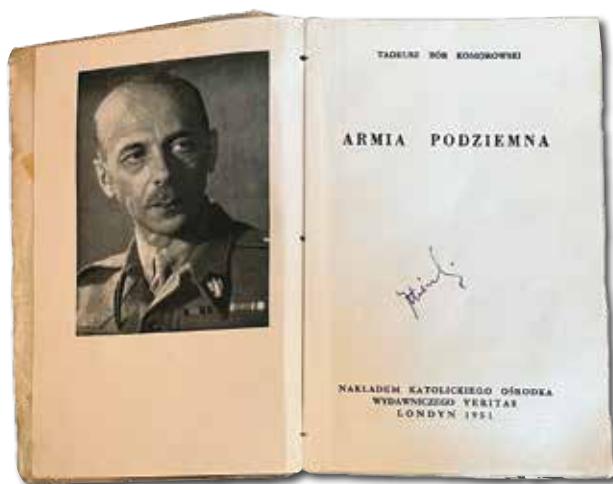
Z P R Z E Ł O M O W Y C H D N I W P O L S C E .



Dwór w Ożarowie pod Warszawą, gdzie była główna kwatera wojsk części garnizonu poznańskiego, które podsunęły się pod stolicę. Na szczęście nie przyszło do bratobójczych walk. Garnizon poznański po uspokojeniu się stolicy i ukonstytuowaniu się nowego rządu wrócił do miejsca swego stałego pobytu.
Ag. fot. „Światowida”.



Na polu Mokotowskim odbył się przegląd wojsk, które po wypadkach warszawskich wróciły do swych miejsc stałego stacjonowania. Zdjęcie nasze przedstawia szefa komisji likwidacyjnej tych wypadków gen. Żeligowskiego (1) na defiladzie tych wojsk w otoczeniu gen. Wróblewskiego (2) i Tokarzewskiego (3) oraz adjutanta Marsz. Piłsudskiego, płk. Wieniawy-Długoszewskiego (4).
Ag. fot. „Światowida”.



gusławski” oraz kapitan Alfred Korczyński – „Sas” jako tłumacz.

„Bór” Komorowski negocjować nie mógł, bo ledwie dwa dni wcześniej prezydent Raczkiewicz mianował go z Londynu Naczelnym Wodzem, odwoławszy z tej funkcji Sosnkowskiego. Pod naciskiem Churchila, który nie zniósł wrześniowego rozkazu Sosnkowskiego do polskiej armii w GB. Bo jego pierwsze zdanie brzmiało: „Żołnierze! Mija pięć lat odkąd Polska, wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego, stanęła do samotnej walki z Niemcami”.

Churchil był też wściekły, że Sosnkowski nie godził się na oddanie pod komendę aliantów Samodzielnej Brygady Spadochronowej generała Sosabowskiego, co się jednak stało. No i miał konflikt z premierem Mikołajczykiem, któremu zarzucał ugodowość wobec Sowietów, dopuszczenie stworzenia rządu wspólnego z PKWN. Prezydent Raczkiewicz, wręczając Sosnkowskiemu dymisję ze słowami: „Wiem dobrze, że

popelniam rzecz wysoce niemoralną, lecz niech Bóg Najwyższy będzie mi świadkiem, że innego wyjścia nie mam”.

„Bór” dowiedział się o swojej nominacji na Naczelnego Wodza w nocy 30 września, kiedy Stanisław Jankowski – „Agaton” obudził go, żeby przekazać to, co właśnie usłyszał z Londynu. „Bór” czekał na inną wiadomość – od Rokossowskiego, który wcześniej mamił obietnicą pomocy Powstaniu. Ale nie odpowiadał. Zapasy powstańczej żywności, z których wydzielano i tak głodowe racje wystarczyły już tylko na trzy dni. Więc „Bór” wznowił pertraktacje z Niemcami... Ale on sam – jako Naczelnny Wódz – negocjować nie mógł. Podlegał konstytucyjnej ochronie i dopiero po podpisaniu jakiegoś układu mógł się ujawnić, żeby... razem z innymi stać się niemieckim jeńcem. Dlatego do Ożarowa pojechała ta czwórka.

Noc przed 2 października 1944 spędzili na odprawach. Najpierw na Złotej, u generała Antoniego Chrościciela – „Monte-ra”, dowódcy całości sił powstańczych.

Ciąg dalszy na s. 38 ▶

stworzony zastraszający przykład dla całej Europy” – mówił rozkaz.

Von dem Bach pewnie był wtedy na urlopie, więc może po drodze z Pomorza do Warszawy żołnierze zdobyli mu te kredensy i stoły. Może wiedzieli, że będą mu przypominać jego wrocławskie mieszkanie, które tak lubił?

Wcześniej, już od połowy 1943 roku zwalczał partyzantkę w całej Europie, a jeszcze wcześniej dowodził jednostkami SS i policji które rozstrzeliwały Żydów na Litwie i Białorusi. W styczniu 1942, w związku z tymi zbrodniami, dostał nawet rozstroju nerwowego i przez pół roku miał urlop ze służby. W Norymberdze obliczono potem, że był odpowiedzialny za śmierć 230 tys. ludzi. Skazano go na dożywocie, zmarł w więziennym szpitalu. Ale nie osądzono go za ludobójstwo, a córka, Ilse, jeszcze w 2019 roku, wspominając go, mówiła o nim z dumą i czułością: „tatuś”.

2 października 1944 rano, jechało ich do Ożarowa czterech: pułkownik Kazimierz Iranek-Osmecki – „Heller”, podpułkownicy Zygmunt Dobrowolski – „Zyndram” i Franciszek Herman – „Bo-



Komendant Główny AK gen. Tadeusz „Bór” Komorowski i gen. Erich von dem Bach Zalewski – dowódca Korpsgruppe von dem Bach, Ożarów, 3 października 1944 FOT. NAC



Tadeusz „Bór” Komorowski

► Ciąg dalszy ze s. 37

Potem na Piusa, u „Bora” i generała Tadeusza Pełczyńskiego – „Grzegorza”, szefa sztabu Komendy Głównej AK. Przygotowali projekt umowy z Niemcami, konsultowali go z Delegaturą Rządu, określili granice ustępstw.

Iranek-Osmecki napisał potem we wspomnieniach: „Byliśmy okrutnie zmęczeni i niewyspani; ubrania mieliśmy zmięte i wyniszczone; białoczerwone opaski na rękawach wskazywały naszą przynależność do AK”.

Przekazali pełnomocnictwa „Bora” Erichowi von dem Bachowi, ten uroczyście wstał, więc i oni – zdumieni tą salonową elegancją – także. Chwalił Armię Krajową, rozplýwał się. Tak jakby nie był tym, kim naprawdę był.

2 października, do 8 wieczorem uzgodnili z von dem Bachem warunki: zgodzili się oddać broń dopiero w momencie wyjścia oddziałów, a nie natychmiast, jak chcieli Niemcy. I tak wiedzieli, że dużą część młodzi żołnierze po prostu zakopią. Nie zgodzili się też na natychmiastowe rozebranie barykad. Wymogli, że Powstańcy



Podpisanie aktu kapitulacyjnego; Ożarów Mazowiecki, 2 października 1944 FOT. ARCHIWUM MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Oddziały powstańcze w drodze do niewoli; na pierwszym planie: gen Tadeusz „Bór” Komorowski i mjr Kurt Fischer

FOT. ARCHIWUM MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



będą traktowani jak kombatanci wojenni, a nie jak dotychczas – jak bandyci.

Nie udało się im uzyskać zgody na pozostawienie mieszkańców w mieście. Dostali tylko gwarancję, że będą traktowani humanitarnie w pruszkowskim obozie, a polskie organizacje charytatywne miały dostać tam pełną swobodę działania. Ten obóz działał niedaleko Ożarowa już od 6 sierpnia w starym budynku kolejowych zakładów

naprawczych. I choć „nie ufano do końca deklaracjom i obietnicom niemieckim” jak zapisał potem „Bór”, osobne pertraktacje toczył w tej sprawie PCK i Maria Tarnowska.

„Bór” Komorowski spotkał się jeszcze z von dem Bachem, na jego zaproszenie, 4 października. Mógł, bo układ został już podpisany. Chciał jeszcze raz spróbować uzyskać wycofanie nakazu ewakuacji ludności, wsiadł więc do przysłanego przez Niemców



Oddziały Armii Krajowej opuszczają Warszawę po kapitulacji, 1944 FOT. NAC



FOT. MAC



Mieszkańcy Warszawy w drodze do obozu Duląg w Pruszkowie. FOT. ARCHIWUM MUZEUM WARSZAWY

samochodu i pojechał do Ożarowa. Udawał, że nie bardzo dobrze zna niemiecki, żeby mieć świadka rozmowy w tłumaczu. Bach komplementował, nakłaniał niemal do przyjaźni i współpracy. Zaprosił „Bora” na uroczysty obiad z grupą wysokich niemieckich dowódców, przygotował dla niego willę, żeby mógł „odpocząć po trudach walki” i razem z Niemcami czuwać nad ewakuacją cywili z miasta – co „Bór”, który odmawiał i odmawiał po-

tem zanotował w swojej *Armii Podziemnej*. Od 1951 roku wydawanej w Londynie sześć razy, w Polsce po raz pierwszy dopiero za Solidarności, w 1981 w oficynie NOWA.

Po dziwnej godzinnej rozmowie Bor odjechał do Warszawy, żeby następnego dnia wydać ostatni rozkaz do żołnierzy, napisać meldunek do Prezydenta i dać się zamknąć w oflagu. „Postawa naszego wojska bez zarzutu – napisał. – Wzbudza podziw wroga”.

Ożarówski dwór kupił w 1912 roku Stanisław Reicher, właściciel fabryki chemicznej w Sosnowcu. Miał być letnim domem rodziny. Przed wojną pełen był obrazów Malczewskiego, Kossaka i Matejki, skupiał warszawskich inteligentów. Za okupacji jedna z córek Reicherów, najstarsza Ludwika, była asystentką Mikołajczyka w Londynie, a we dworze był konspiracyjny skład broni i radiostacja AK. Na początku 1944 roku zdarzyła się jednak wyspa, broń i radiostację udało się przenieść, a Kazimierz Reicher, syn Stanisława, wyjechał do Kazimierza, ukrywał się, ale w lipcu '44 Niemcy go dopadli i zastrzelili. W domu została jego matka, która jeszcze we wrześniu '39 przekazała Muzeum Narodowemu większość obrazów ze ścian. I jedna z sióstr z dziećmi. To one właśnie zostały z dworu wyrzucone, żeby von dem Bach mógł założyć tu swoją główną kwaterę.

Jeszcze w Sosnowcu, dyrektorem fabryki chemicznej Stanisława Reichera był Artur Likiernik. Zaprzyjaźniony z Reicherami, często bywał z rodziną w dworze ożarówskim. Czy Stanisław Likiernik, jeden z ostatnich żyjących do niedawna żołnierzy Kedywu, ochraniający akcje likwidacyjne to ktoś z kuzynów? – na razie nie wiem. Ale może?

Jedną z córek Stanisława Reichera, Aniela Urbanowicz, której mąż i córka zginęli w obozie, po wojnie mieszkała we dworze. Od 1959 roku odbywały się tu zebrania Klubu Inteligencji Katolickiej, którego Aniela była współzałożycielką, odbywały się poufne narady środowiska „Znaku”. Spotykali się tu – trochę, ale tylko trochę jak przed wojną – Julian Tuwim, Leopold Staff, Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Turowicz, Stefan Kisielewski.

W 60. rocznicę zakończenia Powstania Warszawskiego odsłonięto na ogrodzeniu posesji tablicę, która upamiętnia ten ostatni akord Powstania. ANNA MIESZCZANEK ■

Aniela Reicher z matką Marią Reicher w Sosnowcu, około 1916 roku. FOT. WMOM



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2023



Mydło z ludzi

Trwa w Gdańsku tendencja do optycznego wybielenia Rudolfa Spannera, zdeklarowanego nazisty, członka Narodowo Socjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej, członka SA (Sturm Abteilung, zbrodniczego ramienia tej partii), a przy tym profesora nauk medycznych i ważnej postaci Medizinische Akademie in Danzig (MAD) – uczelni realizującej rasistowski program, gdzie wykładano higienę rasową i kształcono np. w specjalności „lekarz dla Polaków”.

Spannera zaprosił do pracy w tej uczelni jej dyrektor, potem rektor, Erich Grossmann, wykładowca higieny rasowej, Oberführer SS, odznaczony przez Adolfa Hitlera złotą odznaką NSDAP. W okresie Wolnego Miasta Gdańska Grossmann jako senator prowadził Wydział Spraw Zdrowotnych i Polityki Ludnościowej, a po włączeniu Gdańska do III Rzeszy był kierownikiem Urzędu Rasowo-Politycznego Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Był m.in. współautorem planu zamordo-



wania w Lasach Piaśnickich około 1 400 pacjentów szpitala w Kocborowie, własnoręcznie mordował chorych psychicznie w ramach akcji „T-4”. W czasie gdańskiej kariery Spannera, w roku 1941, większość pacjentów Oddziału Chorób Psychiczych „Srebrzysko” wywieziono do Saksonii i tam uśmiercono. W uwolnionych tym sposobem budynkach utworzono Klinikę Ortopedii MAD, w czasie wojny bardzo potrzebną.

Dziś, w Gdańsku, *casusu* Spannera nie stawia się jako pogładowego wzoru niszczenia nauki zbrodniczą ideologią i nie używa jako wyrazistego dowodu na niezbędność rozpoznawania granicy, za którą nauka, medycyna

stacza się w zwrócony przeciwko człowiekowi, zbrodni czy system, a zatem granicy nieprzekraczalnej. *Casusu* Spannera nie ukazuje się jako horrendum – nazistę w nauce – ale przedstawia się go jako naukowca w Trzeciej Rzeszy, męża uczonego, który znalazłszy się w specyficznych historycznych

okolicznościach pożytkuje je – wykonując porządną, wartościową naukową pracę.

Czym jest współczesna nauka, jeśli tego nie rozróżnia – albo gorzej: jeśli to zakłamuje? W *casusie* Spannera ogniskują się poważne kwestie medycyny i w ogóle nauki, historii i współczesności, najbardziej bieżącej polityki i najbardziej fundamentalnych pytań o człowieka. Dlatego podjęliśmy pracę nad cyklem programów, chcemy te kwestie postawić, poruszyć. Zapraszamy na pierwszy odcinek, który można obejrzeć na stronie internetowej: Gdańsk Strefa Prestiżu – www.gdanskstrefa.com.

ADAM BRZEZICKI, ZBIGNIEW SAJNÓG ■

Apel o upamiętnienie zbrodni na Polakach

Poseł Kacper Płażyński i dwóch gdańskich radnych, Andrzej Skiba i Przemysław Majewski, podczas konferencji prasowej 25 września br. poinformowali o przesłaniu pism do ministra prof. Piotra Glińskiego i do rektora Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Marcina Gruchały w sprawie utworzenia izby pamięci w budynku przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie w Gdańsku, w którym w czasie II wojny światowej pod kierunkiem niemieckiego lekarza Rudolfa Spannera prowadzono eksperymenty pseudomedyczne.

Poseł Płażyński podkreślił, że takie miejsce jest szczególnie potrzebne w Gdańsku, „gdzie Polacy byli prześladowani, a po wybuchu wojny – eksterminowani”. Równocześnie zapewnił ministra, że są na miejscu społecznicy chcący podjąć się tego zadania: „są materiały, są wreszcie służący odpowiednimi konsultacjami historycy”. Natomiast w piśmie do rektora GUM, Kacper Płażyński poprosił o zabezpieczenie obiektu przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie, który obecnie niszczeje i nie jest zagospodarowany, a który należy uratować i stworzyć w nim ekspozycję upamiętniającą ofiary tych zdarzeń.

„Wierzę, że wizyta w [takim miejscu] pomoże licznemu gronu studentów medycyny z całego świata, zdobywających wiedzę w naszej znakomitej uczelni, zrozumieć, czym była III Rzesza, jak ówczesne państwo niemieckie traktowało Polaków, a także do



Konferencja prasowa, od lewej: Przemysław Majewski, Kacper Płażyński, Zbigniew Sajnog i Andrzej Skiba, 25 września 2023. FOT. © OSKAR BAK / RADIO GDAŃSK

jakiego niewyobrażalnego upadku może doprowadzić lekarza porzucenie zasad zawodu, złamanie wierności przysiędze Hipokratesa i brak szacunku dla drugiego człowieka” – napisał Płażyński w liście do rektora.

Od 1975 roku na budynku prosektorium Instytutu Anatomii dawnej Akademii Medycznej w Gdańsku (obecnie Gdański Uniwersytet Medyczny) znajdowała się tablica pamiątkowa z napisem: „W tym gmachu faszysti niemieccy w latach II wojny światowej popełnili zbrodnię przeciw ludzkości, używając zwłok więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof jako surowca do fabrykacji mydła. Ludzie ludzicom zgotowali ten los”. Tablicę zdjęto po protestach

przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Gdańsku. Argumentowali oni, że napis na niej zawiera zbyt mocne słowa.

W czerwcu 2007 roku ponownie umieszczono tablicę z tekstem nie tylko w języku polskim, ale także w angielskim, niemieckim i rosyjskim: „W tym gmachu faszysti niemieccy w latach drugiej wojny światowej używali zwłok ofiar zbrodni przeciwko ludzkości, osób straconych w więzieniu w Królewcu i Gdańsku, pacjentów Okręgowego Zakładu Zdrowotno-Opiekuńczego w Kocborowie i więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof jako surowca do produkcji mydła. Ludzie ludzicom zgotowali ten los...”.

IRENEUSZ ST. BRUSKI, PM ■

#AkcjaWola

79 lat temu, 5 sierpnia 1944 roku Niemcy rozpoczęli Rzeź Woli. Na obszarze jednej tylko dzielnicy w ciągu kilku dni zamordowali kilkadziesiąt tysięcy osób: mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, bogatych i biednych.

Czym była Rzeź Woli?

Rzeź Woli była największą jednostkową zbrodnią dokonaną na ludności cywilnej w czasie II wojny światowej w Europie. Według różnych źródeł w dniach 5-7 sierpnia 1944 roku Niemcy zamordowali od 30 do 65 tys. mieszkańców warszawskiej dzielnicy Wola. Rozstrzeliwane były kobiety i dzieci, mężczyźni w sile wieku i starcy.

Masakrą cywilnej ludności warszawskiej Woli kierował Heinz Reinefarth. Był prawnikiem. W 1932 roku wstąpił do NSDAP i SS. Służył w administracji Protektoratu Czech i Moraw.

W dniu wybuchu Powstania Warszawskiego uzyskał awans na SS-Gruppenführera i generała porucznika policji. Z oddaniem wykonywał swoje obowiązki. Kazał mordować każdego, kogo uda się schwytać. Ubolewał, że nie ma tyle amunicji, by zabić wszystkich Polaków.

Po wojnie osiadł w modnym, niemieckim kurorcie Westerland. W 1951 roku, zaledwie siedem lat po tym, jak wydał rozkaz zabijania cywilów w Warszawie, został burmistrzem tego miasta a potem posłem do landowego parlamentu. Po zakończeniu kariery politycznej, otoczony szacunkiem sąsiadów prowadził praktykę adwokacką. Heinz Reinefarth nigdy nie poniósł odpowiedzialności za popełnione w Polsce zbrodnie.

Zdecydowana większość Niemców nie wie, czym była Rzeź Woli i inne niemieckie zbrodnie w Polsce. Nie wiedzą, że ich ojcowie i dziadkowie byli mordercami, potworami w ludzkiej skórze. Nie znają prawdziwego przebiegu niemieckiej okupacji Polski. Nie rozumieją, na czym polega odpowiedzialność ich narodu za tragedię Polaków.

Potwierdzają to badania, wskazuje na to treść niemieckich podręczników. Państwo niemieckie nie chce nic z tym zrobić. Przeciwnie, robi wiele, aby z Polaków robić współsprawców a z Niemców – ofiary bliżej niesprecyzowanych nazistów. Chodzi między innymi o to, żeby nie płacić Polsce reparacji wojennych. Większość Niemców nie wie dziś, za co niby mają płacić Polakom a władze RFN, w mojej opinii,

dbają o to, by nigdy się tego w pełni nie dowiedzieli.

Bogate państwo niemieckie nie było do tej pory stać na zrobienie porządnej akcji informacyjnej

o niemieckich zbrodniach w Polsce. Dlatego Fundacja „Łączy nas Polska”, dzięki wsparciu wielu zwykłych, często niezamożnych Polaków zakupiła niemieckie wydanie książki Piotra Gursztyna *Rzeź Woli*. Chcemy, żeby trafiła ona do niemieckich szkół i żeby stała się kanwą dyskusji o niemieckich zbrodniach dokonywanych w Polsce w latach 1939-1945. Tej dyskusji dziś w Niemczech nie ma, bo Niemcy jej nie chcą. Musimy to zmienić. Niemcy nie muszą wydać na to ani feniga. Wystarczy, że szkoła napisze e-maila do Fundacji „Łączy nas Polska” a bezpłatnie otrzyma książkę.

Co zrobimy?

Wyślemy do niemieckich szkół książkę *Rzeź Woli. Zbrodnia Nierozliczona* Piotra Gursztyna. Chcemy, żeby na początek trafiły one do placówek oświatowych w landzie Szlezwik-Holsztyn. Tam, w mieście Westerland na wyspie Sylt mieszkał po II wojnie światowej kat Woli Heinz Reinefarth.

Naszym pierwszym celem jest, żeby Niemcy, którzy znają Reinefartha jako burmistrza Westerland i sympatycznego adwokata dowiedzieli się, kim był naprawdę: mordercą polskich kobiet i dzieci. Jeśli się uda, będziemy działać dalej, dostarczając *Rzeź Woli* po niemiecku do szkół i bibliotek w całych Niemczech.

Książka Piotra Gursztyna, historyka i dziennikarza związanego z wieloma polskimi mediami, to rzetelne, wyczerpujące a jednocześnie przedstawione w przystępny sposób studium zbrodni na cywilnej ludności Warszawy w pierwszych dniach Powstania. Powinni przeczytać ją niemieccy nauczyciele, uczniowie, ich rodzice i dziadkowie. Zrobimy wszystko, żeby tak się stało i żeby nasza akcja wywołała w Niemczech szeroką dyskusję na temat zagłady Warszawy i cierpień Polaków.

Dlaczego to robimy?

Badania opinii publicznej wskazują, że Niemcy nie wiedzą, co ich ojcowie i dzia-



SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth (pierwszy od lewej) wraz z ukraińskimi żołnierzami 3. Pułku Kozaków im. płk. Jakuba Bondarenki podczas Rzezi Woli (prawdopodobnie w okolicy ul. Wolskiej), 1944 FOT. NAC

dowie robili w Polsce w latach 1939-1945. Nie wiedzą z powodu niemieckiej polityki historycznej, przesuwałcej odpowiedzialność w kierunku beznarodowych „nazistów” i celowo pomijającej obraz okupacji naszego kraju.

Namacalnym dowodem systemowego charakteru wypierania ze świadomości społecznej odpowiedzialności Niemiec za niewiarygodne zbrodnie popełnione przez tę nację w Polsce są tamtejsze podręczniki szkolne. Znalezienie tam informacji o skali terroru stosowanego wobec Polaków przez niemieckich okupantów jest praktycznie niemożliwe. Bywają podręczniki, gdzie więcej niż o zniszczeniu naszej Ojczyzny przez Niemców jest o „autorytarnych rządach sanacji” w przedwojennej Polsce.

Historia się nie skończyła. Przeszłe wydarzenia mają dalszy ciąg dzisiaj i będą miały konsekwencje w przyszłości. Nie może być pojednania bez zadośćuczynienia. Tego zaś nie będzie bez prawdy. Tę prawdę Niemcy muszą poznać. I jest to także nasza, polska odpowiedzialność.

W jaki sposób możesz pomóc?

Aby kupić odpowiednią liczbę niemieckojęzycznego wydania *Rzezi Woli*, dostarczyć je do niemieckich szkół i nagłośnić naszą akcję w RFN potrzebujemy pieniędzy. Nasza Fundacja nie korzysta ze wsparcia państwa i instytucji publicznych w żadnej formie. To świadoma decyzja, która daje nam pełną niezależność działania. Wierzymy w moc społecznej mobilizacji i siłę polskich serc; jesteśmy pewni, że uda nam się zgromadzić odpowiednią kwotę z wpłat osób fizycznych. Liczy się każda złotówka i za każdą złotówkę Państwu dziękujemy. Będziemy też wdzięczni za Państwa uwagi dotyczące akcji a także pomoc w jej nagłośnieniu. Czym więcej Polaków się w nią włączy, tym więcej Niemców pozna prawdę.

W pierwszym etapie musimy zgromadzić 100 tys. złotych. Pozwoli to na zakup książek, ich wysyłkę oraz na działania promocyjne. Pomóc nam w tym: www.zrzutka.pl/z/akcjaWola.

NATALIA NITEK-PLAŻYŃSKA ■
Fundacja „Łączy nas Polska”



Zadanie na resztę życia

FOT. © VIATOR.COM

JOANNA
■ PASZKIEWICZ-JÄGERS



Trudno sobie wyobrazić jak dalece uboższa byłaby holenderska kultura tożsamość pozbawiona zjawiska „Vincent van Gogh”. A mogłoby się tak zdarzyć, gdyby rozslawienie spuścizny malarza nie stało się życiowym zadaniem jednej osoby: Johanny van Gogh-Bonger (1862-1925) – „Jo” zgodnie z oficjalnym skrótem imienia. Prosił ją o to umiერając mąż, Theo van Gogh, brat Vincenta, o cztery lata od niego młodszy.

Theo i Jo po ślubie w 1889 przez dwa lata mieszkali w Paryżu. Tam urodził się ich syn, Vincent Willem van Gogh (1890-1978). Ma on ogromne zasługi jako inicjator utworzenia w Amsterdamie muzeum prac van Gogha, obecnie jednego z najslawniejszych europejskich muzeów. W 1959 roku rozpoczął pertraktacje z rządem holenderskim dla uzyskania funduszy na zakup i stałe umiejscowienie odziedziczonych po matce zbiorów. Doprowadził do powstania Fundacji, której własnością jest największa na świecie kolekcja prac Vincenta van Gogha: 200 prac malarskich, 500 rysunków, 30 grafik i ponad 800 listów.

Pół wieku temu, dokładnie 2 czerwca 1973 roku, holenderska królowa Juliana dokonała otwarcia tego muzeum (od 1994 nosi nazwę: Van Gogh Museum, Amsterdam). W 1973 spodziewano się 60.



Jo van Gogh FOT. VGMA



Theo van Gogh FOT. VGMA

tysięcy zwiedzających rocznie... Jest ich nie mniej niż półtora miliona, aż 85 proc. stanowią cudzoziemcy. Główny budynek zrealizowany według projektu Gerrita Rietvelde został w 1999 roku powiększony o pawilon dla wystaw czasowych.

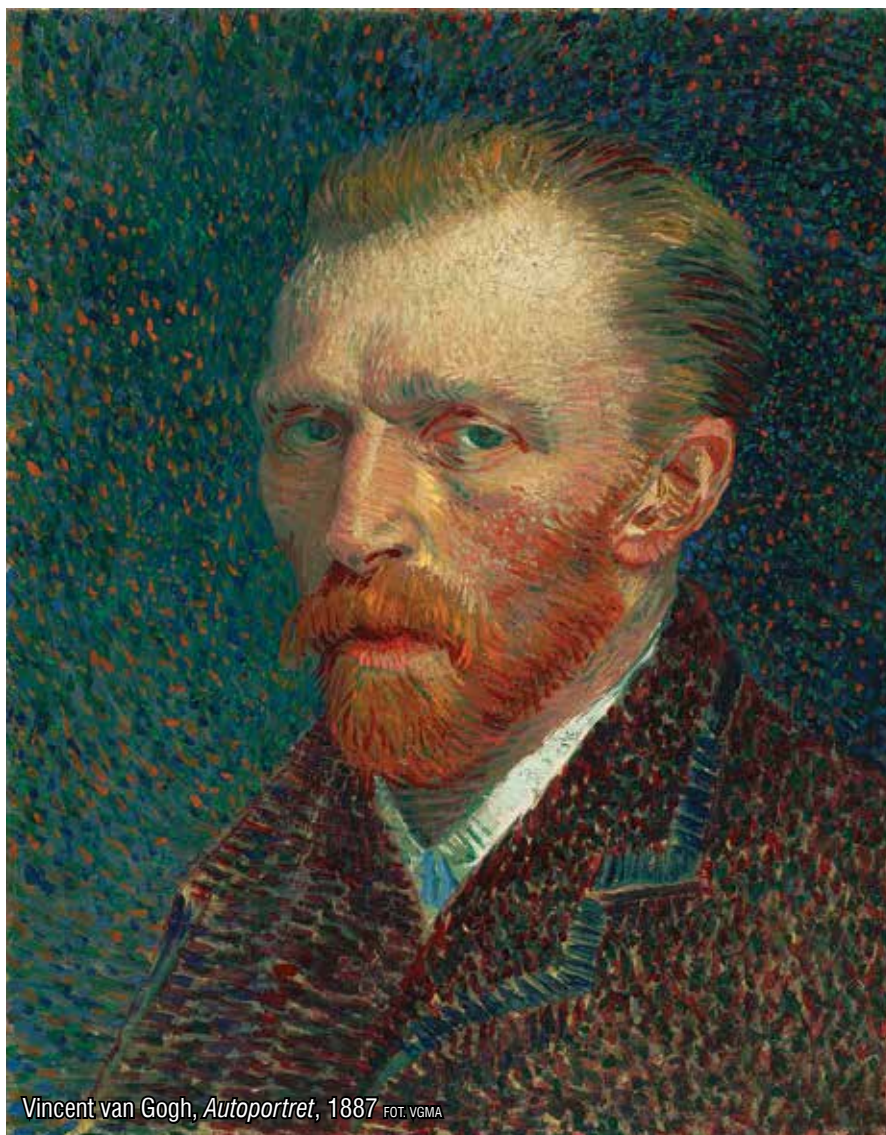
Wróćmy do wydarzeń wcześniejszych. Vincent umiera wskutek rany postrzałowej w lipcu 1890 roku. Życie Theo kończy się pół roku później. Nie pozostawił testamentu, co oznacza, że połowa dzieł malarskich, rysunków, grafik i listów Vincenta oraz dzieł sztuki zgromadzonych przez obu braci przechodzi na własność Jo, a połowa na własność Vincenta Willema. Młoda wdowa staje przed pytaniem: jak postąpić?

Decyduje, że podąży za życzeniem Theo, którego szczęśliwą żoną była zaledwie 21 miesięcy: upowszechni twórczość i osobę Vincenta.

Zadanie to spełnia z ogromnym zaangażowaniem przez resztę życia, 35 lat. Ma zresztą po temu przygotowanie. Podzielała wraz z Theo przekonanie o wielkim talencie Vincenta i zafascynowanie jego dorobkiem. Theo przekazał jej też wiarę w nadrzędną rolę sztuki. Ceniono go jako specjalistę od handlu dziełami sztuki w międzynarodowej firmie Goupil, a to umożliwilo obojgu wgląd w znajdujące się wtedy w rozkwicie paryskie życie artystyczne.



Jo van Gogh z synem Vincentem Willemem, 1890 FOT. VGMA



Vincent van Gogh, *Autoportret*, 1887 FOT. VGMA

Energiczne starania Jo rozpoczęła od razu. Pierwszy zauważony pokaz prac van Gogha w Amsterdamie to już rok 1892. Działała z determinacją i wprost, ale także rozważnie, strategicznie, a kiedy widziała taką potrzebę – twardo. Czasem ze zręcznością gracza giełdowego, niezmiennie natomiast ze skrupulatnością buchaltera.

Decyzje na temat każdego rodzaju promocji – wystaw, publikacji, sprzedaży czy wypożyczania prac podejmowała samodzielnie, choć nie w odosobnieniu. Wśród środowiskowych autorytetów szukała wsparcia tych, którzy popierali nową sztukę i sprzeciwiali się akademizmowi, choć początkowo ze zmiennym szczęściem. Pomógł jej np. Matisse, od pomocy uchylił

się Gauguin, zignorował ją czołowy krytyk Felix Fénéon. Pierwsze dziesięciolecie nie jest więc zbyt pewne; sukces nadchodzi tuż po roku 1900. W 1905 wystawa van Gogha w amsterdamskim Stedelijk Museum obejmie 480 prac!

A przecież mogło stać się inaczej. Jo van Gogh-Bonger mogła nałożonego sobie zadania nie udźwignąć, mogła wobec niego zobojętnieć. Kim wtedy byłby Vincent van Gogh? Jednym z artystów zlekceważonych, zapomnianych? Zasługi Jo w pełni docenia się dopiero teraz. Pierwsza jej biografia zatytułowana *Alles voor Vincent. Het leven van Jo van Gogh-Bonger* (Wszystko dla Vincenta. Życie Jo van Gogh-Bonger), rezultat dziesięciu lat pracy Hansa Luijtena ukazała się w Amsterdamie, w 2019 roku.



Z obecnej perspektywy najważniejsze wydaje się, że nie dopuściła do rozproszania się spuścizny. Tę chwalebną postawę podzielał jej syn. Nadal przypisuje się ją członkom rodziny; troje zasiada w Radzie Fundacji.



Fragment okładki katalogu pierwszej wystawy Vincenta w Amsterdamie, 1892 Muzeum Van Gogha

Ciąg dalszy na s. 44 ▶

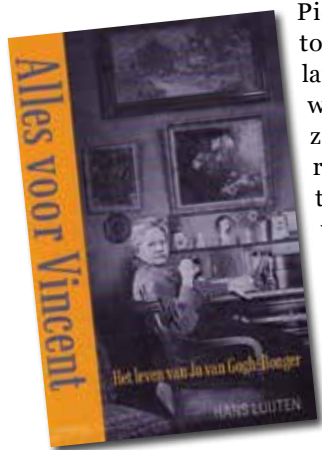


Wystawa dzieł van Gogha w Antwerpii, 1914 FOT.VGMA

► Ciąg dalszy ze s. 43

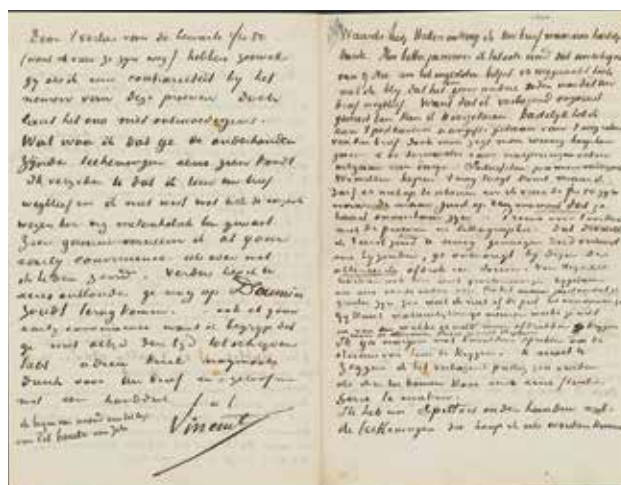
„The New York Times Magazine” z kwietnia 2021 roku w eseju *The Woman Who Made van Gogh*, omawia rolę jaką odegrała Jo. Zdaniem autora zasadnicze znaczenie miało przygotowanie przez nią do druku zbioru listów Vincenta. Pracowała nad nimi dzień i noc.

Pierwsze, trzytomowe niderlandzkojęzyczne wydanie ukazało się w 1914 roku (miałam te tomy w ręku, właściciel strzeże ich jak skarb). Zaraz potem pojawiło się w y d a n i e niemieckie. Pierwsze wydanie angielskie to rok 1927, w przekładzie dokonany przez Jo, która we wczesnej młodości była nauczycielką angielskiego. Listy Vincenta natychmiast zafascynowały swą siłą odbiorcę. Fascynacja trwa i ma światowy wymiar. Łączą się w nich dwa wątki: człowiek i dzieło.



List Vincenta do Theo, 1882

Opis gorączkowego, pełnego zwrotów życia jakie malarz prowadził, objaśnia ulegającą ciągłym zmianom jego twórczość. Oba nurty wiązały się u niego z cierpieniem, składał samego siebie w ofierze dla sztuki. Taki wizerunek artysty nie przestaje być aktualny.



Półwiecze Van Gogh Museum - Amsterdam jest obchodzone trzema uzupełniającymi się wystawami. Najważniejszą była przypadająca na jubileuszowy czerwiec zorganizowana wspólnie z paryskim Musée d'Orsay wystawa Van Gogh w Auvers-sur-Oise.

Auvers, „artystyczna” wieś oddalona 30 kilometrów od Paryża to także symbol ostatniego, najważniejszego, etapu twórczości van Gogha. Trwał siedemdziesiąt dni, od 20 maja do 29 lipca 1890 roku, nacechowany był jakąś oszałamiającą „przedśmiertną” intensywnością. W Auvers powstały 74 obrazy. W tym

najbardziej znane, jak dwa portrety ekscentrycznego lekarza Paula Gacheta, jak utrzymany w niebieskiej tonacji widok kościoła w Auvers czy przesycone poczuciem beznadziejności duże płótno, które przedstawia łąn zboża, unoszące się nad nim stado wron i drogę prowadzącą donikąd.

W Auvers van Gogh wynajął niewielki pokój w gospodzie. Wstawał o piątą i... przystępował do pracy. W południe wracał na posiłek, potem znów pracował. Prawdopodobnie ostatnim, bo – co u niego niespotykane – nieukończonym, był obraz o wymiarach



Auvers, miejsce gdzie powstał ostatni obraz Vincenta van Gogha FOT.VANGOGHMUSEUM.NL



Vincent van Gogh, *Pole pszenicy z krukami*, 1890 FOT.VGMA

50x100 cm, którego tematem jest splot wielkich korzeni. Korzeniom van Gogh nadawał rolę symboliczną; oznaczały walkę życiową.

27 lipca 1890 wcześnie rano wyszedł, zaczął pracę nad obrazem, przestał malować, wrócił, potem znów wyszedł; być może zamiarem popełnienia samobójstwa. Śmiertelnie zraniony zdołał wrócić, zmarł trzydzieści godzin później.

W czerwcu 2020 roku Instytut van Gogha w Auvers podał do wiadomości, że na podstawie dawnej fotograficznej karty pocztowej oraz zdjęcia z roku 1907 udało się odnaleźć miejsce splecionych korzeni. Jego odsłonięcie nastąpiło 28 lipca 2020, w przeddzień 130. rocznicy śmierci malarza. Zostało wówczas otoczone drewnianym ogrodzeniem dla ochrony przed turystami.

To, że w Auvers odwiedzamy jednocześnie groby obu braci, wiąże się z osobą Jo. W roku 1914, tym samym, w którym doszło do pierwszej publikacji Listów, zrealizowała z generalską precyzją zamysł ponownego pochówku szczątków Theo (zmarłego w Paryżu, pochowanego w Utrechcie), obok grobu Vincenta.

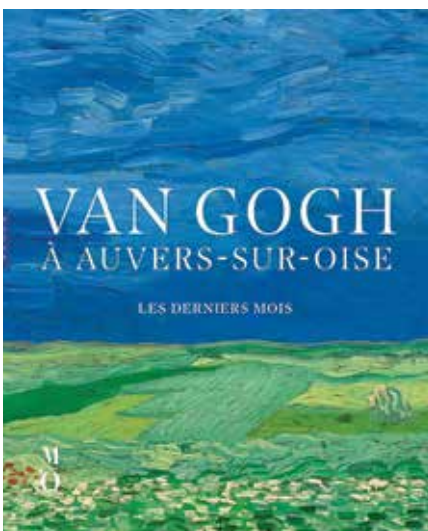
JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS ■



Wystawa dzieł van Gogha w Musée d'Orsay, 2014 FOT. © BERTRAND GUAY



Vincent van Gogh, bratanek malarza, na krótko przed otwarciem Muzeum van Gogha w Amsterdamie, 1973 FOT.VGMA



Wspólny grób braci Vincenta i Théodora van Goghów w Auvers-sur-Oise

FOT. © JOSÉ RENATO VENÂNCIO RESENDE / CC BY-SA 4.0



FOT. © JACQUES GAIMARD, 2021

Ostatni obraz van Gogha

■ IRENEUSZ ST. BRUSKI



WAuvers-sur-Oise, niedaleko Paryża, zlokalizowano miejsce, w którym Vincent van Gogh malował ostatni obraz przed swoją tragiczną śmiercią.

Malarz przybył do Auvers 20 maja 1890 roku. Miejscowość wywarła na nim niezwykle wrażenie, co znalazło swoje miejsce

w tematyce jego prac. W tym ostatnim okresie swego życia van Gogh malował bardzo intensywnie, rozpoczynając pracę w plenerze o świcie i przerywając ją tylko na obiad; kładł się około 9. wieczorem. W ten sposób powstało ponad 70 prac. Dominującym tematem w większości obrazów – z których wiele należy do jego najwybitniejszych – były przeważnie okoliczne pejzaże, choć

w tym czasie powstało również kilka martwych natur oraz szereg portretów.

Malarz znalazł się w Auvers pod opieką przyjaciela – doktora Camille’a Pissarra oraz mecenasa artystów Paula Gacheta, z którym wkrótce również się zaprzyjaźnił a także uwiecznił na swoich płótnach. W czerwcu 1890 powstał Portret doktora Gacheta w dwóch wersjach oraz akwaforta



Willemine Jacoba „Wil” van Gogh (1862-1941) FOT. VGMA



Pokój w którym mieszkał Vincent van Gogh w Auvers

FOT. © GAELLE ALBAN, 2018





Mężczyzna z fajką, akwaforta FOT. VGMA



Portret Adeline Ravoux II, 1890 FOT. DP / CC BY-SA 3.0

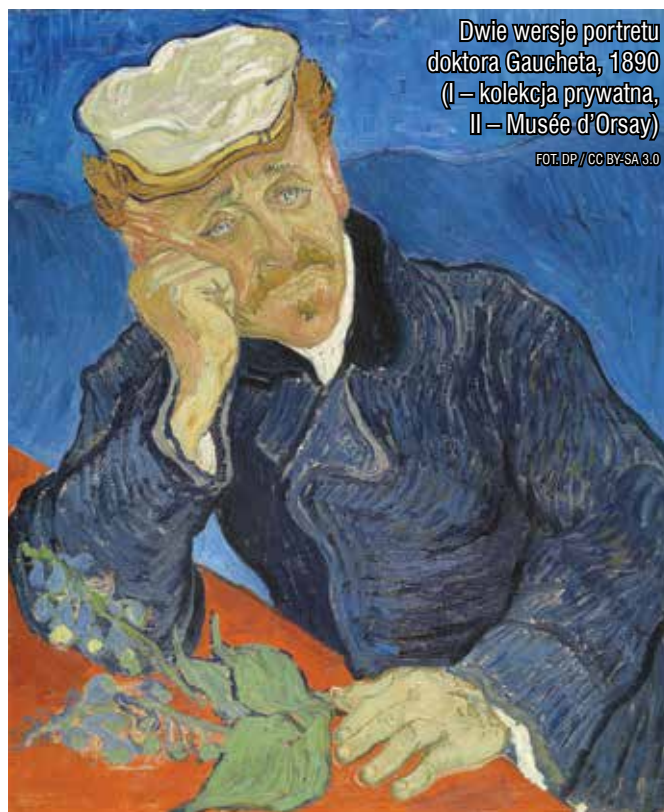
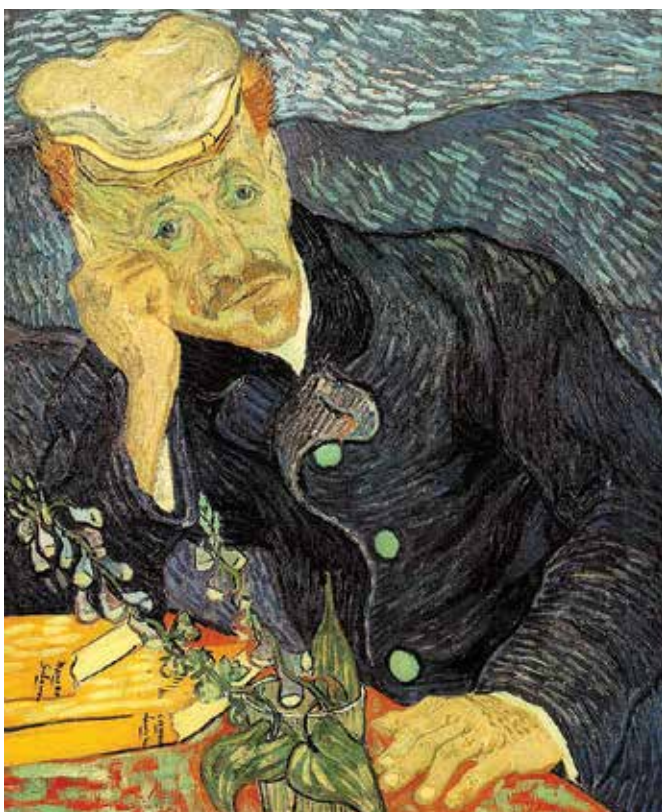


Podczas 70-dniowego pobytu w Auvers-sur-Oise Vincent van Gogh zamieszkał w pokoiku nr 5, na poddaszu miejscowej gospody – Auberge Ravoux, za który płacił 3,5 franka dziennie, włącznie z wyżywieniem FOT. © NASLOVNA

(jedyna w twórczości van Gogha) z jego podobizną (*Mężczyzna z fajką*). Dzieła te ukazują Gacheta w melancholijnym nastroju; malując go artysta wyłożył swoje credo artystyczne w kwestii malarstwa portretowego. Wykorzystał w nim starą jak świat formę wypełniając ją własnymi, indywidualnymi detalami teraźniejszości. W jednym z listów do swojej siostry, Willemine van Gogh (1862-1941), pisał między

innymi: „Chciałbym robić portrety, które wiek później będą wyglądać jak zjawy dzisiejszych ludzi. Próbuje robić to nie przez fotograficzne podobieństwo, ale przez nasze namiętne ekspresje, stosując jako środek wyrazu i egzaltacji charakter naszej nauki i nowoczesny zmysł kolorystyczny” (5 czerwca 1890).

Ciąg dalszy na s. 48 ▶



Dwie wersje portretu doktora Gaucheta, 1890 (I – kolekcja prywatna, II – Musée d'Orsay)

FOT. DP / CC BY-SA 3.0

► Ciąg dalszy ze s. 47

Oprócz wspomnianego *Portretu doktora Gacheta*, który należy obecnie do jednego z najdrożej sprzedanych dzieł sztuki na świecie, powstał także portret jego córki, członków rodziny Ravoux – właścicieli gospody, w której podczas ponad dwumiesięcznego pobytu się zatrzymał, oraz portrety małych dzieci. Tu powstały również – należące do najsłynniejszych obrazów van Gogha – *Kościół w Auvers* i *Pole pszenicy z krukami*.

Trzy lata temu, Wouter van der Veen – dyrektor naukowy Instytutu van Gogha w Auvers-sur-Oise – zlokalizował miejsce, które najprawdopodobniej artysta chciał uwiecznić na swoim obrazie zatytułowanym *Korzenie drzew*. Znalazł on pocztówkę z tej miejscowości, pochodzącą z lat 1900-1910, której fragment przedstawiający rue Daubigny do złudzenia przypomina niedokończony obraz van Gogha.

Dyrektor Instytutu uważa, że praca artysty przekazuje ważne wskazówki dotyczące tego, jak spędził ostatnie godziny przy pracy nad obrazem: „Światło słoneczne namalowane przez van Gogha wskazuje, że ostatnie pociągnięcia pędzla zostały namalowane pod koniec popołudnia”. – Dostarcza to więcej informacji o przebiegu tego dramatycznego dnia, zakończonego jego samobójstwem – dodaje.

Dotychczasowa wersja o samobójczej śmierci Vincenta van Gogha jest obecnie poddawana negacji. Według biografów Stefana Naifeha i Gregory’ego W. Smitha, malarz mógł zostać postrzelony przez osobę trzecią, natomiast wersję



ALVERS-SUR-OISE
VILLAGE D'ARTISTES

COMMUNIQUÉ DE VOTRE MÈRE, ISABELLE MEZIERES

Rétablissons la vérité !
En réponse à l'article du journal "le Parisien" du 5 juillet 2023,
Non "les Racines" peintes par Van Gogh ne se situent pas dans un jardin privé

Suite à la requête introduite en justice par la ville le 30 octobre 2020, un jugement a été rendu le 15 juin 2023 par le Tribunal Administratif de Cergy-Pontoise, annulant l'acte d'alignement pris le 2 septembre 2020 par la commune au motif que le talus ne fait pas partie du domaine public routier car il n'aurait pas été créé pour le voirie. Le Tribunal ne dit en aucun cas que les « Racines » peintes par Van Gogh se situent dans le jardin privé d'un couple comme l'annonce pourtant l'article du journal "le Parisien" du 5 juillet 2023.

Les biens immobiliers des communes entrent dans deux catégories : soit le domaine privé communal soit le domaine public communal mais dans les deux cas, les biens sont la propriété de la ville et à ce titre la ville doit, pour l'intérêt des Auvernois, protéger son patrimoine.

Le Tribunal a considéré que le talus en bordure de la chaussée n'appartient pas à la catégorie des biens du domaine public avec un régime juridique particulier. C'est son avis mais ce jugement n'est pas définitif et la commune va faire appel de ce jugement. La Municipalité ne veut pas que l'intérêt public des Auvernois cède le pas aux intérêts privés des propriétaires riverains.

Le Tribunal indique "Ni les titres de propriété ni aucune autre pièce du dossier ne permettent de déterminer le propriétaire du talus sur lequel se trouvent les racines en cause".
Enfin dans ce dossier les riverains concernés demandaient des dommages et intérêts contre la ville et finalement que l'actuel de la commune aurait été à l'origine d'un préjudice moral qu'ils évaluent à la somme de 10 000 euros. Ils sont déboutés intégralement de la somme exorbitante !

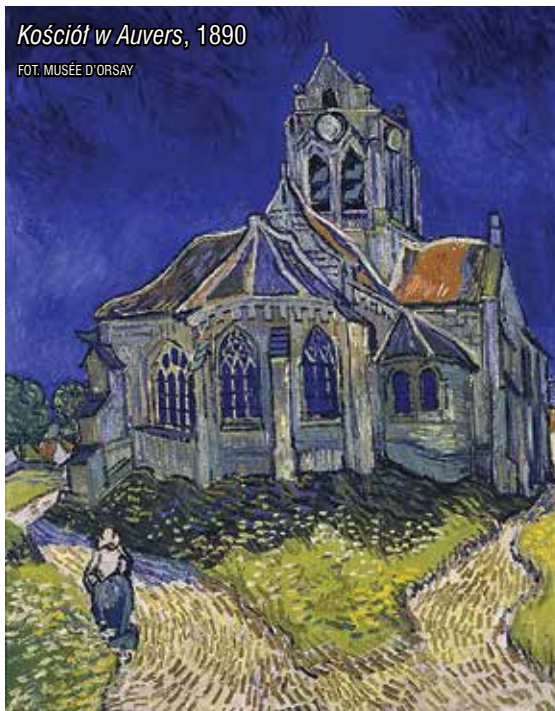
La Municipalité a été dans l'obligation de se défendre afin d'empêcher une appropriation privée et éventuelle d'un espace public.
Certains ont oublié que la défense du patrimoine de la ville et donc du bien commun de tous les Auvernois était un but légitime de l'action publique.

Aussi, la ville a fait appel de ce jugement afin de faire respecter le droit de l'urbanisme, la propriété communale mais également pour faire cesser une éventuelle exploitation commerciale, dont les aménagements par les prétendus propriétaires pourraient altérer ce dernier vestige du célèbre peintre et risquerait de mettre en danger les visiteurs par un aménagement du talus.

Isabelle Mezieres
Mère d'Auvers-sur-Oise
Présidente de la Commission de
Coopération Inter-Municipales

Lokalizacja ostatniego obrazu Vincenta van Gogha, *Korzenie drzew*, zidentyfikowanego ze starej pocztówki przedstawiającej ulicę Daubigny w Auvers-sur-Oise, 1890/1905/2018. FOT. HATTIECXVI / REDDIT





właściciele pensjonatu, upierają się, że są na ich działce. Spór pomiędzy miastem a właścicielami działki przy rue Daubigny trafił do Sądu Administracyjnego w Cergy-Pontoise.

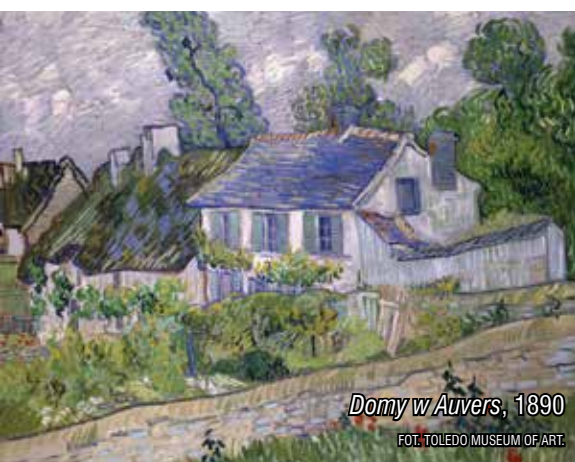
Początkowo powstałe drewniane ogrodzenie, zostało zastąpione przez Selingerów ogrodzeniem metalowym, jednak – co zarzucają władze miasta – bez odpowiedniego zezwolenia Architekta Budynków Francji (Abf) a co w konsekwencji zaowocowało zawiadomieniem o popełnieniu przestępstwa i powiadomienia DRAC (Regionalna dyrekcja ds. Kultury). Konflikt narasta. Wielka szkoda, że tak się dzieje...

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■

o przypadkowym postrzeleniu siebie ogłosił po to, by chronić prawdziwego sprawcę postrzału. Według nich miał być nim 16-letni Rene Secretan – jeden z dwóch znanych artystów chłopców. Autorzy opublikowanej w 2011 roku biografii stwierdzili, iż „postrzał mógł być wynikiem niefortunnej zabawy lub awarii broni”. Pistoletu wówczas nie odnaleziono a na niekorzyść hipotezy o samobójstwie świadczyć miał również kąt wlotu pocisku. W wyniku infekcji, Vincent van Gogh zmarł we wtorek, 29 lipca 1890 roku, o godzinie 1.30 w nocy.

Odkrycie Wouter'a van der Veen'a skłoniło go do badań porównawczych obrazu, pocztówki i obecnego zbrocza wzgórze. Naukowcy z Instytutu van Gogha wraz z dendrologiem Bertem Maesem doszli do wniosku, że przypuszczenia dotyczące miejsca powstawania *Korzeni drzew* mogą być jak najbardziej prawdziwe. Ogłoszono to odkrycie latem 2020 roku podczas specjalnej uroczystości, w której wziął udział m.in. Willem van Gogh – prawnuka Theo, młodszego brata holenderskiego mistrza. Zatem nie będzie przesadą stwierdzenie, iż poznaliśmy miejsce, które holenderski malarz uwiecznił na swoim obrazie.

Władze miasta podjęły wówczas kroki, aby zachować to miejsce dla potomnych w niezmiennym kształcie. Doszło jednak do konfliktu w kwestii własności... Mer Auvers-sur-Oise Isabelle Mézières twierdzi, że korzenie znajdują się na drodze, a zatem stanowią własność publiczną. Jean-Francois i Hélène Serlinger,



AUVERS-SUR-OISE
VILLAGE D'ARTISTES

15 avril ► 17 sept. 2023

Les
70
jours

Vincent
de
à Auvers

SAISON CULTURELLE 2023

Imigranci, emigranci, migranci – skąd się wzięli?



FOT. © GERD ALTMANN

ELŻBIETA
KRÓLIKOWSKA-AVIS



Na ponadpartyjnych konsultacjach premier Mateusz Morawiecki przedstawił Pakt Bezpieczeństwa Granic dla UE. Wskazuje tam na niemal wszystkie pułapki w jakie mogą wpaść państwa członkowskie, zwłaszcza graniczne i już pełne *war refugees* jak Polska. Nie przeszły, pod bardzo niemądrymi lub dziwacznymi pretekstami – PO, Hołownia i Lewica. Szkoda. Bo Pakt zawiera kilka pomocnych wskazówek dla Niemiec, Francji, Hiszpanii, aby zracjonalizować procedury i zmniejszyć liczbę niechcianych przybyszów z Afryki i Azji, bo o likwidacji masowej imigracji nie możemy już nawet marzyć. Do Paktu wrócimy, bo warto, a tymczasem pora uporządkować słownictwo jakim się przy tej okazji posługujemy, bo bałagan utrudnia podstawową komunikację.

Migracja, to przemieszczanie się mas ludzkich – np. mieszkańców różnych rejonów Afryki i Azji do Europy, czy Ameryki Łacińskiej do Stanów Zjednoczonych. Są też migracje zwierząt, np. sezonowa z parku natury Serengeti do Masai Mara i z powrotem. Z kolei imigranci, to ci, którzy przybywają ze świata do Europy czy z Indonezji i Filipin do Australii. Emigrantami byli np. polscy chłopci, którzy w XIX wieku opuszczali Polskę „za chlebem” i płynęli do Ameryki. Są *war refugees*, przybysze ze strefy wojny jak Ukraińcy w Polsce, są przybysze legalni, których potrzebuje gospodarka Polski, zwykle mają dokumenty i pozwolenie na pracę. No i są imigranci ekonomiczni, 90 proc. wszystkich, którzy przybywają do krajów zamożnych, Europy, Ameryki i Australii, którzy chcą polepszyć sobie życie na koszt państwa przyjmującego i jego podatników. Ogromna większość nie zna języka, nie ma żadnej edukacji ani umiejętności,

dokumentów brak, albo podrobione – i z góry zakłada, że będzie utrzymywać się na koszt państwa. Nie bez powodu wybierają kraje bogate, gdzie najwyższy socjal, i gdzie szaleje poprawność polityczna, czyli Niemcy, Wielka Brytania, Francja, kraje Beneluksu, Skandynawia.

Kolejna sprawa: wiele się mówi o trwającej kilka dekad, fali imigrantów, lecz ani słowa o tym, skąd oni się wzięli? A historia tego ludzkiego tsunami sięga lat 40., kiedy z trzaskiem zaczęły rozpadać się imperia kolonialne. Trwało to kilka dekad: jedynie Imperium Brytyjskie – od 1947 roku, podział Radżu na Indie i Pakistan, do 1963, roku odzyskania niepodległości przez Kenię. Warto pamiętać, że to pandemium, które pojawiło się na ulicach miast Zachodu, to rezultat po pierwsze – ekspiacyjnego bicia się w piersi byłych kolonizatorów, a po drugie rewolucji kontrkulturowej lat 60., promującej mniejszości oraz hasła: „*black is beautiful*”, „*ethnic is beautiful*”, a potem „*gay is beautiful*”. Przecież kolonizatorami byli nie tylko Brytyjczycy, ale i Francuzi – północna Afryka, Indochiny, część Karaibów, Polinezja; Hiszpanie – Ameryka Południowa i Środkowa, Mauritania, Filipiny; Niemcy – Tanganika, Namibia; Holandia – dzisiejsza Indonezja, Belgowie – słynące z okrucieństwa Kongo Belgijskie, opisywane także przez Józefa Conrada w *Jądrze ciemności*, a potem film Nicolasa Roega. Państwa kolonialne podbiły świat, wydzierają tamtym żywnym ziemiom niezmiernie bogactwa i ciemniły ludność. Wystarczy spojrzeć jak wiele w tych państwach kolonialnych pozostało infrastruktury z tamtych czasów: dróg, kolei, fabryk, budynków państwowych i szkół wzniesionych z pieniędzy z tej bandyterki. Mnóstwo, i widać je do dziś.

Na ten wielki paneuropejski proces rozsypania się imperiów kolonialnych nałożyła się rewolucja kontrkulturowa lat 60. i 70. ze swoimi hasłami antysystemowości, pacyfizmu i ochrony praw mniejszo-

ści. Zwłaszcza czarnej, ale potem pojęcie to rozszerzyło się i zgeneralizowało. Już od początku poszło źle, bo zaproponowano system *multi-culti*, czyli obowiązkowy szacunek dla kultury przybyszów, natomiast nie słychać było ni słowa o respekcie dla prawa, zwyczajów oraz kultury państw przyjmujących. I to był wielki błąd, który skutkował dalszymi patologiami – *woke culture* i *cancel culture* – przecież w dużym stopniu powiązanych z dziedzictwem złej przeszłości i późniejszymi nierozsądnymi wyborami bijących się w piersi i politycznie poprawnych państw imperialnych.

Lecz pierwsi imigranci z byłych kolonii brytyjskich – Hindusi, Pakistańczycy – ciężko pracowali w rozwijającym się przemysle tekstylnym w Midlandach, Niemcy przyjeźli w latach 70. tysiące imigrantów zarobkowych z Turcji i Jugosławii. Oni także pracowali i dorabiali się majątków. Ale lewica zagarniała coraz większe połacie aktywności państw i społeczeństw, a polityczna poprawność oszalała. Kiedy w 1990 roku przyjechałam do Londynu, byłam zaskoczona hojnością, jakby nie było konserwatystów, dla przybyszów z dalekiego świata. *Social benefit, housing benefit, child benefit*, punkty za pochodzenie i nadreprezentacja, w mediach, we władzach, tymczasem samorządowych. Kiedy w 1997 roku, po 18. latach rządów konserwatystów, w Wielkiej Brytanii przejęli władzę labourzyści, Tony Blair przeciągnął przez parlament The Immigration Act, który znacznie ułatwiał przybywanie do kraju imigrantów zarobkowych. Podczas 13-letnich rządów labourzystów, liczba przybyszów poszybowała z 50 do 200 tys. rocznie! Dziś premierem jest hinduista Rishi Sunak, merem stolicy muzułmanin Sadiq Khan, pierwszym minister w Szkocji także muzułmanin, nadreprezentacja dzieci i wnuków byłych imigrantów w rządzie, parlamencie, mediach, zwłaszcza BBC, i oczywiście w samorządach. „*Black*” i „*ethnic*” wciąż są piękne, coraz piękniejsze.

David Cameron został premierem, ponieważ obiecał zmniejszyć liczbę nielegalnych przybyszów z 350 tys. rocznie do kilkudziesięciu, dziś liczba 350 powiększyła się do 500. tysięcy, a w międzyczasie zaliczyliśmy *brexit*, który był przecież motywowany „niekontrolowaną liczbą imigrantów, którzy przeciążają służby państwa, drenują budżet”.

Wracając do Paktu Bezpieczeństwa Granic premiera Morawieckiego: gdyby działania państw Unii Europejskiej kierowały się logiką i zdrowym rozsądkiem, byłby to dla nich świetny „instruktaż podróży przez nieznaną ląd”, jakim jest dziś nasz kontynent, pęczniący od imigrantów, których liczba jest nieznana.

Punkt 1. mówi o skutecznej ochronie granic na wzór Polski. Fizyczne zapory i monitoring na Morzu Śródziemnym, zwiększona liczba patroli, natychmiastowe odsyłanie do kraju pochodzenia lub skąd płyną. A więc umowy takie, jakie ma Wielka Brytania z Francją w Calais i Hawrze, gdzie służby graniczne natychmiast zwracają „nielegalów”. Oczywiście, oni już następnego dnia próbują znowu, ale ta umowa jakoś działa. Natomiast nie funkcjonuje pomysł obozu dla nielegalnych imigrantów z Afryki w Ruandzie. Władze obu państw nawet się porozumiały, lecz na setki tysięcy przybyszów odesłano z Heathrow zaledwie 27 osób – to już na skutek zmasowanego ataku lewicowo-liberalnych partii, mediów i human rights organisations.

Punkt 2. Ograniczenie bodźców socjalnych, sprzyjających imigracji. Przecież ogromna większość przybyszów, którym udało się dostać na Wyspy, często ucieka z *detention centres*, a potem, posługując się fałszywymi papierami, aplikuje o nienależny socjal. Fałszywe dokumenty produkowane są już na skalę przemysłową. Zaprzyjaźniony brytyjski dziennikarz powiedział mi, że w stolicy Nigerii Lagos, fałszywe dokumenty można sobie kupić na ulicy, nawet tuż pod brytyjskim konsulem. Dopóki benefity będą tak wysokie i tak łatwo dostępne, nielegalni przybysze będą grupowani w ośrodkach otwartych, z których wyparowują, pośrednicy praktycznie bezkarni, brak umów z krajami afrykańskimi, proceder będzie trwał.

Punkt 3. Szybkie odsyłanie nielegalnych imigrantów do krajów pochodzenia, lub z którego przybyli, skrócenie procedur do minimum oraz strzeżone ośrodki detencyjne.

Punkt 4. Współpraca z krajami źródłowymi imigracji, Afryki czy Azji. Trudna sprawa, bo np. niektóre państwa po prostu nie istnieją, patrz: Mozambik, Angola, Somalia, Nige-

ria, Niger, Mali, Sudan Południowy. Rozkład służb państwa, wielość ośrodków władzy, wszechpotężna korupcja, wewnętrzne wojny, nawet nie wiadomo z kim się dogadywać? Inne, owszem, zainkasują fundusze, obiecują współpracę, nie mając zamiaru wywiązywać się z umowy. Co robić? Dogadywać się z kim można, ale kierować pieniądze na konkretne projekty i monitorować prace. Choć już wiadomo, że Europa prędzej czy później stanie się twierdzą, którą trzeba będzie bronić na lądzie, wodzie i w powietrzu. Zbyt wielu chętnych, nadzieje na lepsze i łatwe życie, rozbuchane zwłaszcza w 2015 roku, spora szansa na sukces.

Punkt 5. Racjonalizacja polityki imigracyjnej. I tu pytanie: dlaczego nie skorzystać z dobrych wzorców? Doroczna lista zawodów potrzebnych w kraju, jak od lat robi Australia czy, zaczyna, Wielka Brytania. Udoskonalenie rekrutacji pracowników sezonowych lub na czas określony – jak w Emiratach Arabskich, gdzie prace budowy pełne są Hindusów, Filipińczyków, Indonezyjczyków, Afrykanów, którzy zdecydowali się pracować.

Oto kilka porad dla naszych błędzących przyjaciół z Unii Europejskiej, którzy tak ochoczo starają się podzielić z nami swoim problemem. *Detention centres* muszą być strzeżone, bo czekający na koniec długiej procedury – skrócić! – szybko się dematerializują i dołączają do wspólnot swoich ziomeków. Koniec z zasadą łączenia rodzin, która sprawia, że za jednym przyjętym delikwentem ściga cała jego rodzina wraz z kuzynostwem. Nie ukrywać, iż wiemy dlaczego tak chętnie usiłują podzielić się z nami swoimi imigrantami, i argumentować. Po pierwsze, nie my ich zapraszaliśmy, po drugie, nie mamy wobec nich żadnych zobowiązań moralnych, bo nie należymy do grupy państw – byłych kolonizatorów. Po trzecie, mamy swoich imigrantów, Ukraińców, którymi się opiekujemy i wciąż czekamy, i nie zamierzamy przestać, na należne nam na ten cel fundusze. Po czwarte, doskonale zdajemy sobie sprawę, jak bardzo nadmiar imigrantów obciąża budżet oraz dewastuje służby państwa – system zdrowia, edukacji, socjalny oraz bezpieczeństwo publiczne. Przecież to są ogromne pieniądze! Przecież to była właśnie najważniejsza przyczyną brexitu! Nadmierne obłożenie służb państwa oraz systematyczne obniżanie się standardów życia Brytyjczyków!

Jedynie Afryka, to 1,4 mld ludzi, wszyscy chcą lepszych warunków życia, a większość dorosłych marzy o tym, aby dostać się do Europy. Upadek służb publicznych, nie spinanie się budżetów państwowych, znaczące obniżenie się warunków życia, to całkiem realna przyszłość Europy. A oto

dalsze *immigration – related problems*. Polityczna poprawność przekłada się także na kłopoty policji i służb porządkowych. Lęk policji w rozprawianiu się z bandytami, bo zwykle „winięci przedstawieli prawa” i strach w docieraniu do *no-go zones*. Fałszowane statystyki MetPol, czyli Policji Metropolitalnej, gdzie nie specyfikuje się przynależności etnicznej kryminalisty, finansowanie przez państwo kancelarii adwokackich, broniących np. morderców i gwałcieli z Somalii czy Konga, i wykluczających ekstradycję, bo delikwent jest żonaty z obywatelką UK i „ma prawo do życia rodzinnego”. Dzisiejsza prawidłowość statystyczna, to zwiększenie się liczby przestępstw oraz czynów kryminalnych, popełnianych przez imigrantów, zwłaszcza nielegalnych. Rozboje uliczne, włamania, gwałty, okrutne zbrodnie. Policja i media z zasady próbują je albo przemilczeć, albo zbagatelizować.

Pojawiły się także rodzaje przestępstw, typowych dla Pakistanu, Bangladeszu czy muzułmańskiej północnej Afryki. *Forced marriages* – nie mylić z *arranged marriages*, które jednak zakładają zgodę kobiety na przyszłego męża – powszechne we wspólnotach muzułmańskich całej Europy. Za tym idą *crimes of honour*, mordowanie dziewczyny, która nie zgadza się na wybranego przez rodzinę męża, przez ojca lub braci. Newsy na ten temat, które ukazują się w europejskich mediach, to tylko czubek góry lodowej problemu. *Mother-in-law-crimes*, zbrodnie popełniane przez teściowe, niezadowolone z posagu wniesionego przez synową. Zwykle oblewa się dziewczynę gorącym olejem, a kiedy ta umiera, swata się syna z kolejną kandydatką, licząc na nowy posag. *Female genitals mutilation*, Somalia, Etiopia, dziś Londyn. Albo *white-meat-gangs*, przestępstwo typowe dla wspólnot muzułmańskich z miast brytyjskich Midlandsów, czyli przysposabianie nieletnich białych dziewcząt do prostytucji, z której gang czerpie zyski.

Te postkolonialne resentymenty plus epidemia politycznej poprawności, przez kilkadziesiąt lat rewolucji kontrkulturowej przeniknęły wszystkie segmenty życia państw zachodnioeuropejskich. Przeżerają sądy i systemy penitencjarne, edukację, media, organizacje pozarządowe, partie lewicowo-liberalne, ale także „nowoczesnych, współczujących konserwatystów”. Niemcy, Francuzi czy Skandynawowie dobrze wiedzą, że rozwiązanie kwestii niekontrolowanej imigracji będzie wymagało głębokich reform państwowych, i dlatego tak chętnie próbują podrzucić nam tę tykającą już bombę. Problem mamy już rozpoznany, teraz czas na stanowczą reakcję NIE.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS ■

Skuteczna odpowiedź na kryzys emigracyjny

Europa staje w obliczu kolejnego kryzysu imigracyjnego. Między politykami państw UE trwa dyskusja na temat możliwych środków zaradczych. Komisja Europejska przedstawiła propozycje nowych przepisów, które mają zaradzić kryzysowej sytuacji (tzw. pakt o migracji i azylu).

Propozycje Komisji nie rozwiązują najistotniejszego problemu, jakim jest rozmycie granicy między uchodźcami a imigrantami ekonomicznymi. Wątpliwości budzi także ustanowienie wspomnianego mechanizmu solidarnościowego z uwagi na brak dostatecznych podstaw w traktatach unijnych. Instytut Ordo Iuris przygotował analizę proponowanych przez Komisję rozwiązań, wraz z rekomendacjami pożądanymi zmian.

Każdego roku do Europy przybywają tysiące imigrantów, głównie z krajów azjatyckich i afrykańskich. Tylko w 2022 roku blisko milion cudzoziemców złożyło wnioski o azyl w państwach europejskich (nie licząc Ukraińców), a ponad 300 tysięcy usiłowało nielegalnie przekroczyć granicę. Liczba nielegalnych imigrantów, którym to się udało, jest nieznana.

W dobie kolejnego kryzysu imigracyjnego Unia Europejska pracuje nad przepisami, które mają na celu opanowanie sytuacji. Komisja Europejska przedstawiła pakt o migracji i azylu, przewidujący m.in. stworzenie systemu wczesnego ostrzegania o niepokojących ruchach migracyjnych, wzmocnienie kontroli tożsamości imigrantów na granicy, przyspieszonych procedur rozpatrywania wniosków azylowych, a także wprowadzenie tzw. mechanizmu solidarnościowego, w ramach którego państwa w szczególnie trudnej sytuacji imigracyjnej otrzymają wsparcie ze strony państw mniej obciążonych. Przewidywane wsparcie będzie formę przymusowej relokacji imigrantów (minimum 30 tys. osób każdego roku), pomocy finansowej (minimum 600 mln euro każdego roku) lub pomocy operacyjnej (np. w formie wysłania dodatkowych strażników granicznych z jednego państwa do drugiego).

Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris przygotowało analizę proponowanych przez Komisję rozwiązań. Choć niektóre z nich stanowią krok w dobrym kierunku (np. system wczesnego

ostrzegania), to pakt o migracji i azylu nie rozwiązuje najistotniejszego problemu, jakim jest rozmycie granicy między uchodźcami a imigrantami ekonomicznymi. Zaprezentowane rozwiązania co do zasady wymagają wpuszczenia na terytorium państwa członkowskiego każdego imigranta, jeśli tylko złoży wniosek o ochronę międzynarodową. Dotyczy to także osób, które przekroczyły granicę nielegalnie. Rodzi to ryzyko nadużyć w postaci kaskadowego składania wniosków o azyl przez imigrantów ekonomicznych tylko po to, aby zostać wpuszczonym na terytorium.

Wątpliwości budzi także ustanowienie wspomnianego mechanizmu solidarnościowego z uwagi na brak dostatecznych podstaw w traktatach unijnych. Te przewidują możliwość tworzenia tego rodzaju mechanizmów na wypadek kryzysu imigracyjnego, ale jedynie jako środki tymczasowe, proponowane rozwiązanie ma zaś mieć charakter permanentny.

W analizie Instytut Ordo Iuris przedstawił szereg rekomendacji. Prawnicy proponują m.in. wprowadzenie przepisów pozwalających na odrzucanie jako niedopuszczalnych wniosków składanych przez cudzoziemców, którzy nielegalnie przekroczyli granicę.

Każdy cudzoziemiec zagrożony prześladowaniami w państwie spoza UE ma prawo ubiegać się o azyl, ale pod warunkiem złożenia odpowiedniego wniosku w placówce dyplomatycznej, na przejściu granicznym, ewentualnie także w innym miejscu wyznaczonym przez państwo członkowskie. Nielegalne przekroczenie granicy przez imigranta pozwala domniemywać, że nie złożył on wniosku o ochronę międzynarodową, bo wie, iż nie spełnia on przesłanek.

W ramach rekomendacji znalazło się także poszerzenie zakresu zastosowania procedury granicznej i powrotowej, a zwłaszcza zniesienie terminów, po upływie których państwo ma obowiązek wpuszczenia imigranta jeszcze przed rozpoznaniem wniosku o ochronę międzynarodową.

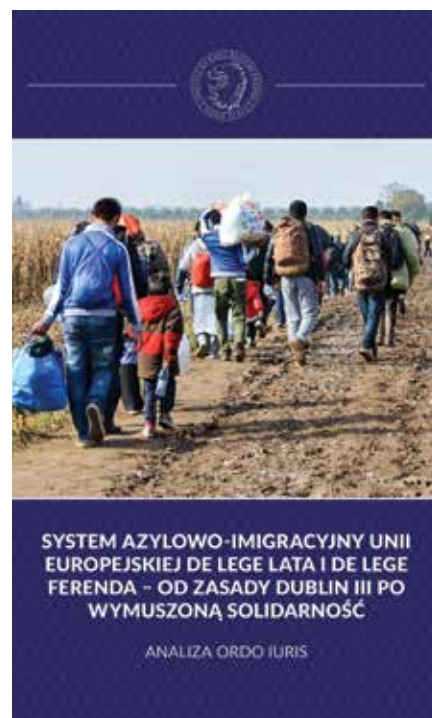
Instytut postuluje również wprowadzenie przepisu szczególnego ustanawiającego wyraźną opcję *opt-out* z mechanizmu solidarnościowego dla Polski, znajdującej się w szczególnej sytuacji jako państwo

członkowskie, które przyjęło najwięcej uchodźców z Ukrainy w całej Unii Europejskiej (około 1,2 mln). Zwolnienie Polski z mechanizmu solidarnościowego nie powinno być uzależnione od zgody Komisji i powinno być udzielone na czas nieokreślony. Ponadto wprowadzony powinien zostać przepis szczególnie gwarantujący Polsce wsparcie w ramach mechanizmu solidarnościowego w związku z przyjmowaniem uchodźców z Ukrainy.

Do postulatów Ordo Iuris należy też doprecyzowanie przesłanek opcji *opt-out* z mechanizmu solidarnościowego dla pozostałych państw członkowskich; ustanowienie górnych limitów wkładów do puli solidarnościowej, jakie państwa członkowskie zobowiązane są wnosić w ramach mechanizmu solidarnościowego; utrzymanie w sytuacjach kryzysowych możliwości wkładu do puli solidarnościowej w postaci pomocy operacyjnej oraz doprecyzowanie przesłanek możliwości skorzystania przez państwa z udogodnień proceduralnych w sytuacji kryzysowej.

Analizę zatytułowaną System azylowo-imigracyjny Unii Europejskiej „*de lege lata*” i „*de lege ferenda*” – od zasady Dublin III po wymuszoną solidarność można pobrać ze strony: www.ordoiuris.pl.

ANDRZEJ SZTUMSKI, OI ■



Dziela nas

*Dziela nas, dodawają, pierwiastkują nawet
Czasem podnoszą do potęgi. Wierzą
Że sami są potęgą. Używają żwawych
Maszyn działania. Dawne liczydło
Gdzie to samemu trzeba dotykać, przesuwać
Układać, odejmować, przemieszczać narody
Z głodu do głodu – okropnie już zbrzydło
Teraz w urzędach nie usłyszysz stuku
Maszyn co piszą tajemne rozkazy
Cichutko jest... A dawniej jakby maszynowy
Karabin strzelał seriami. Od razu
Zostawał ślad, banalne błędy literowe
Jak niezgładzone groby
Przyszły komputery
Biorą winę na siebie
Ich szczere zeznania
Z tej najtwardszej płyty pamiętania
Kto odcyfruje
Jak?
Wedle uznania...*

ERNEST BRYLL

2009

FOT. SZTUCZNA INTELIGENCJA

Och, Tunezjo!



Krajobraz okolicy Matmaty

FOT. AHMED HAMOUDA / CC BY-SA 3.0

■ ANDRZEJ BARTKOWSKI



Ten tekst, choć prozą, chcę jednak przekazać jako wiersz mojej żonie Irenie, z którą tę podróż odbyliśmy w lutym 1977 roku. Była to podróż z miłością w tle i jest naszą życiową poezją.

Miłość...

Prawie miesięczna piękna tunezyjska przygoda, pełna treści, kontaktów i rozmów z Tunezyjczykami, bo oboje znamy język francuski. Spotkaliśmy tylko kilka osób, które wtedy kojarzyły Polskę. Przysparzało to wyjątkowości naszej podróży, tym bardziej, że odkryliśmy wielką urodę interieru tego kraju oraz ogromną moc historii i kultury panującej na tym skrawku Afryki.

Kilka miesięcy później byliśmy już małżeństwem. Tunezję odwiedzaliśmy

jeszcze wiele razy z dziećmi, przemierzając wynajętym samochodem jej regiony, wspaniale obdarowane przez naturę i historię. Całkiem niedawno, wróciliśmy z dwutygodniowego pobytu w pięknym hotelu, gdzie odżyły wspomnienia. Och, Tunezjo – sprzyjasz naszej miłości.

Miłość? Czy jeszcze nie miłość? Zafascynowanie. Potrzeba siebie. Kilka płomiennych spotkań i te straszne 300 kilometrów między Warszawą a Krakowem. Ona tam, ja tu. Rozgrzany telefon i odrobina fantazji. Jedziemy, musimy wyjechać. Ale gdzie?

Mapa. Rzucam kamyk, żeby było romantycznie. Spada jakoś na Włochy, toczy się z Apenin, wpada do Morza Śródziemnego i stop... Wyspy Kerkennah? Psiakrew, ja fachowiec od turystyki nie wiedziałem o ich istnieniu, ale są – u wybrzeży południowej Tunezji. Niby Afryka, a tylko trzy godziny podróży.



Takie dwa małe cuda techniki zawieźliśmy do Tunezji w lutym 1977 i sprzedaliśmy pierwszego dnia pobytu w Tunisie

Okiem w przeszłość

Niski lot nad Sycylią budzi w nas skojarzenia, ale nie myślimy o mafii, ani nawet o niesamowitym splocie kultur i tym osobliwym teatrze historii. Lecąc nad Sycylią, wspominamy jeden z najfajniejszych fragmentów mitologii greckiej, kiedy to przy końcu arcyspektakularnej wojny bogów z gigantami Gaja, matka gigantów, biorąc odwet na bogach za wytepienie jej potomstwa (poginęli wpadając w panikę od ryku osłów Dionizosa) wydaje na świat najstraszliwszego pod słońcem potwora, Tyfona. Najstraszliwszy, a ciało jednak ma ludzkie, ale już nogi to sploty węży. Rozciągnięte ręce dotykają wschodu i zachodu słońca. Gra w zośkę górami, sięga do gwiazd. Syczy i bzyczy jak sto parowozów, z paszczy mu płynie wrząca smoła, a ogień bucha ze ślepiów. Bogowie dają dyla do Egiptu jako wiewiórki i inna fauna dla niepoznaki, a tylko wielki Zeus staje do walki.



Zachód słońca w Susie FOT. © ROMAS PHOTO



FOT. © JAKUBURTOŃSKY

Nie boi się, bo ma superbroń. Rozpruwa Tyfona... sierpem (!), a krew zalewa Góry Trackie i odtąd nazywają się Hejmos – czyli góry krwi. Po ciosie sierpem trudno się pozbiierać. Doświadczył już tego praojciec Uranos – współczesnych pominię. Rannego Tyfona rzuca Zeus na środek Morza Śródziemnego, przywala Sycylią i kwita. Czasem jeszcze ranny Tyfon zionie ogniem przez krater Etny, a gdy się porusza – drży ziemia na Sycylii. No co? Nie piękny ten kawałek mitu?

Mitologia zawsze świetnie nastroja, a więc w szampańskich humorach witamy Afrykę. „Afryka! Afryka!” – krzychałem jak głupi, kiedy kilka lat wcześniej w szalonej autostopowej podróży z hiszpańskiego promu zacząłem dostrzegać Maroko. Chciałem powiedzieć, że to Afryka, ale komu? Oni wszyscy Afrykanie.

Tunis

Teraz więc już spokojniej wjeżdżamy w Tunezję autobusem z lotniska. Cwierzgwiazdkowy hotel w centrum Tunisu ma do zniesienia tylko cenę. Jest tak zimno



Autor na promie między portem Sfax a Wyspami Kerkennah

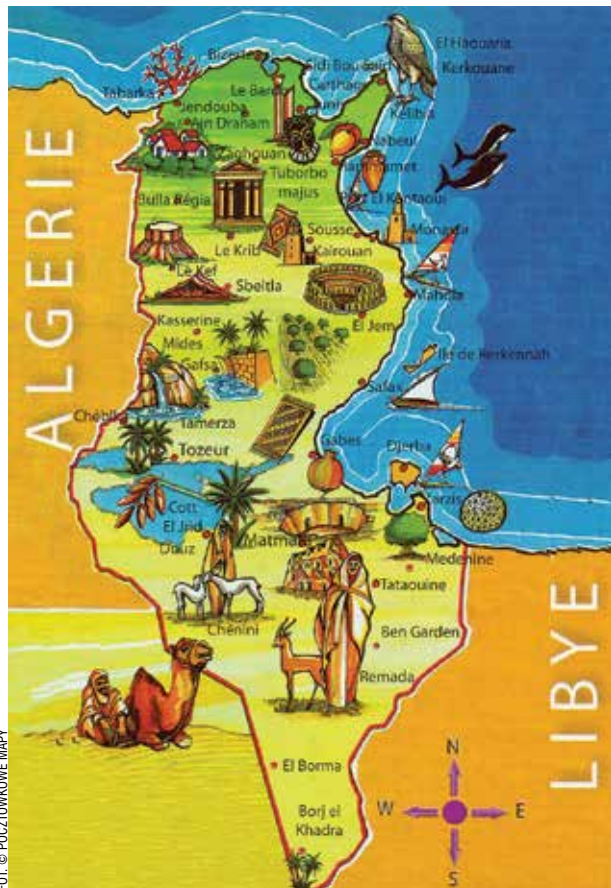
FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA BARTNIKOWSKIEGO

w hotelu i na ulicy, że nie wiemy, co począć. Chowamy się w kinie na Louisie de Funésie. Była to jedna z naszych największych „afrykańskich” przygód. Słynna już zakonnica na motorze, a de Funés w przyczepie. Widownia ryczy jak Tyfon. Okładają się po głowach i plecach. Wstają, siadają, biegają po sali, wrzeszczą, radość muszą podzielić z innymi. Afryka! Miałem wrażenie i nadzieję, że de Funés wychyli się z ekranu i krzyknie: „Ech! och! dajcie grać!”.

W nocy raz jeszcze krzyczymy w hotelu „Afryka! Afryka!”... i kładziemy na zwiewną, afrykańską kołderkę wszystko, co jest w apartamencie, a więc ceratę ze stołu, portret Bourghiby ze ściany, plastikową zasłonę umywalki i nasze kostiumy kąpielowe. Mówiłem, że się przydadzą, mimo że luty.

Afryka! Przeżyliśmy. Pędzimy w Afrykę, w islam, w medinę Tunisu, czyli starą dzielnicę arabską, którą posiada każde miasto w Tunezji. Serce miasta. Takie było ponad tysiąc trzysta lat temu, po świętej wojnie – *dżihad* – kiedy Maghreb stawał się światem Allaha. Zbudowane jak wszystkie miasta arabskie. Dookoła wysoki mur. W środku nieprawdopodobna sieć uliczek, przejść, korytarzy, sklepów, meczetów, straganów. Wszystkie kolory, wszystkie zapachy.

Perfumerie, arabskie perfumerie. Spotyka się je w każdej medynie, kasbie, suku, w całym świecie arabskim. Co zostało stworzone przez alchemików Abbasydów, Omajadów, Aghlabidów w „temacie” zapachu, siedzi tu w tysiącach, może nawet milionach słoików, słoiczków, flakoników,



FOT. © POCHTOWNIKOWE MAPY

ampulek. We wszystkich odcieniach, kolorach, stężeniach prezentują się płynne zapachy. Każdy ma swoją historię, filozofię, życiorys, uzasadnienie, duszę. Każdy atakuje i krzyczy. A wszystkie razem ciągną klienta, który dostępuje któregoś stopnia wtajemniczenia po wejściu do środka sklepu. Sprzedawca obezwładnia tyradami, peanami dla płynów, rozkazuje jakąś dziwną mocą czić każdy z tych zapachów, no i oczywiście je posiąść.

Małeńkie fiołki bez naszej wiedzy i przyzwolenia wymieniają się miejscem z pieniędzmi w naszych kieszeniach. Nareszcie naprawiliśmy błąd życiowy, nareszcie mamy chociaż trzy z trzydziestu milionów zapachów, którymi raczyły setne żony swoich mężów – bejów, sułtanów, szejków.

Ciąg dalszy na s. 56 ▶



Z górnego pokładu Irena widzi już zakładany cel naszej podróży Wyspy Kerkennah



Śniadanie na Wyspach Kerkennah



Starożytny Rzym w Tunezji obecny jest w każdym regionie. FOT. © ROMAN

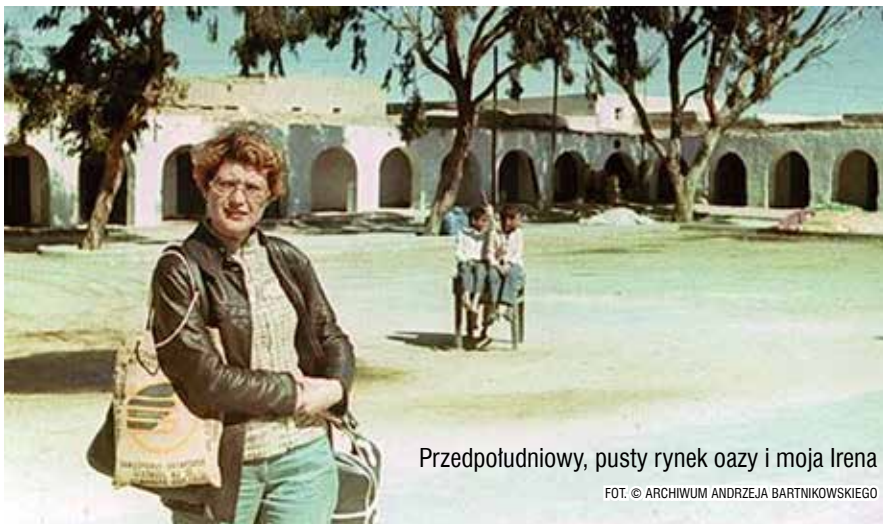
► Ciąg dalszy ze s. 55

Dotykamy delikatnie w kieszeni fiolki i czekamy na chwilę, kiedy w spokoju otworzymy maciupeńki koreczek, przyniesiemy pół kropli na palcu, uruchomimy zmysł powonienia i... latający dywan oderwie nas od ziemi.

Tu wszystko jest możliwe

Świat bajki. Kto tego nie zauważa to frajer. Nie umie czytać wiersza. Tu trzeba patrzeć, słuchać, wąchać.

Wąchać też przyprawy, stożki przypraw wystające z pękających worków. Znów tęcza kolorów, a zapachy unoszą, uruchamiają wyobraźnię gastronomiczną. Widzimy już stopy potraw na najdroższej porcelanie w pałacu beja, a wszystko pachnie, pachnie zapachami, jakie może stworzyć natu-



Przedpołudniowy, pusty rynek oazy i moja Irena

FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA BARTNIKOWSKIEGO

ra, zapachami owoców pustyni, korzeni traw, kaktusów, pnączy. Zapachami, jakie wiatr może wywiać z serca oaz pustynnych

i górskich. To wszystko jest tu w workach, słojach, torebkach, koszyczkach i czym tam jeszcze. A każdy sprzedawca w dżelabbie, fezie, śmiesznych przydeptanych babuszach to kapłan tej świątyni, świątyni przypraw, bez których kuchnia arabska nie istnieje i bez których znajomości nie można żyć. To ogromna wiedza, której posiadanie jest kapitałem i rozkoszą. Atmosfera z bajek tysiąca i jednej nocy.

Dwa osły z jukami po obu bokach swych wydętych brzuchów nijak nie mogą się minąć na wąskiej uliczce. A juki pełne. Chwileczkę, sprawa wydaje się normalna, codzienna. Sześciu sprzedawców podciągając dżelabby podnosi pionowo osiołka z ładunkiem, a drugi swobodnie przechodzi dołem i po krzyku. Życie naprzód gna. Gwar, tumult, hałas, nawoływania. Każdy jest zauważony, rozpoznany i doceniony, każdy otrzyma miłe słowo, zaproszenie, każdy musi się odkryć, opowiedzieć nawet na migi coś o sobie, bo padną dziesiątki pytań o jego osobiste życie.



FOT. © JACKMAC34

Muzyka, muzyka arabska bije z każdego prawie pomieszczenia. Dziwne dla nas zawołanie jest balsamem dla uszu Araba, a co drugi też śpiewa sam, jakby wprowadzony w trans. Jak oni czują tę muzykę, jak się nią rozkoszują i jak jej potrzebują! Ta muzyka jest świetnym tłem dla bajkowych pejzaży i mieszaniny kolorów, strojów, talerzy, dzbanuszków i nieprawdopodobnego tumultu.

Platanina uliczek, w której trudno się połączyć. Miasto gałąź drzewa. Z dużych uliczek, mniejsze, z mniejszych malutkie, z malutkich już tylko pasaże, korytarze krzyżujące się pod różnymi kątami, czasem jeden nad drugim jak gałęzie drzew. Urbaniści, podobno, nazywają to planem wegetatywnym, a my zapominamy, że istnieje inny współczesny świat i wchodzimy do kilku meczetów, meczecików, choć nie wolno, ale bakszysz dla nawet srogiego odzwiernego powoduje wyjątkowe załatwienie z Allahem zmiany przepisów. Głos muezinów z minaretów wtopionych w medinę meczetów nadaje naszej tu bytności wymiar niemalże mistyczny. Czujemy, że uczestniczymy w czymś wielkim i słusznym. Zostaliśmy włączeni do tego misterium i doznajemy rozczarowania kiedy znów jesteśmy poza mediną.

Skok na południe

Taxi-louage – to system podróży taksówkami między miastami. Jak to świetnie funkcjonuje. Taxi-louage rusza z chwilą nadejścia piątego pasażera i zatrzymuje się tylko na picie, lub na przykład przy rewelacyjnie zachowanym amfiteatrze rzymskim El Jem (Al-Dżamm). Rzymu w Tunezji jest tyle, że wspomnienie o jednym amfiteatrze jest profanacją tematu. Mam kłopoty z wyborem Boga, by prosić o wybaczenie. Południe to Safakis z arcydziełką mediną. Wyspy Kerkennah



Miliony zapachów arabskich zamkniętych w fiolkach, stoiczkach, ampulkach, flakonikach. FOT. © YASMEEN.PL



FOT. © PPODERI

obowiązkowo – cel podróży bądź co bądź. Skrawek ziemi, a wart książki, którą kiedyś popelnię.

Pociągami klasy III, gdzie często towarzyszem podróży jest baran, koza czy kura, a szyby w oknach wagonu producent uznał za zbędne, zmierzamy ciągle na południe.

Najdziwniejsze, niemalże księżycowe miasto Matmatę zgłębiamy, dosłownie, bo domy są głęboko. Dziury troglodyckie, mieszkania dziesięć metrów pod ziemią. Okrągłe studnie o średnicy 5-10. metrów i z dna studni, ogromnych dołów wchodzi się do wydłubanych w pionowych ścianach pomieszczeń, „pokoi”. Wszystko drażnione w ziemi. Na dole schłodnie, czysto, prymitywnie, ale swojsko, przyjemnie. Mnóstwo kontaktów, rozmów. Pod ziemią spotykamy człowieka niesłychanie okutanego w zawoje – tu wystaje bosa noga, tam oko z uchem, że aż wydaje się nam podejrzane, że ten syn pustyni tak się ukrywa. A kiedy ta konfekcyjno-humanitarna kula z ciężko wydobytych z zawoju uśmiechem podaje w wątpliwość szczerość intencji ostatniego króla Polski oraz jakże precyzyjnie komentuje polski zamach majowy z 1926 roku, zaczynamy się zastanawiać, czy nie trafiliśmy na ślad kapitana Czechowicza. Ludzie! Dziesięć metrów pod ziemią, w dziurze u wrót Sahary dżelabbijowa kula zna szczegóły historii Polski! Dotąd wszystkim tłumaczyliśmy z mapą w rękę, że Polska to nie Bolonia, nie woda toaletowa i że w ogóle to jest tysiącletni kraj, no i – jak Boga kocham – istniejemy.

Tak czy owak Matmata to miasto-widmo. Mówią, że kilka tysięcy mieszkańców... liczyłem, liczyłem i doliczyłem się może stu. Wszędzie pustki. Same dziury w ziemi.



FOT. © JEAN PAUL V

ciąg dalszy na s. 58 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 57

Hotel też w dziurze. Dziura, z dziury wejście, inna dziura, telefon, telewizor, restauracja nawet w dziurze. To się, przepraszam za nieliterackość, ale w tzw. pale nie mieści. Miasto w dziurach. Są przewodniki, uzasadnienia, „dziury troglodyckie”, opracowania naukowe, ale gdy się tam jest trudno uwierzyć, że takie miasto istnieje. Matmata – miasto znak zapytania. Domy w dziurach!? Obrazki jak z bajki.

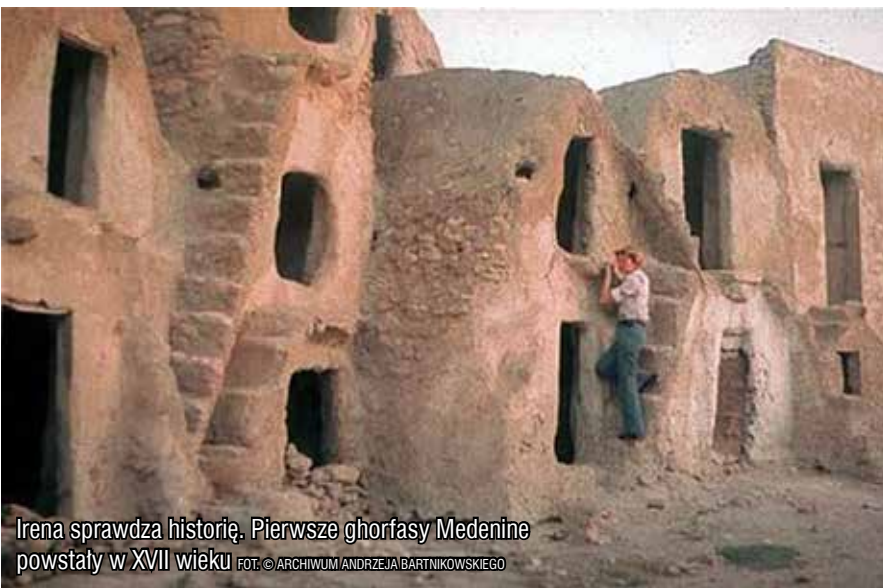
Synowie i córki pustyni z inwentarzem jadą do oazy Douz i Kebili. Z lewej strony o kilkaset metrów od drogi ciągnie się pasmo malowniczych, czerwonych gór przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, a z prawej – pustynia płaska jak stół. Piach, piach i piach. Ale autobus zatrzymuje się czasem, wychodzą dwie-trzy osoby, poprawiają dżelabby i każda idzie w inną stronę, w ten jednakowy pejzaż zasypany piaskiem. Jak oni wiedzą, gdzie wysiąść? Pięć czy dwadzieścia pięć kilometrów dalej ten pejzaż jest dokładnie taki sam. Jak oni żyją w tym morzu piasku? Jedziemy do Douz, Zaafrane, El Faouar i dalej na pustynię po odpowiedź.

W oazach jak w bajce

Po dwustu kilometrach podróży w czerwonych skałach i żółtym piasku, kiedy wchodzimy do oazy nie wierzymy własnym oczom. Tysiące drzew palmowych, cudowny chłód, słysząc śpiew ptaków,



Amfiteatr w El Jem – jeden z najlepiej zachowanych zabytków rzymskich, 230-238; trzeci co do wielkości amfiteatr na świecie FOT. DP/CC BY-SA 3.0



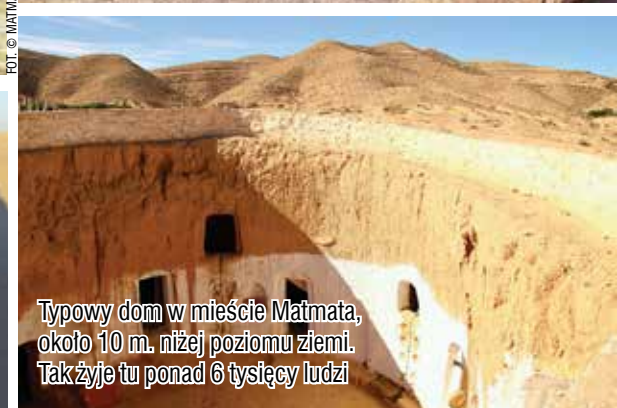
Irena sprawdza historię. Pierwsze ghorfasy Medenine powstały w XVII wieku FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA BARTNIKOWSKIEGO



Wejścia do różnych pomieszczeń tzw. domu troglodyckiego w mieście Matmata



Namiot beduiński; tak żyją synowie pustyni



Typowy dom w mieście Matmata, około 10 m. niżej poziomowi ziemi. Tak żyje tu ponad 6 tysięcy ludzi

szum liści palmowych i szum wody, która przelewa się małymi sztucznymi strumyczkami. Ież tu pracy ludzkiej, całe systemy grobel, grobelek, zastawek powodujących zatrzymanie wody, by dać się napić drzewom palmy daktylowej, a przy okazji wyżywić soczystą, zieloną trawę, jakże cenną tu paszę dla domowych zwierząt. Na targu oazy trawa ta obecna jest wszędzie, sprzedawana w niedużych, starannie wykonanych pęczkach jakby duży szczypiorek. Prawie każdy ma pod pachą pęczek trawy. Od razu widać, jak zwierzęta i ludzie są tutaj sobie potrzebni. Wszystkie, bajkowe nawet opisy stają się prawdziwe w tej oazie i przylegającej wiosce – miasteczku.

Mały meczecik i gratka niesamowita. Mężczyźni wychodzą z porannej modlitwy. Jest właśnie ramadan – miesiąc muzułmańskiego postu, kiedy od świtu do zmroku nie wolno jeść, palić, a Allah nawet nie pozwala na sprośne myśli. Wioska zapełnia się postaciami z *Lampy Aladyna*, z serca Sahary, ze świata jakby nierealnego. Uśmiech natychmiast odwzajemniają uśmiechem. Zaczyna się rozmowa jak ze starymi przyjaciółmi. Pytają o wszystko, a my – zauroczeni egzotyką – do wieczora jesteśmy wśród nich, patrzymy, rozmawiamy, zgłębiają ich świat i ciężko nam się z nimi rozstać.

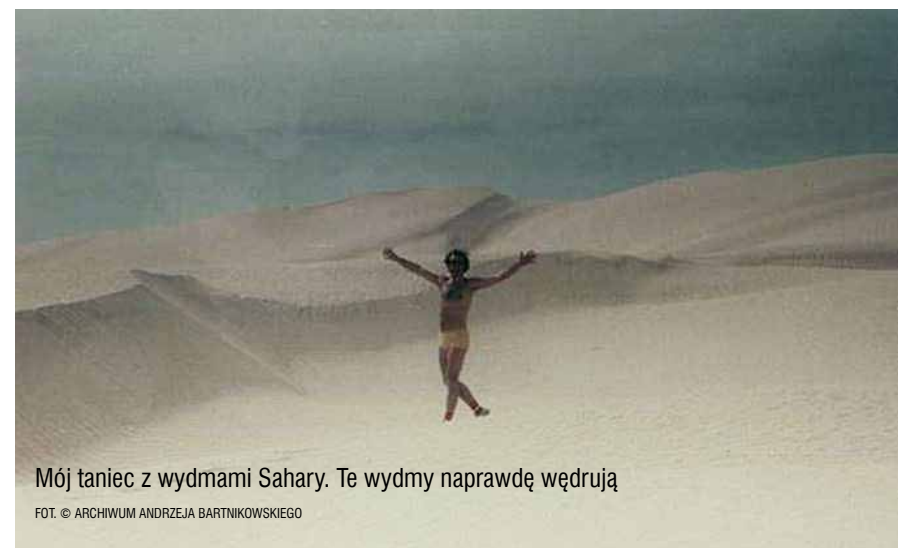
Przygody czekają. W Zaafrane wsiadamy na dwa wielbłądy. Dwa spośród może dwustu, które stoją na wzgórzu u wrót oazy i tworzą swoimi nieruchomymi sylwetkami w konturze słońca obraz niepowtarzalny. Trzy godziny jazdy tym okrętem pustyni to doświadczenie, którego nie da się zapomnieć. Bez wielbłąda nie ma tu życia. Karmi, wozi, pracuje, daje skórę, mięso (podobno pyszne), a nawet mocz do włosów beduińskich piękności. Docieramy do namiotu Beduinów w drodze do Bir El Gudeima. Jak względne jest pojęcie szczęścia, posiadania, komfortu. Trzeba zobaczyć ten namiot, jego męską i damską część, jego święty skórzany worek z wodą (nie do mycia!), zobaczyć i spróbować ich kuchni, zobaczyć suche igły wystające z piachu – pożywienie ich owiec.

Tu jest dyktat pustyni. Piach i słońce, chłód i żar, wiatr z piaskiem, burza, brak wody. To wszystko kreuje styl życia, modę, charakter, zaloty, miłość, religię. Pustynia, słońce i piasek. Ten piasek mamy już wszędzie, w ubraniu, włosach, rozumie i każdym kawałku organizmu. Wieczorem będziemy na tym piasku spać w hotelu milionwiazdkowym, a do obiadu zjemy beduińskie przysmaki przygotowane przez naszych arabskich przyjaciół na gorącym piasku... jak na patelni.

ANDRZEJ BARTKOWSKI ■



Oaza Douz. Do każdego miejsca dostarczona jest woda całym systemem rowków z odpowiednim spadkiem. FOT. © PANORAMIO



Mój taniec z wydrami Sahary. Te wydmy naprawdę wędrują

FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA BARTNIKOWSKIEGO

Laureaci Nagrody im. Witolda Hulewicza za rok 2023

12 czerwca 2023 roku, w rocznicę śmierci Witolda Hulewicza (1895-1941), Kapituła Nagrody jego imienia ogłosiła werdykt Jury Konkursu za rok 2023. W gronie laureatów XXVIII edycji znalazło się jedenaścioro wybitnych postaci świata polskiej kultury i sztuki, nauki i działań społecznych, tworzących w różnych zakątkach kraju oraz poza jego granicami – w Holandii i Niemczech.

Nagrody są przyznawane od 1995 roku. Początkowo instytucjonalnym organizatorem konkursu był Oddział Warszawski ZLP, kierowany przez współtwórcę Konkursu red. Romualda Karasia, od roku 2012 utworzono Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, które przejęło to zadanie. Konkurs odbywa się co roku pod honorowym patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałka Województwa Mazowieckiego i Marszałka Województwa Wielkopolskiego.

Uroczyste wręczenie Nagród XXVIII edycji nastąpi 25 listopada br. w auli warszawskiego Domu Literatury, przy Krakowskim Przedmieściu.

I. Wielka Nagroda Honorowa

Maria Swianiewicz-Nagięć (Olsztyn) – wilnianka, profesor nauk rolniczych, absolwentka SGGW, po studiach objęta „zakazem pracy w innych zakładach niż PGR”; w latach 1953-1956 pracowała w Państwowym Gospodarstwie Rybackim w Węgorzewie na stanowisku ichtiologa, po roku '56 pracownik naukowy w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie (od 1969 – ART, od 1999 – Uniwersytet Warmińsko-Mazurski). W latach 1970-1989 uczestniczka Duszpasterstwa Ludzi Pracy w Olsztynie; od połowy lat 70. związana ze środowiskami opozycyjnymi, w stanie wojennym kolporterka wydawnictw podziemnych, założycielka i pierwsza przewodnicząca Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” ART w Olsztynie (1980-1981); inwigilowana przez SB; osoba zasłużona dla polskiej nauki, strażniczka pamięci o Rodzie Swianiewiczów, w sposób szczególny o swoim ojcu prof. Stanisławie Swianiewicz – Nagroda za całokształt pracy zawodowej i społecznej dla Polski.



II. Grand Prix 2023

Jan Kucharski (Pniewy) – doktor nauk technicznych, inżynier, od 2009 roku właściciel zespołu pałacowo-parkowego w Biedrusku, któremu z wielkim poświęceniem przywraca dawny blask, równocześnie organizując spotkania skierowane do mieszkańców, jak wigilie dla samotnych, świąteczne paczki dla potrzebujących; otworzył swoje serce i bramy Pałacu w Biedrusku uchodźcom z Ukrainy; promotor postaw patriotycznych, twórca muzeum wojskowego oraz pomysłodawca Narodowego Panteonu Powstania Wielkopolskiego w Biedrusku, w skład którego wchodzi m.in. ścieżka historyczno-edukacyjna *Od niewoli do wolności* – Nagroda za działalność społeczną.

III. Nagroda Honorowa za rok 2023

Alicja i Janusz Dramińscy (Sząbrbruk, Naterki) – pasjonaci podwodnego świata, czego owocem są autorskie albumy ze zdjęciami z morskich głębin (m.in. *Morze Czerwone, Nasz podwodny świat, Podwodna Indonezja*), autorzy wielu wystaw fotograficznych; współtwórcy rodzinnej firmy Dramiński S.A. o zasięgu międzynarodowym, która produkuje specjalistyczne urządzenia przeznaczone dla rolnictwa, hodowli i weterynarii (m.in. ultrasonografy medyczne); założyciele Muzeum Maszyn Rolniczych, które w 2018 roku zostało wpisane do Księgi Guinnessa za największy na świecie zbiór żeliwnych kieratów konnych (277 szt.), oraz Fundacji Ochrony Dziedzictwa Techniki Rolniczej Warmii i Mazur, którzy traktują swoją działalność na tym polu jako misję – Nagroda za ochronę dziedzictwa regionalnego.

IV. Nagroda za rok 2023

Robert Andre (Konin) – artysta fotograf, absolwent Politechniki Poznańskiej, związany ze świętokrzyskim oraz wielkopolskim środowiskiem fotograficznym,

współzałożyciel Kolskiego Klubu Fotograficznego im. prof. T. Cypriana, którego jest obecnie prezesem honorowym; autor i współautor wielu wystaw fotograficznych (fotografia abstrakcyjna, kraczyjna, akt i portret), za twórczość fotograficzną i animowanie fotografii w województwie wielkopolskim został uhonorowany Statuetką „Fotokreator” (2018), Honorowy Obywatel Miasta Koła – Nagroda za działalność artystyczną na polu fotografii.

Ewa Kowalska (Brwinów) – pedagog, społecznik; zaangażowana w działalność opozycji antykomunistycznej, m.in. zatrzymana za organizację wystąpień studenckich w marcu 1968 roku w Łodzi; wieloletnia nauczycielka w Szkole Podstawowej nr 2 w Brwinowie (wychowawczyni klasy, kierowniczka szkolnej grupy teatralnej, zaangażowana w działalność komisji społecznych, działających przy szkole), w latach 2002-2014 z pełnym poświęceniem prowadziła rodzinę zastępczą dla dzieci z dysfunkcjami umysłowymi w Podkowie Leśnej – Nagroda za pełną oddania służbę dzieciom.

Lucyna Kulińska (Kraków) – historyk, politolog, doktor nauk humanistycznych, wieloletnia adiunkt Wydziału Humanistycznego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, autorka książek, zbiorów dokumentów i artykułów związanych z polskim ruchem patriotycznym, kresowym i narodowym; prezes Społecznej Fundacji Pamięci Narodu Polskiego (2011-2013), zaangażowana w działalność Społecznego Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich oraz Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” – Nagroda za działalność naukową i utrwalanie pamięci o bolesnej historii Kresów Wschodnich.

Witold Wiesław Listowski (Kędzierzyn Koźle) – społecznik, prezes Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych

i Kombatantkich, członek Światowego Kongresu Kresowian – wiceprezydent Dyrektoriatu, prezes Stowarzyszenia Kresowian w Kędzierzynie-Koźlu, członek prezydium zarządu Związku Wypędzonych z Kresów Wschodnich RP, krzewiciel pamięci o ludobójstwie na Kresach Wschodnich, redaktor serii wydawniczej Ludobójstwo OUN-UPA na Kresach Południowo-Wschodnich w optyce historycznej i współczesnej – Nagroda za działalność społeczną i utrwalanie pamięci o bolesnej historii Kresów Wschodnich.

Joanna Paszkiewicz-Jägers (Groningen) – pisarka, dziennikarka i krytyk sztuki, społecznik; absolwentka Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1987 r. mieszka i tworzy w Holandii, od lat 90. współpracuje z polonijnym czasopiśmie „Biuletyn”, a także jest członkiem redakcji gazety dzielnicowej w Groningen, na łamach której realizuje model dziennikarstwa społecznie zaangażowanego; autorka cyklu reportaży „Z Holandii” na łamach czasopism „Bez Wierszówki” (2015-2020) i „Ostoja” (od 2021 r.); zaangażowana w różnorodne wydarzenia artystyczne, jako członek komisji wystawienniczych, czy autor projektów lub jako artysta samodzielny (prace o charakterze niefiguratywnym odzwierciedlające wpływy polskiego konceptualizmu) – Nagroda za twórczość publicystyczną.

Anna Seniuk (Warszawa) – aktorka teatralna i filmowa, znana ze wspaniałych kreacji Teatru Telewizji i Teatru Polskiego Radia; profesor sztuk teatralnych, wieloletnia pedagog warszawskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza; aktorka Teatru Starego w Krakowie (1964-1969), następnie teatrów warszawskich: Ateneum, Powszechnego, Polskiego i od 2003 – Teatru Narodowego; w swoim dorobku filmowym ma ponad 70 ról; wielokrotnie nagradzana za wybitne kreacje aktorskie – Nagroda za całokształt twórczości teatralnej i filmowej.

V. Nagroda Młodych za rok 2023

Oliver Palmer (Bayreuth) – śpiewak, urodzony w bardzo ciężkim stanie zdrowia, dotknięty podwójną niepełnosprawnością, niesłyszący, sam nauczył się czytać z ust, uwielbia muzykę klasyczną, w wieku siedemnastu lat sam zaczął śpiewać i czyni to z ogromną pasją – Nagroda za działalność na polu muzyki i wytrwałość w dążeniu do celu.

W imieniu Jury Nagrody

dr hab. Kazimierz Świągocki, przewodniczący

W imieniu Kapituły Nagrody

ks. dr Ireneusz St. Bruski, przewodniczący

Joanna Pogórska, sekretarz

Warszawa, 12 czerwca 2023



Nagroda im. Witolda Hulewicza Edycja XXVII i XXVIII

*„Po dziesięciu miesiącach heroicznego męczeństwa
został rozstrzelany w Palmirach
o świcie 12 czerwca 1941 roku.*

*Tak zginął tłumacz i przyjaciel Rilkego,
jednego z największych mistrzów mowy niemieckiej,
autor pięknej, pełnej uwielbienia książki o jednym
z największych kompozytorów niemieckich – Beethovenie”.*
Jan Parandowski

Mamy zaszczyt zaprosić Państwa
na uroczystość wręczenia dorocznych

Nagród imienia Witolda Hulewicza

Uroczysta Gala odbędzie się 25 listopada 2023 roku (sobota)
o godzinie 17.00
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89,
aula Domu Literatury

PATRONI HONOROWI



PATRONAT MEDIALNY



ORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE IM. WITOLDA HULEWICZA
00-722 Warszawa, ul. Podchorążych 41/7
tel. 531 507 527, e-mail: witoldhulewicz@wp.pl



FOT. © EWELINA JAŚKOWIAK

Młody Duch Tańca w Poznaniu

w obiektywie Eweliny Jaśkowiak



■ MŁODZI ARTYŚCI Z JAPONII I POLSKI

Emika Akatsuka, Zuzanna Boryczka, Mateusz Buszka, Matylda Butryn, Jakub Daćkus, Daria Domasiewicz, Oliwia Dudek, Livia Ernest, Matilda Ernest, Nika Fujiwara, Antonina Galas, Joanna Gola, Onè Hirano, Miray Istek, Shuno Lida, Blanka Kaiser, Hinata Kanemoto, Pola Klan, Hanako Kobayashi, Zuzanna Korytkowska, Pola Kostempska, Zuzanna Kowalska, Momo Kuriyama, Jagoda Łydka, Anastazja Messely, Emily Mizuno, Antonina Nowak, Emiko Onomichi, Lidia Pietrzak, Jan Piszczek, Maja Pomorska, Illia Ponomarenko, Piotr Promiński, Igor Przybyła, Karin Sakaguchi, Klaudia Sarna, Kajetan Stabeusz, Pola Stefańska, Karolina Stępień, Jagoda Świdarska, Ririko Tani, Evelina Volodchenko, Magdalena Wieczorek, Tymoteusz Winiarski i Stefan Zambrowski. ■





Młody Duch Tańca 2023

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

■ BOŻENA KOCIOŁKOWSKA



Już po raz szósty zawiązał do Polski Międzynarodowy projekt „Youth Spirit of Dance”. Idea, która narodziła się w 2017 roku dzięki pomysłodawcy i realizatorowi Wiesławowi Dudkowi, znakomitemu tancerzowi, który osiedlił się w Japonii.

Połączenie kultury polskiej i japońskiej w tym projekcie, daje dzisiaj znakomite artystyczne rezultaty artystyczne nie tylko w sferze wykonawczej, ale i kulturowej, a działalność Wiesława Dudka przyczynia się do rozwoju i doskonalenia polskiego i japońskiego szkolnictwa baletowego.

Rok 2023 został ustanowiony przez Senat RP Rokiem Mikołaja Kopernika, aby uczcić 550. rocznicę urodzin i 480. rocznicę śmierci. W tegorocznym koncercie wzięło udział 45. młodych artystów z Polski i Japonii. Polskę reprezentowali uczniowie trzech ogólnokształcących szkół baletowych z Warszawy, Bytomia i Poznania.

Każda z dotychczasowych edycji miała swoje przesłanie. Tegoroczny koncert składał się z dwóch części.

Pierwsza to świat tańca klasycznego, który wymaga dużego kunsztu wykonawczego. Pokazano fragmenty baletów klasycznych: *Paquita* z muzyką Ludwiga Minkusa, znakomicie zaprezentowaną przez międzynarodowy zespół oraz *Raymonda* z muzyką Aleksandra Głazunowa, obydwa utwory w choreografii Mariusa Petipa i opracowaniu Wiesława Dudka. Te dwa wielkie utwory przeplatane były różnymi wariacjami z tańca klasycznego, współczesnego i ludowego.

Drugą część stanowiło interdyscyplinarne widowisko. Utwór składał się z sześciu czę-

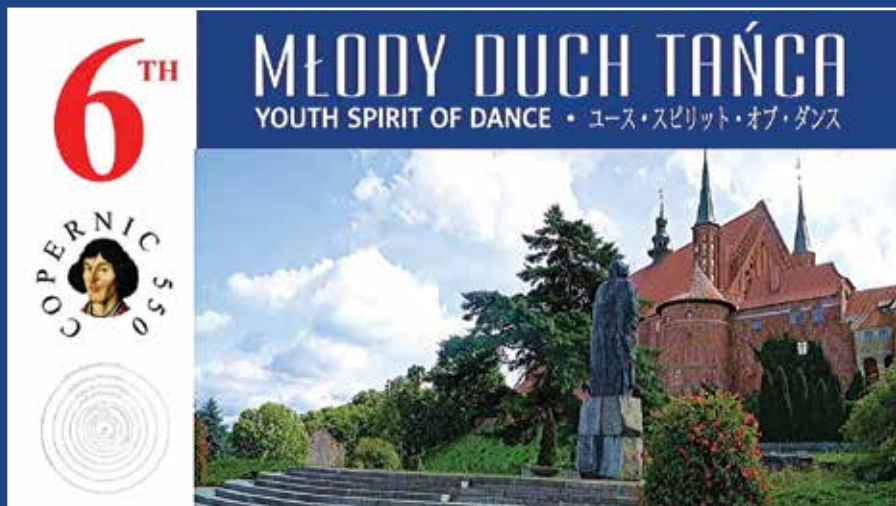
ści: *W podskokach i obrotach* (chor. M. Borowiec), *Cogito ergo sum* (chor. E. Sambor), *Planetarium Copernicus* (chor. P. Grządziel), *Solaris* (chor. B. Malarz), *Orion* (chor. zespołowa pod kier. A. Dziurosz i A. Karabeli) i *Droga mleczna* (chor. K. Kozielska). Muzyka *colage* w znakomitej scenografii. Do realizacji utworu zaproszono sześciu polskich choreografów; dla klarowności choreograficznej, może wystarczyłby jeden.

Od 2017 roku w sześciu edycjach wzięło udział około 250 uczestników – młodych tancerzy z Polski i Japonii. Zaprezentowano 45 spektakli, które oglądało około 15 tysięcy widzów oraz – jak szacują organizatorzy – ponad 200 tysięcy z 36. krajów widzów w mediach społecznościowych.

Projekt jest przepustką dla młodych tancerzy do międzynarodowej kariery tanecznej i zatrudnienia w najlepszych zespołach baletowych na świecie. Ta piękna inicjatywa edukacyjna jest wspierana przez wiele instytucji kultury w Polsce i Japonii. Pomysł do naśladowania. ■



FOT. © EWELENA JASKOWAK



Sztuka na koniec świata

Rozdroże – to Międzynarodowy Festiwal Sztuk Performatywnych, prezentujący wartościowe dzieła z pogranicza tańca współczesnego, teatru, sztuk wizualnych i muzyki. Nieznana w Polsce twórczość cenionych artystów z zagranicy, konfrontowana jest z nowymi pracami twórców działających w Warszawie.

To właśnie dzięki temu Festiwalowi mogliśmy w Polsce, w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie, w 1988 roku m.in. oglądać wybitne dzieło niemieckiej artystki przełomu XX i XXI wieku Piny Bausch pt. *Goździki*, tańczone przez Tanztheater z Wuppertalu. Twórczość choreograficzna tej wybitnej artystki znana jest na świecie jako wyjątkowe zjawisko w sztuce tańca.

Festiwal Rozdroże organizowany jest od 1994 roku przez kuratora Janusza Marka, który w 2022 roku został uhonorowany Nagrodą im. Witolda Hulewicza za działalność na polu kultury, w tym za ten autorski projekt.

Tegoroczna, już 27. edycja Festiwalu Rozdroże, przebiegła pod tytułem *Sztuka na koniec świata*. Festiwal odbywał się od 3 do 5 października w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski z partnerskim udziałem Teatru Akt. Była to prezentacja twórczości artystów na pograniczu sztuk performatywnych. Zaprezentowano twórczość cenionych na świecie prekursorów interdyscyplinarnych widowisk i instalacji: Shiro Takataniego i grupy Dumb Type z Kioto.

Takatami to jeden z najwybitniejszych japońskich twórców sztuki współczesnej. W swojej twórczości wykorzystuje technologie cyfrowe, w których działania performerów traktowane są na równi z projekcjami obrazów, dźwiękiem i aranżacją przestrzeni. Zawarty w nich przekaz duchowy dotyka



FOT. © MARTA ANKIERSTEIN

niepotocznego wymiaru życia, pewnego rodzaju artystycznej medytacji.

Teatr Akt, działający od 1989 roku, zaprezentował spektakl warszawskich artystów. To teatr, który tworzy swoje spektakle na pograniczu teatru ruchu, tańca i pantomimy. Tematem widowiska była kondycja człowieka w świecie wielowymiarowego kryzysu. Jak widać sztuka współczesna identyfikuje się z otaczającymi nas problemami współczesnego człowieka. Powraca również pytanie: Czy przeżywamy koniec znanego nam świata?...

Festiwalowi towarzyszył seans fotografii autorstwa Marty Ankersztejn ze spektakli kolejnych edycji Festiwalu Rozdroże. Artystka specjalizuje się w fotografowaniu tańca współczesnego. Jest autorką fotografii do ponad 300. spektakli tanecznych oraz laureatką wielu konkursów fotograficznych.

BOŻENA KOCIÓŁKOWSKA ■



Shiro Takatani FOT. SHIRO.DUMBTYP.COM



FOT. © MARTA ANKIERSTEIN

Fotografia daje mi wolność

Fotografie autorstwa Marty Ankiersztein towarzyszyły tegorocznemu 27. Międzynarodowemu Festiwalowi Sztuk Performatywnych Rozdroże w Warszawie. Zdjęcia zaprezentowane na wystawie pt. *Dostrzec inny wymiar...* stanowiły jej osobiste spojrzenie na spektakle prezentowane podczas dotychczasowych dziesięciu edycji Festiwalu. Dzięki nim autorka pragnie pomóc w dostrzeżeniu innego wymiaru sztuki i życia.

Marta Ankiersztein (rocznik '86) jest jedną z bardziej znanych polskich twórczyń zajmujących się uchwyceniem obiektywem aparatu fotograficznego ulotnej sztuki tańca. Znalazła się w gronie czternastu wyróżniających się fotografów tańca zaprezentowanych w albumie *Nienasycone spojrzenia* (2018). Jest absolwentką Wydziału Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwewicza oraz trzyletniego Studium fotografii w Związku Polskich Artystów Fotografików. Realizuje autorskie projekty fotograficzne i wystawy, których częstym tematem są „ciała wpisane w krajobraz miasta”. W 2012 roku, w ramach stypendium artystycznego m. st. Warszawy, zrealizowała projekt fotograficzny *Urbanflowers*.

Przybliżając go, opisuje: „Przemierzając ulice miasta rzadko doświadczamy momentów, które pozwalają nam wybić się z monotonnego rytmu codzienności. Będąc częścią bałaganu, jaki tworzą wiecznie zabiegani ludzie, nie dostrzegamy harmonii, ładu, barw, które nas otaczają. W wielkim mieście zagubić się nie jest rzeczą trudną. Jako bohaterów mojej opowieści wybrałam warszawskich tancerzy, którzy mieli za zadanie odnaleźć się w zaproponowanych przeze mnie przestrzeniach”.

– Głównie za sprawą improwizacji szukaliśmy harmonii ciała i przestrzeni – dodaje fotografka. – Tancerze, których identyfikujemy z ruchem i dynamiką, na zdjęciach pozostają jedynie jednym z elementów obrazu. Swym bezruchem zdają się opanowywać chaos. *Flow* to stan uskrzydlenia, swobodnego przepływu dobrej energii. Warto czasem się zatrzymać, aby ją poczuć.

Efekt projektu mogliśmy wówczas obejrzeć podczas kilku wystaw m.in. w ramach Festiwalu Teatrów Tańca Zawirowania w Teatrze Studio w Warszawie, Polskiej Platformy Tańca w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu czy Akademii Filmu Dokumentalnego „Doc.Art” we Wrocławiu.

Marta Ankiersztein ma w swoim dorobku sześć indywidualnych wystaw; oprócz *Urbanflowers* są to: *Flozen* (2014), *Urbanrhythm* (2015), *Poruszenia* (2016), *Centrum w pro-*



FOT. © MARTA ANKIERSTEIN

cesie (2016) i *No place for...* (2019). Jest autorką zdjęć z około czterystu spektakli tanecznych. Jak sama podkreśla, fotografowanie tańca jest dla niej za każdym razem niesamowicie emocjonujące: „Trudno opisać to wyzwalające uczucie. Działam intuicyjnie, poddając się jedynie rytmowi ciała tancerza. Nie trzymam się żadnych zasad. *Dance first. Think later. That's the natural order*”.

Oprócz tańca, M. Ankiersztein dokumentuje również inne wydarzenia kulturalne czy spektakle teatralne.

– W teatrze szukam opowieści. Staram się by każdy kadr był osobną historią wypełnioną znaczeniami. Moment naciśnięcia migawki nie jest bowiem jedynie pobraniem obrazu, ale próbą uchwycenia nieodwracalnego czasu – dodaje.

Marta Ankiersztein jest finalistką Konkursu Fotografii Teatralnej, organizowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego (2016, 2019), interdyscyplinarnego konkursu *1 page – 1 view – 180 seconds* Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu (2017, 2019), a także dwukrotną laureatką konkursu Lubelskiego Teatru Tańca pt. *Taniec – energia ciała i wyobraźni* (2008, 2011).

Na co dzień współpracuje m.in. z Narodowym Instytutem Muzyki i Tańca, Instytutem Teatralnym im. Zbigniewa Raszewskiego, Teatrem Polskim, Opera Wrocławską. Spotkać ją można na najważniejszych festiwalach tańca w Polsce, jak Ciało/Umysł, Polska Platforma Tańca, Kalejdoskop czy Rozdroże, któremu towarzyszy ze swoim Nikonem od 2013 roku. Jak często podkreśla „fotografia daje mi wolność”.

ANDRZEJ SZTUMSKI ■

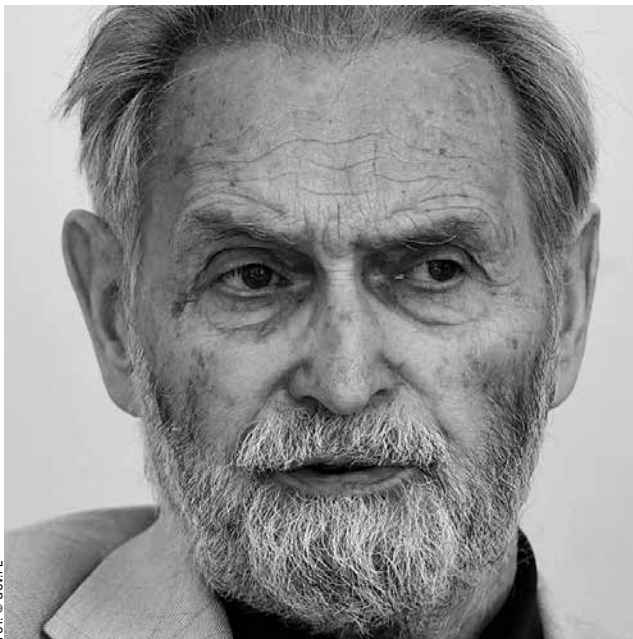
Człowiek wielu talentów, zasług i idei

Bohdan J. Urbankowski (1943-2023)

Wwieku 80. lat odszedł Bohdan Jerzy Urbankowski, jeden z najwybitniejszych i najwszechstronniejszych polskich pisarzy, poeta, dramaturg i prozaik, historyk i filozof, mistrz słowa, wielki patriota, pilsudczyk, działacz opozycji niepodległościowej, laureat licznych nagród, m.in. Nagrody im. Witolda Hulewicza, stały współautor naszego czasopisma. Postanowieniem Prezydenta RP pośmiertnie uhonorowano Go Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Zadebiutował jako poeta w roku 1968 zbiorem wierszy *Apokryfy*. Wydany w 1973 roku tomik *W cieniu* został uznany za najlepszy tom poetycki roku podczas Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi. Poeta był już wtedy po studiach filologicznych na Uniwersytecie Warszawskim. Uprawiał nie tylko poezję, lecz także dramaturgię, czego przykładem sztuki *Teatr Kaliguli*, *W białych ogrodach Tuilleries* czy *Jest pan wolny, Herr Graf*. Na przełomie lat 60. i 70. wieku XX stał się programotwórcą Konfederacji Nowego Romantyzmu. Z czasem podjął studia filozoficzne na UW. W 1978 roku wydał głośną książkę *Dostojewski – dramat humanizmów*, zaś rok później tom szkiców z zakresu literatury i filozofii *Myśl romantyczna*. O jego pracowitości w tamtych latach świadczą scenariusze filmowe i dramaty o takich postaciach z naszej historii, jak Maurycy Mochnacki, Stefan Grot-Rowecki czy Henryk Dobrzański-Hubał. Pracował w Telewizji Polskiej i Polskim Radiu. Publikował w „Człowieku i Światopoglądzie”, „Sztandarze Młodych” oraz w „Studiach Filozoficznych”.

W latach 80. był kierownikiem literackim Teatru im. Szaniawskiego w Płocku, a ponadto zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Poezja”, po usunięciu zaś z zespołu redakcyjnego nawiązał współpracę z „Wiarą i Odpowiedzialnością”. W tej samej dekadzie ogłosił kolejny tom szkiców literackich i filozoficznych *Absurd – ironia – czyn*, a także książkę o socjalistach: Bolesławie Limanowskim, Edwardzie Abramowskim, Ludwiku Krzywickim i Stanisławie Worcellu zatytułowaną *Kie-*



FOT. © GÖP/PL

runki poszukiwań. Napisał monodram oparty na wspomnieniach Aleksandry Piłsudskiej, dramat *Pilsudczycy*, a na łamach podziemnego „Przedświtu” opublikował cykl tekstów składających się na przyszłą biografię Marszałka Piłsudskiego.

Do poezji wrócił w latach 90. Wtedy ukazały się zbiorki *Erotyk dla następcy* i *Galeria rzeźb pośmiertnych*. Z wielkim rozgłosem spotkała się jego książka *Czerwona msza, albo uśmiech Stalina* (1995), która kilka lat później rozrosła się do dwu tomów. Wielkim wydarzeniem edytorskim była również dwutomowa edycja *Józef Piłsudski – marzyciel i strateg* z 1997 roku. Dwa lata później Urbankowski zaproponował swoim czytelnikom dzieło *Adam Mickiewicz. Tajemnice wiary, miłości i śmierci*. Aby zdać sobie sprawę z rozmachu jego dokonań twórczych trzeba wspomnieć, że w tej samej dekadzie światło dzienne ujrzały sztuki *Ostatni sejm wolnej polski* oraz *Rok 1920*, a nadto dramaty o królu Bolesławie Śmiałym i *Płonące cyfry 1863*. W tym czasie nie zanieczyścił pracy redakcyjnej w zespole „Polonistyki”, udzielał się politycznie jako doradca Ministerstwa Obrony Narodowej w rządzie Jana Olszewskiego i społecznie jako prezes oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich.

konań pisarskich i naukowych.

W jego bibliografii znajdziemy także szereg antologii i wyborów wierszy, które opracował, takich jak dwutomowa antologia zredagowana razem z Bohdanem Drozdowskim *Od Staffa do Wojaczka. Poezja polska 1939-1985* z 1988 roku czy *Przeszłość przyszłości. Antologia Konfederacji Nowego Romantyzmu* (1993). Do tego należy dodać antologię współczesnego dramatu polskiego *Stwarzanie światów* (1995). Trzeba wspomnieć również o przygotowanych przez niego wyborach liryki takich autorów, jak: ks. Jan Twardowski, Zbigniew Chałko, Kazimierz Świągocki czy Tadeusz Płuzański.

Więcej o Bohdanie Urbankowskim pisaliśmy na łamach „Ostoi” z racji przyznania Mu Nagrody Kustosza Pamięci Narodowej, 2 czerwca 2022 roku (zob. nr 1-2/2023, s. 58).

W mediach społecznościowych wicepremier prof. Piotr Gliński pożegnał Bohdana Urbankowskiego słowami: „Człowiek wielu talentów, zasług i idei. Zainspirował kiedyś MKiDN do reaktywowania przedwojennej Akademii Literatury, co ostatecznie przybrało kształt prężnie działającego od kilku lat krakowskiego Instytutu Literatury. Niech spoczywa w pokoju”.

ISB, BN ■

23 czerwca pożegnaliśmy śp. Bohdana Jerzego Urbankowskiego. Uroczystości pogrzebowe z udziałem Wojskowej Asysty Honorowej i licznych pocztów sztandarowych rozpoczęły się Eucharystią sprawowaną w kościele pw. św. Ignacego Loyoli w Warszawie, gdzie Zmarłego żegnała najbliższa rodzina, przyjaciele, przedstawiciele administracji rządowej, ludzie kultury i sztuki, działacze opozycji antykomunistycznej oraz czytelnicy i wielbicieli Jego twórczości.

Po Liturgii uczestnicy uroczystości pogrzebowych, współorganizowanych przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, udali się na Cmentarz Północny, by tam towarzyszyć nieodżałowanemu Mistrzowi pióra w Jego ostatniej drodze. Cześć Jego Pamięci!

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Bohdana Urbankowskiego. Smutek to tym większy, że zaledwie przed miesiącem składałem Mu gratulacje i życzenia z okazji 80. rocznicy urodzin. Tym trudniej też pogodzić się teraz z Jego odejściem. Łączę się w żalobie i modlitwie ze wszystkimi zgromadzonymi na uroczystościach pogrzebowych. Żegnam mistrza słowa, jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych, przenikliwego myśliciela i historyka. Oddaję hołd wspianemu i prawemu człowiekowi, żarliwemu patriocie, dziedzicowi ideałów romantyzmu.

Bohdan Urbankowski całe życie poświęcił służbie fundamentalnym wartościom, które formują człowieka i naród. Mężnie i wiernie kierował się wezwaniem Norwida:

*Nie trzeba kłaniać się okolicznościom,
A prawdom kazać, by za drzwiami stały.*

Tak, jak Jego rodzice – żołnierze Armii Krajowej, uczestnicy Powstania Warszawskiego – bronił wolności, suwerenności narodowej, ludzkiej godności i podmiotowości. Swoim orężem uczynił słowo, któremu potrafił nadać potężną moc, celność i piękno. Zapisał się w annałach kultury



polskiej jako znakomity poeta, prozaik, dramaturg, filozof i badacz dziejów. W czasach PRL – przygnębiających czasach zniewolenia i kłamstwa – był nieugiętym działaczem opozycji niepodległościowej, organizował i redagował wydawnictwa podziemne. Za to wszystko doznawał dotkliwych szykan reżimu, komuniści bowiem dobrze rozumieli, że w zmaganiach o polską duszę i tożsamość postaci tej miary, wytrwale walczące o prawdę i trafiające wprost do ludzkich sumień, są wyjątkowo groźnymi przeciwnikami. Dziś, odprowadzając Go w ostatnią drogę, dziękujemy za wszystkie Jego dokonania, które przyczyniły się do odrodzenia naszej wolnej Ojczyzny.

Zapamiętamy Bohdana Urbankowskiego jako konsekwentnego głosiciela idei mającej wymiar ponadczasowy – twórcę i teoretyka Nowego Romantyzmu. Ta myśl, głęboko osadzona w naszej historii i dziedzictwie kulturowym, wybiega jednocześnie w przyszłość, wskazując, jak ogromną siłę sprawczą ma potęga ducha. My, Polacy, doświadczając nawet najboleśniejszych losów, umieliśmy znaleźć oparcie i ocalenie w kulturze narodowej, z której czerpaliliśmy dumę, nadzieję i inspirację. Również dzisiaj, w suwerennej Rzeczypospolitej, musimy zawsze dbać o tę bezcenną skarbnicę. Musimy pamiętać, kto ją z poświęceniem pomnażał, a kto z wyrachowaniem

niszczył. Jesteśmy wdzięczni Bohdanowi Urbankowskiemu za Jego dzieła, przywołujące najszczytniejsze tradycje polskiej myśli i czynu niepodległościowego, ale również za poruszającą *Czerwoną mszę, czyli uśmiech Stalina*, obrazującą zaangażowanie części luminarzy naszej kultury w sowietyzację kraju.

W imieniu Rzeczypospolitej pochylam głowę nie tylko przed pisarskim, lecz także obywatelskim i społecznym dorobkiem Bohdana Urbankowskiego, jako działacza Solidarności, Związku Literatów Polskich, Związku Piłsudczyków. Pamiętamy o Jego osiągnięciach w roli doradcy ds. kultury i wychowania w Ministerstwie Obrony Narodowej w rządzie premiera Jana Olszewskiego. Pasja i wrażliwość, z którymi uczestniczył w debacie publicznej poświęconej najważniejszym polskim sprawom, niech będą przykładem dla nas, współczesnych, i dla następnych pokoleń.

Bohdan Urbankowski dobrze zasłużył się Ojczyźnie. Dla uhonorowania Jego wybitnych dokonań postanowiłem nadać Mu pośmiertnie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Bliskim Zmarłego składam wyrazy współczucia.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie!

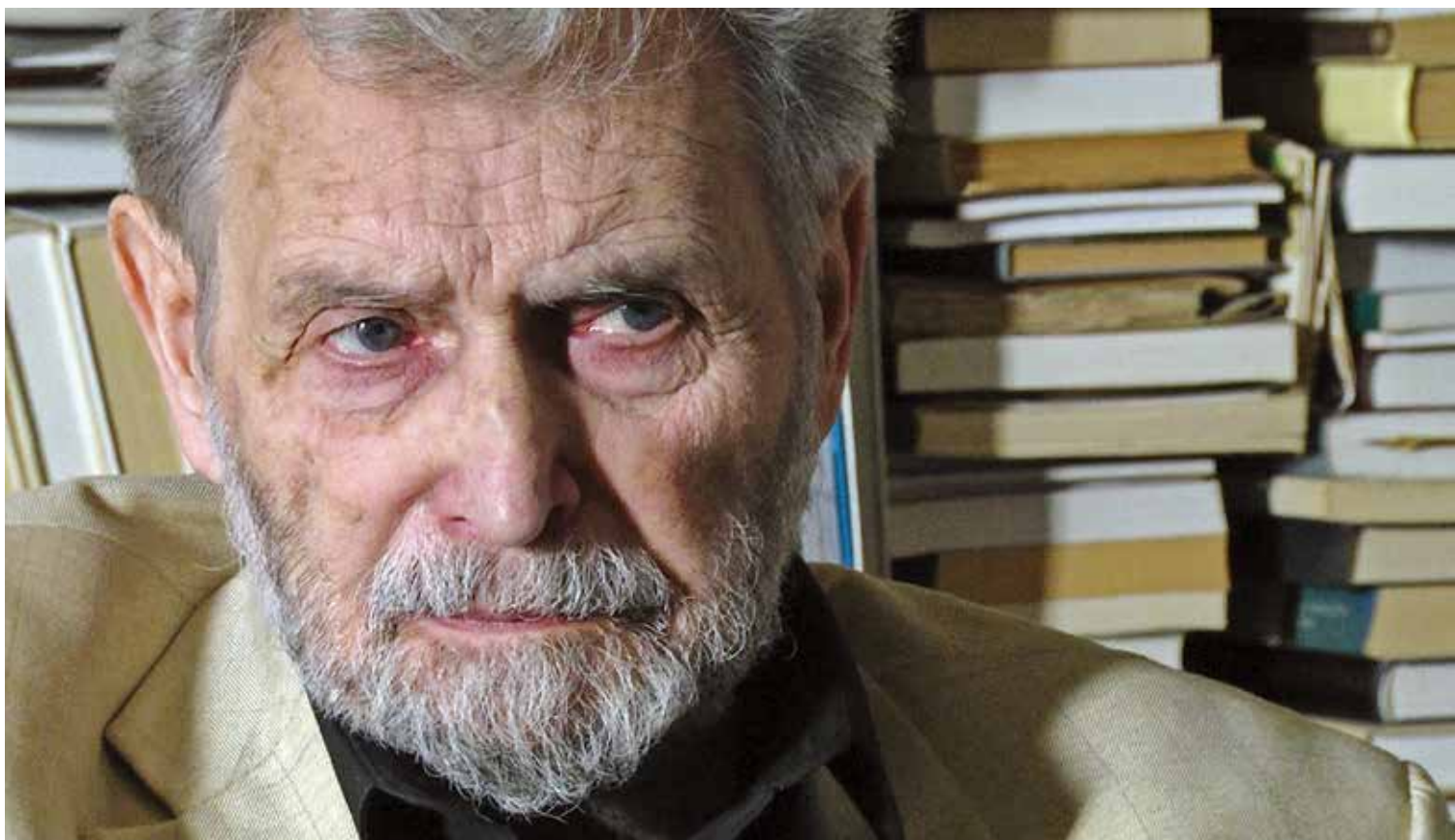
ANDRZEJ DUDA ■

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej



Bohdan Urbankowski

we wspomnieniach Marka Mokrowieckiego



FOT. © SONIA KWAŚNY

Poznaliśmy się w 1990 roku, kiedy obejmowałem plocki Teatr. Telefonowałem z Nowego Jorku z pytaniem – czy zamierzam z nim współpracować?

Doktor Bohdan Urbankowski – patriota, filozof, poeta, pisarz, dramaturg. Był kierownikiem literackim plockiego Teatru w latach 1982-2011. Ogłosił, wspólnie z dyrektorem Andrzejem Marią Marczewskim, *Manifest – Plock Stolicą polskiego Romantyzmu*, w którym formułuje program artystyczny teatru:

„Propozycją naszą jest stworzenie Teatru Romantycznego, mniejsza o to, czy związanego z jakąś jedną placówką (np. w Wałbrzychu), czy też kontynuującego tradycję wędrownych trup. Kultura tworzy system naczyń połączonych na tyle, że mniej jest ważne, w którym miejscu wprowadzone doń zostaną pewne ideały, wartości i wzorce – ważne jednak, by one zaistniały. Dramat ma tutaj szczególnie doniosłą rolę: może być formą sakralizującą wszystko, co się wewnątrz niej pojawi (mówimy o szczególnym typie – dramacie romantycznym), może nie sakralizować nawet... samej religii, ba! tworzyć nawet paradoksalne «sacrum

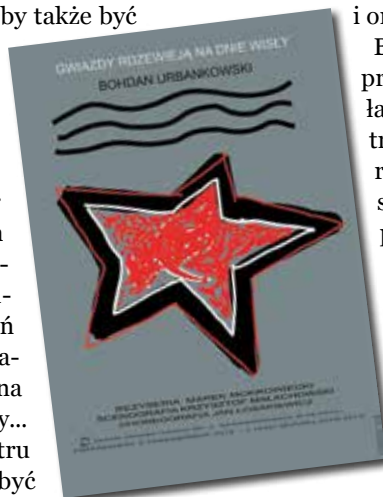
laickie» i co ważne – jest neutralną płaszczyzną spotkań, bardziej tolerancyjną niż religia. Jest także bardziej obiektywną formą przekazywania i przechowywania wartości najcenniejszych dla każdego narodu – bez względu na to, z jakiej sfery i z jakiej epoki pochodzą...

Głównym adresatem Teatru Romantycznego winno być młode pokolenie Polaków, gdyż ono tylko może wybudować Polskę przyszłą – inną i lepszą od obecnej. Teatr Romantyczny byłby więc teatrem pokoleniowym. Musiałby także być teatrem angażującym – uzupełniającym swoje prezentacje dyskusjami, spotkaniami autorskimi, wystawami itp. W przyszłości taki teatr mógłby się stać na swoim terenie placówką organizującą całe życie kulturalne od przedstawień po malarstwo (scenografia) i dyskusje klubowe na wszystkie możliwe tematy...

Jednym z zadań Teatru Romantycznego musi być

inspirowanie twórczości o wysokich wartościach etycznych i estetycznych, kształtującej moralną i polityczną wrażliwość narodu [...]. Uzupełnieniem Teatru Romantycznego winna być Scena Myśli Politycznej, prezentująca – w atrakcyjnej formie – przemyślenia i problemy od twórczości Mochnackiego poczynawszy – do polskich i światowych politologów współczesnych. Do każdego z przedstawień, nie tylko na Scenie Myśli Politycznej, dołączone byłyby w formie broszur teksty i omówienia”.

Bohdan Urbankowski przez 30 lat swojej działalności w plockim Teatrze miał wpływ na jego repertuar. Na plockiej scenie ukazały się trzy prapremiery jego dramatów. W roku 1984 *Chłopiec, który odchodzi* w reż. Jerzego Stępniaaka, w 1988 – *Żelazne kwiaty* w reż. Grzegorza Sobocińskiego i w 2018 – *Gwiazdy rdzewieją*



na *dnie Wisły* w reż. Marka Mokrowieckiego. W dwóch ostatnich ukazał postać Marszałka Józefa Piłsudskiego, a trzeba pamiętać, że *Żelazne kwiaty* miały prapremierę w czasach PRL-u.

Kiedy na początku lat 90. druh Waław Milke rzucił pomysł zorganizowania Dni Historii Płocka, napisał *Masława* (dramat o wprowadzeniu chrześcijaństwa na Mazowsze) – pierwsze z kilkunastu widowisk historycznych ukazujących ważne wydarzenia z dziejów miasta i regionu. Oparte na materiałach archiwalnych przywracały pamięci często zapomniane fakty i postacie: *Ostatni Sejm wolnej Polski* – niewiele osób pamięta, że w Płocku obradował Sejm w czasie Powstania Listopadowego, *Płonące cyfry 63* – poświęcone były dziejom Powstania Styczniowego, *Rok 20* – obronie Płocka w wojnie polsko-bolszewickiej, *Po tamtej stronie Wisły* – w 80. rocznicę przyłączenia Radziwia do Płocka.

Widowiska Bohdana graliśmy w różnych miejscach: przed Katedrą, na Tumach, przed pomnikiem Broniewskiego, przy sądzie; a oglądała je wielotysięczna publiczność. To dzięki Jego pracy ludzie mogli odnajdować swoją tożsamość, czerpać dumę z bycia obywatelami regionu, w którym tak wielu poświęcało swoje życie dla Ojczyzny. Wielka, a nienachalna lekcja patriotyzmu.

Konsultowałem z Nim wszystkie nasze teatralne przedsięwzięcia. Uwielbiałem jego dysonans do dziejących się wyda-

rzeń i lapidarne komentarze. Uwielbiałem nasze telefoniczne rozmowy, kiedy podnosił słuchawkę, słyszałem zawsze „Witaj kochany”...

Strzępy wspomnień. To Bohdan wymyślił, żeby *Dziady* grać w płockiej Katedrze. A kiedy zorganizowaliśmy pierwszy happening pod pomnikiem Broniewskiego, a wiersze poety mówiliśmy „sobie a muzom”, bo nie było żadnych widzów, Bohdan na dwudziestostopniowym mrozie wygłosił esej o życiu i poezji poety.

Z racji swoich „obowiązków służbowych” Bohdan pisał artykuły do naszych towarzyszących każdej premierze programów. To nie były artykuły, ale małe arcydzieła, miniaturowe eseje.

Zawierające nie tylko ideę inscenizacji, ale Jego osobisty, osobny komentarz dotyczący sztuki, autora i percepcji dzieła w czasach nam współczesnych. No i jako że wielką Jego miłością był Marszałek Józef Piłsudski, jego postać, wspomnienie o nim przemycił, gdzie się tylko dało. Pierwszy bodajże raz przy programie do *Jeremiasza* Wojtyły, potem w *Dziadach*. Wiele razy czytam program, a tu parę zdań o Marszałku. Dzwonię, „Bohdan, na litość, co z tym ma wspólnego Marszałek?”. „No wiesz

kochany, Marszałka nigdy dość”. Stało się to rodzajem zabawy ciągnącej latami.

Wielu wspólnych pomysłów nie udało się zrealizować. Żałuję, że nie posłuchałem Bohdana, który pragnął obejrzeć na scenie swój tom poetycko-prozatorski *Głosy* poświęcony pamięci więźniów

obozów koncentracyjnych. Zrealizował je Henryk Józwiak w prowadzonym przez siebie Teatrze Remedium. Przedstawienie na warszawskim Festiwalu Juwenalia III Wieku zyskało Grand Prix.

Moje wspomnienie dotyczy głównie działalności Bohdana w płockim Teatrze, a przecież był on wielokrotnie nagradzonym w kraju i za granicą

poetą, publicystą (wystarczy wspomnieć *Czerwoną mszę*), dziennikarzem, *modus vivendi* wielu konkursów poetyckich ze szczególnymi zasługami dla Płocka.

Był człowiekiem o jasno określonych poglądach politycznych, działał czynnie w opozycji w czasach PRL-u. No i był doktorem filozofii. Jego ostatnim dziełem, które mi z dumą pokazał była *Historia filozofii polskiej*. Dwa tomy przedstawiające znanych tylko garstce fachowców filozofów polskich. Niesamowita praca. Pokazał mi ją podczas naszego ostatniego spotkania, latem ubiegłego roku, w swoim mieszkaniu na warszawskim Ursynowie. Gościłem u Niego wielokrotnie. Zawsze wychodził po gościa do windy. Wchodziło się do Niego wąskim przedpokojem. Wąskim – bo po obu stronach stały regały od podłogi do sufitu wypełnione książkami. Gościnne panie – Lidka, żona i córka Hania wprowadzały gościa do gabinetu gospodarza. Na jednej ścianie obrazy, pozostałe wypełniały regały z książkami. Książki były wszędzie, na stole, na biurku. Ba, żeby dostać się na fotel, trzeba było podążyć labiryntem, który wyznaczały leżące na podłodze książki.

Takim Cię widzę. W świecie mądrości i poezji. Wiernego swoim ideałom, niedbającego szczególnie o tzw. dobra doczesne, ale nie oderwanego od rzeczywistości tylko tkwiącego w niej i kształtującego ją poprzez swoją działalność. I ten wyrazisty osąd dziejów i ludzi. I jeszcze specyficzne poczucie humoru. I Twój głos: „Witaj kochany”.

MAREK MOKROWIECKI ■

Dyrektor Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku



Bohdan Urbankowski i Marek Mokrowiecki podczas sesji naukowej *Patriotyzm jako dzieło sztuki. Kultura a niepodległość w twórczości Bohdana Urbankowskiego*, Płock 2018

FOT. © MACIEJ WRÓBEL / TNP

Peter Raina okiem berlińskiej Rezydentury MSW



Peter Raina przed siedzibą Ambasady RP
w Berlinie FOT. © KARINA GARSZTECKA

Przywódcą duchowym środowiska antypolskiego – jak określała Petera Rainę Rezydentura Departamentu I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Berlinie – był szczególnie pilnie obserwowany przez władze PRL, które uznały go wręcz za „najbardziej rozpoznawalne i udokumentowane ogniwo środowiska antypolskiego” w Berlinie Zachodnim.

Zatrudniono wielu współpracowników i informatorów, by na bieżąco obserwować działalność Petera Rainy. Wśród nich znaleźli się tacy, którzy udawali opozycjonistów, dobrych znajomych czy wręcz „oddanych przyjaciół” historyka. Służbom udało się pozyskać do swoich celów nawet jego żonę, Barbarę Wereszczyńską-Raina, która wyraziła „zgodę na współpracę z polskim wywiadem zagranicznym”. Dlaczego tak postąpiła? Co kierowało ludźmi decydującymi się na kontakt ze służbami, na donoszenie na bliską im osobę?

Dr Peter Raina dowiedział się o tym wiele lat później, kiedy udostępniono mu akta w Instytucie Pamięci Narodowej. Owoce tego było wydanie w 2007 roku, w 25. rocznicę śmierci żony, książki pt. *Bliski agent*. Natomiast najnowsza książka Rainy *Teczki Rezydentury zagranicznej MSW w Berlinie* z podtytułem: *Sprzedać*



FOT. © DENKMALETTENBANK BERLIN/DE

LDA 1993

duszę diabłu (Częstochowa 2022, ss. 384), powstała m.in. z tego powodu, iż znajdują się w nich notatki dotyczące jego działalności w Berlinie.

Jeszcze do niedawna te najistotniejsze w dziejach wywiadu PRL akta, które należały do przedstawicielstw zagranicznych, były niedostępne. Obecnie, gdy po 2017 roku dokumenty te opuściły tzw. zbiór

zastrzeżony, zostają udostępnione badaczom tego ponurego okresu w dziejach. W Archiwum IPN można zapoznać się z dokumentacją ogniwi wywiadowczych, m.in. berlińskiej placówki, usytuowanej w willi przy Lassenstrasse 19-21 – dawnej Misji Wojskowej PRL (od 1968 do 1990 r.), obecnej Ambasadzie RP – mieściła się siedziba Rezydentury.

Autorowi udało się przeanalizować notatki sporządzone przez pracowników Rezydentury. Na kartach nowej publikacji przedstawia, jak manipulowano faktami, dezinformując Centralę; wykazuje, jak agenci MSW zdobywali informacje; prezentuje autentyczne raporty z tej działalności, dając żywe świadectwo historii.



Historii, która przedziwnie ma swój ciąg dalszy... wszak – jak stwierdza dr Raina – „notatki te zostały perfidnie wykorzystane przez pseudonaukowców Instytutu Pamięci Narodowej” (s. 9).

Wszystkie informacje zebrane w teczках Rezydentury MSW w Berlinie to ponad 100 tomów. W ramach książki, która ukazała się w ubiegłym roku nakładem częstochowskiego Wydawnictwa 3DOM we współpracy z poznańskim Wydawnictwem WERS, znajdujemy jedynie niewielką część tego materiału, ze szczególnym wyakcentowaniem materiału dotyczącego Rainy.

Publikacja została podzielona na dwie części. W pierwszej pt. *Rozliczenie z Rezydenturą MSW w Berlinie* – będącej autobiograficznym opisem Petera Rainy – zawiera polemikę autora z notatkami sporządzonymi przez pracowników tej berlińskiej placówki.

Przedstawia w niej jak Rezydentura potrafiła manipulować faktami. Wykazuje również, jak tajni agenci MSW zdobywali informacje, udając jego znajomych. „O ich podłości dowiedziałem się wiele lat później, kiedy udostępniono mi akta w IPN-ie” – podkreśla dr Raina.

W rozdziale tym autor zwraca również uwagę na nadużycia w kwestii bezrefleksyjnego powoływania się na te teczki przez pracowników IPN-u, których określa mianem współczesnych „rzeczników” Rezydentury (s. 77-97).

Sprawa ta dotyczy publikacji pt. *Instrukcje i przepisy Wywiadu Cywilnego PRL z lat 1953-1990* autorstwa Witolda Bagińskiego i Anny Karoliny-Piekarskiej oraz wypowiedzi Rafała Łatki, które ukazały się w kontekście wydania przez dr. Rainę książki *Polowanie na Kardynała. Sprawa Henryka Gulbinowicza* (Wydawnictwo Myśl Polska, Warszawa 2021) – które

wprost insynuowały współpracę autora z SB.

W drugiej części książki – *Teczki Rezydentury Berlińskiej* – dr Raina publikuje te fragmenty zawartości teczek, które dotyczą jego osoby, m.in. obszernie fragmenty sprawozdań z pracy berlińskiej Rezydentury z lat 1977-1979, 1980-1982, 1982-1984. Teczki Rezydentury mają specjalne znaczenie. Dają bowiem obraz tego, jak działała i jakie miała cele wywiadowcze, wszak z terenu Berlina Zachodniego prowadzona była działalność operacyjna w zakresie: (I) wywiadu politycznego, (II) służb specjalnych, (III) wywiadu ekonomicznego, (IV) dywersji ideologiczno-politycznej oraz (V) organizowania na terenie Berlina Zachodniego i NRD łączności z agenturą z RFN i innych krajów dla Centrali (zob. s. 185-194).



Całość dopełnia *Epilog*, w którym autor pisze o swoich relacjach ze Zbigniewem Herbertem oraz помещa fragment korespondencji Jerzego Giegroyca z Wikto-

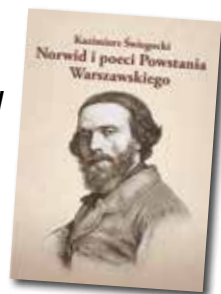
rem Tomirem Drymmerem (16 stycznia 1967) i Anną M. Cieniałą (12 lutego 1968). Do książki załączono również fotografie dokumentów, m.in. listów od Leszka Kołakowskiego (z lat 1970-1982), czy Zbigniewa Herberta. Publikuje również skan listy książek wydanych przez niezależne oficyny KOS i od 1981 roku ABC, których druk był możliwy między innymi dzięki pomocy dr Rainy, w postaci przesyłanych powielaczy i innych materiałów potrzebnych do druku.

Książka Petera Raina pt. *Teczki Rezydentury zagranicznej MSW w Berlinie* – cenionego autora wielu prac w dziedzinie najnowszej historii Polski, Niemiec i Wielkiej Brytanii – stanowi nie tylko konfrontację autora z materiałem wytworzonym przez służby specjalne, ale również wprowadza czytelnika w arkana pracy tej PRL-owskiej placówki wywiadowczej.

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■



Najnowsza książka dr. hab. Kazimierza Świągockiego pt. *Norwid i poeci Powstania Warszawskiego*, przygotowywana przez Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, ukaże się w bieżącym roku jako owoc zadania, realizowanego w ramach ministerialnego projektu: *Literatura 2023*.



Któż mógłby być bardziej wnikliwym heremeneutą twórczości Norwida, odkrywającą jej wielkich tajemnic, niż poeta będący jednocześnie filozofem i historykiem literatury, a właśnie taką wyjątkową trójjednię osobowości badawczej stanowi Kazimierz Świągocki. Można mówić o nowatorstwie jego książki – wszechstronnej i wnikliwej, obudowanej kontekstem filozoficznym. Wprowadzenie jej na trajektorię obiegu kulturowego niewątpliwie wzbogaci naszą norwidologię oraz wiedzę o poetach Powstania Warszawskiego, spadkobiercach wielu idei i artystycznych koncepcji tego twórcy. Książka napisana jasnym i pięknym stylem o problemach trudnych, lecz istotnych dla zrozumienia naszej literatury i kultury.

ZBIGNIEW LISOWSKI ■

Brakowało w bogatej norwidologii takiej właśnie pracy. Autor książki każdym klarownym zdaniem (zwracającym uwagę zarówno urodą myśli, jak i urodą słowa, gdy wokół pseudouczony bełkot), intelektualną rozważą, nienaganną erudycją prowadzi poprzez naznaczone głębią interpretacje do wyważonych i logicznie bezbłędnych wniosków.

Kazimierz Świągocki potwierdził pewne ważne intuicje, które wcześniej nie doczekały się w norwidologii głębszego i obszerniejszego potraktowania. Dotyczy to głównie rozdziału pierwszego, w którym autor dokonał analizy statusu prawdy i postawy poznawczej w literackich wypowiedziach Norwida. Ale nie ulega wątpliwości, że równie bogate myślowo i wartościowe poznawczo są pozostałe jej rozdziały – zarówno dotyczące Norwida, jak i poetów Powstania Warszawskiego „prześwietlonych Norwidem”.

Autor wskazuje – całkowicie przekonująco – na uniwersalizm w myśleniu o Polsce, Europie, historii, kulturze tych poetów-żołnierzy, których postrzega się często jednostronnie jako zdominowanych nacjonalizmem. Książka stanowi potwierdzenie przydatności i konieczności stosowania w badaniach literatury metodologii ukształtowanej w obrębie historii filozofii.

WIESŁAW PUSZ ■

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Artyści kina

Moim zdaniem, jedynymi prawdziwymi artystami, jakich film jeszcze zatrudnia są krawcy i szewcy. Kostiumów przybywa w takim tempie, że wkrótce trzeba będzie wynająć na magazyny pół Warszawy, żeby pomieścić wszystkie. Stroje filmowe bywają piękne, zwłaszcza te z dawnych epok, co powinno nas cieszyć, bo to jedyne piękno, jakie film ma nam do zaoferowania. Reszta ekip filmowych to uzurpatorzy do tytułu „artyści” sponsorowanego. Im sponsor bardziej wpływowy, tym „artysta” bardziej „artystyczny”.

Reżyserzy w Polsce wyspecjalizowali się w poprawianiu takich tam byle Szekspirów, Wyspiańskich czy Mrożków. Scenarzyści nadają filmom „artyzm”, nasycając je wulgaryzmami do granic śmieszności. Ale tu ścierają się sprzeczne interesy – twórców dialogów, z twórcami kostiumów. Za czasów Belle époque nie używano na co dzień rynsztokowego języka, no może z wyjątkiem dorożkarzy. Trudno jednak całą fabułę umieścić w dorożkarskim środowisku. I tu twórcy najnowszego serialu wpadli na genialny

pomysł. Fabułę umieścili w burdelu! Dogodzili tym samym zapewne wszystkim lobbystom, razem wziętym.

A jest tych lobbystów zapewne nie mało. Mosad dba o to, żeby w „naszych” filmach historycznych zastępować polskich bohaterów – żydowskimi. Rosjanie żadnej prawdy historycznej nie przewidują w filmach, nad którymi rozciągają dyskretną pieczę. Niemcy dbają o zastępowanie Niemców – „nazistami” niewiadomego albo wręcz polskiego pochodzenia i nie dopuszczają prawdy o II wojnie światowej.

Hojni sponsorzy idą też z duchem czasu i dofinansowują na przykład film Agnieszki Holland w nadziei, że zdemaskuje „pisowski reżym”. Ukaże całe „polskie bestialstwo” jakiego dopuszczają się polscy pogranicznicy na „bezbронnych uchodźcach” atakujących polską granicę przy pomocy prymitywnych narzędzi, jak na przykład siekiery, w jakie wyposaża ich ZBiR. Polskie służby bezlitośnie zawracają ich tam skąd przyszli, czyli do Łukaszenki. Nie zdziwiłabym się, gdyby fabułę okraszono scenami masowych mordów dokonanych na „biednych uchodźcach”. Za fikcję i to w dodatku „artystyczną” nikt przecież odpowiedzialności nie poniesie, a przekaz pójdzie w świat. I o to właśnie chodzi!

Baza i nadbudowa

Marks zalecał rewolucyjne przejście „bazy”, czyli wszelkich dóbr materialnych. Gołodupce zatańczą, jak im nowa władza zagra... na nosie i zagna do roboty za półdarmo. Według tej teorii „nadbudową” nazywano kulturę, którą należy zniszczyć do cna, nie przewidując dla niej nawet jakiejś alternatywy, bo po co to komu?

Rosjanie bez trudu dali sobie odebrać, to co tam jeszcze im zostało po carskich rządach. Do nowego „cara”, najpierw Lenina, później Stalina modlili się jak do Boga. Zwycięstwo Związku Sowieckiego w sferze „nadbudowy” było totalne! Ale niestety, też totalna kłapa w gospodarce planowej.

Na Zachodzie trzeba było zacząć od drugiego końca, czyli od „nadbudowy”. Ludzie zbyt mocno byli przywiązani do własności prywatnej, za to mniej do religii, zastępowanej co raz częściej kulturą o coraz niższych lotach, tworzonej przez nieloty. Zalecany przez komunistów „marsz przez instytucje” dał oczekiwane rezultaty. Po wygranej walce z Kościołem, bohomyzy zastąpiły malarstwo, a potem było już z górki. Naukę zastępuje się ideologią o rzekomym ociepleniu klimatu, „pandemii”, czy niezliczonej ilości płci. To wszystko działa!

Pomnik Marksa przed siedzibą Unii Europejskiej, chiński „bezcenny” podarunek, jest widomym znakiem zwycięstwa komunizmu na każdym polu. Europejczycy oddali „nadbudowę” czcząc najpierw złotego cielca, a później przyjmując antykulturę za dobrą monetę. Nie zauważyli przy tym, jak sprytnie została im odbierana „baza”. To co realnie posiadają, to już tylko kredyty do spłacania.

Über alles

Czym różni się prawo niemieckie od polskiego? Czy tym czym węgiel? Wiadomo przecież, że węgiel jest nieekologiczny i niedobry wtedy, kiedy jest polski. Kiedy potrzebują go Niemcy, wówczas staje się nagle dobrym, zielonym i praworządym węglem. W „trosce o klimat” Niemcy postanowili także zniszczyć europejskie rolnictwo. Nie wspominają przy tym, że faktycznie chodzi o sprowadzanie „badziewia”, zwanego żywnością, z Ameryki Południowej, bo ta kupi od Niemców samochody elektryczne, których nikt nie chce.

A co robi niemiecki parlament, kiedy toczy się postępowanie prokuratorskie przeciwko wysokiemu urzędnikowi? Zakazuje procedowania. Proste! Prawo niemieckie dopuszcza też, żeby złodziej zatrzymał ukradzione dobra, bo przecież po wielu latach mógłby się do nich przyzwyczaić, zwłaszcza do tych zrabowanych w Polsce.

Tak jest ze wszystkim w imię zasady: „*Deutschland, Deutschland über alles*”. Spróbujmy wreszcie to zauważyć, póki znowu nie będzie za późno. A może by tak prócz reparacji wojennych zacząć wytaczać rządowi niemieckiemu pozwy prywatne za, zbrodnie wszelakie, których się dopuścili na Polakach? Kara za ludobójstwo się nie przedawnia.

Jeden z...

Jeden z dziesięciu stał się w czasie telewizyjnej kanikuli jedynym programem, który da się oglądać. Prócz dawki wiedzy z różnych dziedzin i dziejów ludzkości, można też zaobserwować taktykę gry, jaką posługują się kandydaci na zwycięzców. Zśród dziesięciu trzeba wykluczyć siedmiu, a później już tylko dwóch konkurentów, żeby zostać laureatem. Zdawać by się mogło, że ci trzej ostatni należą do najlepiej poinformowanych i najszybszych. Niekoniecznie. Praktyczniej jest bowiem wyeliminować z góry najlepszych, zadając im najwięcej pytań. Później w finale, z miernotami łatwiej się uporać.

To dobra taktyka w turnieju, ale czy tylko w nim? Na czym polega konkurencja w wyścigu do upragnionego fotela w firmie, korporacji, polityce? Nie wiem, bo nigdy nie startowałam. Ale można zaobserwować zmiany np. w Spółkach Skarbu Państwa, które za poprzedniego rządu przynosiły straty, a teraz – zyski. Jeden chlubny wyjątek nie stanowi reguły, niestety.

Wyeliminowanie najzdolniejszych najłatwiejsze jest tam, gdzie obowiązują niejasne procedury, takie jak np. w sztuce, w której kanon odszedł do lamusa. I tu znowu wracamy do telewizji. Oglądasz jakiś serial i nic nie rozumiesz. Nie martw się. „Artyści”, którzy go wyprodukowali, też niczego nie rozumeli. Zostali wyłowieni z pozostałych twórców, jako te miernoty nikomu nie zagrażające, nie stanowiące konkurencji. MAŁGORZATA TODD ■

CELEBRITY SYMPHONY ORCHESTRA
DR. ANDRZEJ ROZBICKI



ALL STARS GALA

Honoring Nicolaus Copernicus on his 550th birthday

SATURDAY, NOVEMBER 25TH, 2023, 7:00 PM

LIVING ARTS CENTRE, MISSISSAUGA

*Most beautiful opera arias, duets, popular hits, old and new Polish songs.
All about stars performed by five vocal "Stars" directly from Poland.*



**Hanna
Zajączkiewicz**

**Anna
Bystron**

**Marcin
Jajkiewicz**

**Zdzislaw
Madej**

**Daniel
Vnukowski**

FOR TICKETS CALL LAC or: Pegaz Wisła, Pegaz Starsky 2, Piast Starsky 1

905 306 6000

VISIT: WWW.ROZBICKI.COM



Irytujące *incognito*

Gość w dom, Bóg w dom – mówi stare przysłowie. A nieprawda! Popatrzcie w jakiej formie serwują nam przekaz – z konferencji prasowych – np. telewizje informacyjne. Do słuchania i oglądania. Otóż, na podeście z „sitkami” w ręku stoi dwóch-trzech eleganckich dżentelmenów w drogich garniturach lub dam w wytwornych garsonkach. Przed nimi tłumek. Głosy, które słyszymy, ale nie widzimy. Owi i owe zadają pytania. A to przecież też, tak, jak polityce goście w naszych domach – telewizorach. Jednak kto zacznie wiadomo. Tylko po treści wypowiedzi dziennikarzy można domyśleć się czy to lewicowo-liberalny czy prawicowo-konserwatywny głos.

Przyszli licznie na spotkanie, by dostać informacje z pierwszej ręki. Niestety, traktuje się ich anonimowo. To tylko głosy, pytania mądre lub mniej, ostre i wyraźne lub lizusowate, głośno lub cichutko zadawane. Jak to zaprasza się w dom gości, a potem traktuje *incognito*? Cóż za brak wychowania i szacunku.

Czasem przedstawiają się przy zadawaniu pytania. Ale to za mało – powinniśmy ich nie tylko słyszeć – ale i widzieć. Wystarczy by jedna kamera pokazywała żurnalistów. Są uczestnikami *show*, niech będą w pełni. Przecież nie powinni wstydzić się swoich pytań. Brać na klatę odpowiedzialność. Z zawodowej paki.

Ci na podeście i ci niżej wspólnie tworzą widowisko. Zaproszeni mają pełne prawo głosu. Byle rzeczowo i krótko. Bez gładzenia. Ci, którzy się wystawiają zbierają punkty wyborcze, ci, którzy pytają też podlegają ocenie. Chcemy wiedzieć kto nas reprezentuje.

Wiarygodność dziennikarska to ważna rzecz. Długo się ją zdobywa. I wcale się jej tak łatwo nie traci. Ludzie, jeśli komuś

uwierzą i go polubią będą bronić. Dysponenci zdenerwowani „nieprawidłową” odpowiedzią prowadzącego program często zbyt pochopnie odstawiają go od anteny lub przenoszą w mniej ważne miejsce. Nie pada nawet wyjaśnienie, z jakiego to powodu. Telewizor może tylko się domyślać – czasem się złości, czasem traci wiarę we władzę. Dziennikarz ukarany rozważa: co mu się bardziej oplaca – siedzieć cicho, przecierpieć czy postawić się i zbuntować ryzykując wykluczenie z firmy. Pamiętam jak Jacek Żemantowski, idol w pewnym momencie wykluczony z anteny, powiedział mi: „do pierwszej ligi już się nie wraca”. Zawsze są wy-czekujący na awans. I nie ma ludzi niezastąpionych.

A jednak długotrwałe pokazywanie człowieka i czynienie go w ten sposób popularnym to przecież inwestycja. To w wypadku głównych telewizji koszt milionów złotych. „Świeżutki”, poza anteną, musi się sporo nauczyć, nawet jeśli jest bardzo zdolny.

Często telewizje marnują takich zdolnych obsadzając niewłaściwie. Wyżej... nerek nie podskoczysz. Świadczy o tym chociażby srogość bijąca z twarzy spikerki robiącej w sporcie lub jej kolegów ubranych jak karawaniarze choć tematem dyskusji radość, bo mówią o sporcie.

Długo zastanawiają się pogodynki jak długą sukienkę założyć. Dużo też słów pada na naradach i planowaniach decydentów. Niestety tzw. mądrość zbiorowa często zamienia się w brak decyzji, opóźnia, gdy stanowić trzeba szybko. Programy na żywo są zawsze lepsze i wciągające, montażowe to już widoczna jednak kastracja i ograniczenia cenzuralne. Rzeźbić oczywiście trzeba przy produkcji artystycznej. Gdy przygotowuje się ważny dokument artystyczny lub fabułę. Publicystyka, reportaż bieżący to szybkość przekazu i rzetelność. Tylko prawda jest ciekawa i wyzwoli. Inaczej gość w dom a gospodarze chodu.

Szewińska, Mulak i sport w TVP

Budapeszt. Nabiegali się, naskakali, ale w gruncie rzeczy to się... nie udało. No cóż, bywa. Zaczniemy od wspomnień. Otóż, dawno, dawno temu, gdy jeszcze Brama Krakowska zapinała się na zatrzaśki, a młoda staruszka siedziała na drewnianym kamieniu – wspaniała Pani sportsmenka Irena Kirszenstein-Szewińska zdobyła olimpijski złoty medal i ustanowiła nieosiągalny, jak dotąd przez inne panie, rekord świata na 400 metrów.

Był Wunderteam, był Pan trener Jan Mulak. A teraz można sobie tylko powspominać. Niedawno Zbigniew Rytel zrobił doskonały – moim zdaniem – film o Ryszardzie Szurkowskim. Na kolaudacji żądano jednak zmian. I nagle, bardzo chory po wypadku, nasz wielki kolarz umarł. Ocknął się ówczesny prezes Jacek Kurski i polecił jeszcze tego samego dnia film Rytela emitować. Widzowie wpatrzni w mały ekran zdziwili się, że TVP wyemitowała film dzień po śmierci kolarza.

Teraz nowy prezes TVP, a wcześniej wiceprezes, robi porządek. Widzimy, że odsuwa niektórych dziennikarzy od redakcji sportowej. Oby kontynuował te działania. Pięćdziesięciu dziennikarzy zatrudnia TVP Sport. Dlaczego nie ma filmu np. o Pani Irenie (choć od roku leży tam gotowy scenariusz)? Dlaczego nie ma filmów o miotaczu Rucie, o Sidle, o Krześcińskiej i wielu innych, którzy rozślawili polski sport? Dlaczego? Dlaczego?

TVP ma spore pieniądze, ma przepastne archiwa. Ludzie, którzy nie czują sportu nie powinni go propagować. Trzeba znaleźć, wyszukać i promować następców Tomaszewskiego, Ciszewskiego, Żemantowskiego, Hopfera i im podobnych – zdolnych, telewizyjnych i pracowitych. Może budapesztańska kłeska potrząśnie decydentami od sportu.

W starym pudle – stare pudła

Nie oglądam codziennie TVN. Choć przyznam, że niestety nawet w rodzinie mam zwolenników tegoż medium. No, ale zerknąłem licząc nie tyle na rzetelność informacji co na zobaczenie obrazów „drugiej strony medalu”. I co ja tu widzę. Mordeczki telewizyjne w TVN się postarzały! Wszystkie te najbardziej popularne. Najlepiej jeszcze trzyma się Monika O. Może dlatego, że jest nadal w zagorzałym, permanentnym ataku. Za to ją nawet bym pochwalił, gdyby nie skandaliczne przekroczenie pewnych norm – jak to było z wywiadem z niejaką „profesorką”, która w polskiej, mimo wszystko, telewizji ośmieliła się plunąć nam w twarz, że „Żydzi w cza-

się okupacji bardziej obawiali się Polaków niż Niemców”. Są granice łgarstwa!

Ale wracając do „buziek”. Oczywiście wszyscy się starzejemy. Ładne robi się brzydsze. I już puder nie pomaga. Najgorzej mają ci z naturalną skłonnością do tycia. Gęby pęcznieją i zaczyna koleś wyglądać jak z biura politycznego naszej czerwonej lub „bratniej” partii. Natomiast *lady's* przeraźliwie chudną. I takie zjawisko objawiło mi się nagle w TVN.

Manipulować, a nawet po prostu łeć, i do tego jeszcze „nietelewizyjnie” wyglądać to to już jest za dużo w jednym. Oczywiście najważniejsza jest treść przekazu. Pod dysponenta robią wszyscy

dziennikarze. Choć świecą własną gębą. Ci mądrzejsi powinni pamiętać, że nie wolno przesadzać w agitacji i służalczości, bo ludzie im to zapamiętają. I potem nawet bardzo zdolny koleś się stara, a tu mu ciągle wypominają, że nie zapłacił podatku, albo kpił z prawa jeżdżąc bez prawa jazdy.

A teraz co do gęby. Ona jest w telewizji wystawiona na ostrzał. Czasem dowódcy w partiach bardzo długo nie dostrzegają, że facjata np. ich rzecznika zupełnie nie nadaje się na pokaz. No bo to jest pewna gra. Wygląd ma znaczenie. Może i drugoplanowe, ale ważne.

Wracając do TVN. Tu też wrogiem jest sztampa. Siłą rzeczy nawet dobre pomysły powtarzane jak mantra – znudzą się odbiorcy. Trzeba zmieniać, tak jak pogodynki kiecki. Bużkę się przypudruje, pomaluje. Biust można osadzić na pulpicie stołu w studio. Natomiast przekroczenie dopuszczalnej granicy szczupłej, a raczej chudej, sylwetki to krok ku anoreksji na ekranie. Za tłusto – źle, szkieletowato – jeszcze gorzej. Więc jak?

Łatwe filmy, których nie ma

Latwe filmy, których nie ma, to filmy dokumentalne o naszych wybitnych sportowcach. Jest ogromna ilość materiału zdjęciowego, byłoby to niezwykle entuzjastyczne oglądanie i pożytek patriotyczny. Oczywiście filmy muszą być dobre, jak to się teraz mówi – profesjonalne (np. o Ryszardzie Szurkowskim – Zbigniewa Rytela). A nie ma! *Why!* Do stu tysięcy beczek kartaczy!

Zanikła umiejętność robienia filmowego dokumentu? Na pewno nie jest doceniony. Areopagi krytyków, zatwierdzczy, kołaudantów! Zamykają się szczelnie w tajnych gabinetach i radzą. Wyobrażam sobie, że siedzą tam wyfraczeni podobnie jak uczestnicy pomocowych dyskusji w TV. Rzecz o sporcie – czymś z założenia pogodnym i luzackim. A tu widzę karawaniarzy w smokingach klepiących na ogół komunały, które mogłaby wygłosić babcia pogardliwie zwana moherówką. Bo piłkę nożną oglądamy często, a wiedza techniczna o niej nie jest zbyt skomplikowana. To samo robia, w czasie meczów wbici w garnitury, trenerzy i działacze. Powinni jeszcze przypinać sobie medale, a na pewno tych blaszek mają dużo.

Nie chodzi tylko o medalistów i mistrzów – choć o nich przede wszystkim. Ale tych nieszczęśników sportu, którzy zeszli z aren połamani (dosłownie lub psychicznie) i klepią biedę, jak wzgardzona i zapomniana Agata Wróbel. Ta dzielna kobieta, medalistka, której (i nam) grano hymn narodowy, uprawiająca morderczą dziedzinę sportu, dla „zasłużonych” – wyfraczonych była, skończyła karierę i już nie dawała im właśnie profitów.

Powinien powstać mądry film o zakopiańczyku Wojciechu Fortunie, o wysokich lotach tego odważnego chłopaka, ale i o upadkach młodego człowieka pozostawionego samotnie wśród pijackich pochlebców. Te 111 metrów i cudowne sprawozdanie Bohdana Tomaszewskiego wysłuchałem bladym świtem w hoteliku w Chojnicach w czasie reporterskiej rajzy. Byliśmy wtedy w trójkę – Basia Pietkiewicz i Michał Jaranowski. I była wielka radość o poranku.

□ Od Redakcji

Wspomniany przez red. Stefana Truszczyńskiego kpt. Krzysztof Baranowski musiał zrezygnować z dawno zaplanowanego rejsu przez Atlantyk. Kapitan miał samotnie popłynąć wyremontowanym jachtem Polonez i powtórzyć swój wyczyn sprzed 50. lat, kiedy dokładnie 17 czerwca 1972 roku uczestniczył w transatlantycznych regatach samotnych żeglarzy OSTAR z Plymouth w Wielkiej Brytanii do Newport w Stanach Zjednoczonych. Okazało się, że do planowanego rejsu nie dojdzie. Jak poinformował media kpt. Baranowski, „właściciel jachtu Polonez uznał, że wobec wojny na Ukrainie byłoby nieetyczne i niestosowne zajmować się regatami, skoro tam giną ludzie”.

Naturalnie. Na starość nie ma rady, ale można robić rozszady personalne. Główne telewizje mają dużo odnóży. Te programy mogą być ażym dla zasłużonych. Nie wyrzucać starych, ale odpowiednio zatrudniać.

W Polsce brutalnie potraktowano zasłużoną panią Katarzynę Dowbor. Na pewno przyjmie ją jakaś z licznych stacji. Przebojowa i korpułentna kobieta poradzi sobie. Ale co zrobią wychudzone i smutne? To już taka dola idola. Łaska pańska... Jednak gwiazdy poprzednich pokoleń trwały dłużej. Może były z twardszego materiału, albo też mimo reżimowych stosunków potrafiły skutecznie lawirować. Przejazd przez życie to taki slalom gigant. Można przejechać, ale i wypaść z trasy lub nawet łeb rozwalić. Choć kaski teraz trochę chronią.

Tak więc TVN-nie już nie chudnij, ale i nie tyj zbyt. Popraw się decyzyjnie-programowo. Rozsądni żyją dłużej. Hejt już przy pułapie. Żurnalisto nie idź tą drogą. Bo i tak zawsze winę za porażkę na ciebie zwałą.

A potem usłyszeliśmy, po kilku latach, że mistrz bije żonę. Szok. Ale jako że tylko prawda jest ciekawa – filmy o Wielkich powinny pokazywać także ich upadki.

Czy Wanda Rutkiewicz, Andrzej Zawada doczekają się pełnokrwistych filmów dokumentalnych – takich, jakimi Oni byli. A Kukuczka z całą prawdą o jego śmierci. Właściwie całe pokolenie, w każdym razie ogromna część najwspanialszych wspinaczy polskich zginęła w górach. Kto mógłby sprostać filmowemu wyzwaniu. Powstała średnio-dobra, okrojona fabuła o Marusarzu, dlaczego nie ma filmu o kpt. Baranowskim, o mistrzu fechtunku i architekcie Zabłockim, o Chychle, Kuleju, Pietrzykowskim.

Pamiętam wielu szefów od sportu i po prostu świetnych dziennikarzy sportowych – Macieją Biegę, Tomasza Hopfera, Bohdana Tomaszewskiego, Jacka Żemantowskiego. Już ich nie ma. A dlaczego nie wyrosli nowi? Czy ktoś zazdrośnie blokował kariery? Oczywiście pojawiają się odważne, ciekawe teksty sportowe. Ale media elektroniczne to bryndza. Owszem, transmisje. Tego mamy pod dostatkiem. Ale „dysk olimpijski” już nie wiruje. To za trudne dla smsiarzy i mejlowców. W teleturniejach telewizyjnych zawodnicy rzeczywiście imponują wiedzą. Tyle, że nie o literaturze.

Klepacze klepią prześcigając się w tempie narracji i przerywaniu gościom wypowiedzi. Gdzie tak gonicie? Niech będzie spoko, ale szeroko i głębiej. Czy trzeba kochać sport, żeby go dobrze dziennikarsko eksploatować? Myślę, że wystarczy lubić. Natomiast zupełnie niezbędne są umiejętności. Osobnik utalentowany po prostu ma w sobie magnez, który przyciąga. Pracuć może być doceniony, ale pokochany nie będzie. Dlatego trzeba szukać talentów, ale nie przez układy polityczne i nepotyzm. Szukać muszą mądrzy i doświadczeni. A jest w czym wybierać. W małych redakcjach te połowy się udają. Dlaczego nieskuteczne jest to w redakcjach największych?

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■

W kontekście tak głęboko posuniętego polskiego współodczuwania z sąsiadami zza wschodniej granicy, można być zaskoczonym... jak podchodzą do obecnych wydarzeń ci, których one najbardziej dotyczą. Chcąc nie chcąc pojawiają się pytania: Jak należy traktować prawdziwy wysyp ukraińskojęzycznych ofert turystycznych do przeróżnych krajów Europy i poza nasz kontynent? Jak zrozumieć zabawy młodych i silnych w wieku poborowym, którzy zamiast bronić swojej ojczyzny skorzystali z szeroko otwartych polskich drzwi, podbijają parkiety dyskotek i klubów? Jak wreszcie traktować pijańskie ekscesy, których sprawcami są pijani kierowcy z ukraińskim paszportem? Czy to wszystko „jest etyczne i stosowne”, skoro na terytorium Ukrainy ich bracia i siostry giną w walce...

Akademia Muzyczna im. I.J. Paderewskiego w Poznaniu

Wtorek, 26 września 2023, godz. 18:00

Aula Nova, plac Stefana Stuligrosza 1

WIELKA GALA KONCERTOWA 25-LECIA TOWARZYSTWA IM. HIPOLITA CEGIELSKIEGO

W programie prawykonanie kantaty Aliny Kubik
pt. „Kalejdoskop źródła” do słów Dominika Górnego
stworzonej z okazji 25-lecia Towarzystwa im. H. Cegielskiego
oraz muzyka poważna, filmowa i patriotyczna

Marzena Michałowska sopran

Przemysław Waskowski tenor

Wojciech Kowalski baryton

Maciej Boberek bas

Chór męski „Arion”

Orkiestra Kameralna

Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia

Poznańskie Smyczki

pod dyrekcją Doriana Pawełczaka

Jacek Pawełczak przygotowanie chóru i orkiestry

Klaudia Gałka saksofon sopranowy

Franciszek Puk saksofon altowy

Dominik Górny prowadzenie koncertu

Organizatorzy:

Akademia Muzyczna im. I.J. Paderewskiego w Poznaniu
oraz Towarzystwo im. H. Cegielskiego

Wstęp wolny

Koncert w ramach obchodów 210. rocznicy urodzin Hipolita Cegielskiego i 25-lecia Towarzystwa im. H. Cegielskiego, które odbywają się pod patronatem honorowym:

Cichym bohaterom II wojny światowej

W dniu beatyfikacji Ulmów, 10 września br., Poczta Polska wprowadziła do obiegu walor poświęcony rodzinie Józefa i Wiktorii Ulmów, będącej symbolem heroizmu i poświęcenia Polaków podczas II wojny światowej. To wydawnictwo filatelistyczne jest kolejnym wpisującym się w serię dokumentującą losy cichych bohaterów zamordowanych przez Niemców za pomoc żydowskiej społeczności.

Autorem projektu znaczka jest Jarosław Ochendzan, który w grafice znaczka przedstawił reprodukcję obrazu autorstwa Olega Czyżowskiego ukazującą rodzinę Ulmów w plenerze. Jest to obraz, który został odsłonięty podczas uroczystości beatyfikacyjnej w Markowej. Oprócz znaczka wydano także kopertę pierwszego dnia obiegu (FDC). Znaczek o wartości 3,90 złotych, wydano w nakładzie 120 tys. sztuk.

Proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów rozpoczął się 17 września 2003 roku. Papież Franciszek podpisał 7 grudnia 2022 roku dekret otwierający drogę do ich beatyfikacji. Po raz pierwszy w historii Kościoła, do godności błogosławionych wniešona została cała rodzina.

Podczas II wojny światowej Ulmowie zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, przyjęli pod swój dach rodziny żydowskie. Groziła za to kara śmierci dla całej rodziny. Niemcy ujawnili ukrywanie Żydów, co doprowadziło do zamordowania w 1944 roku całej rodziny. Beatyfikacja Ulmów staje się zatem też ważnym elementem budowania relacji polsko-izraelskich.

Na strychu ich niewielkiego domu schroniły się trzy rodziny: Goldmanów, Grünfeldów i Didnerów. Przez wiele miesięcy zapewniali im dach nad głową oraz wyżywienie, co w czasie wojny było nie lada wyzwaniem. Ich pełna ofiarność postawa miała swój tragiczny finał 24 marca 1944 roku. Wtedy do ich domu wtargnęli Niemcy, którzy w okrutny sposób rozstrzelali ukrywanych Żydów, a następnie na oczach dzieci zamordowano Józefa i Wiktorię. Dopełnieniem tragedii było zabicie dzieci.

Józef i Wiktorii Ulmowie, mając absolutną świadomość ryzyka, poświęcili życie, aby ratować Żydów będących w potrzebie. Ich heroiczna postawa jest świadectwem tego, że miłość jest mocniejsza niż śmierć.



W ubiegłym roku, w ramach honorowania Polaków ratujących Żydów, Poczta Polska wprowadziła do obiegu znaczek przedstawiający Bronisławę i Adama Kowalskich z dziećmi, którzy zostali bestialsko zamordowani przez niemieckich żandarmów za pomoc i ukrywanie Żydów. Oprócz znaczka wydano w limitowanej wersji kopertę FDC, która prezentuje zarys mapy przedstawiającej okolice Ciepłowa, Starego Ciepłowa oraz Rekówki, gdzie rozegrały się tragiczne wydarzenia.

24 marca br. Poczta Polska wydała znaczek upamiętniający rodzinę Baranków. Na grafice przedstawiono wtedy zdjęcie ślubne Wincentego i Łucji Baranków, a także fotografie ukazujące macochę Wincentego Baranka oraz synów rodziny – Henryka i Tadeusza. Znaczek został uzupełniony kopertą pierwszego dnia obiegu (FDC) przedstawiającą dom rodziny Baranków w Siedliskach pod Miechowem oraz datownikiem z dłońmi trzymającymi Gwiazdę Dawida.

Pocztowa Spółka przygotowała również wystawę prezentującą emisje filatelistyczne poświęcone Polakom ratującym Żydów, którą można było oglądać w placówkach pocztowych w Bydgoszczy, Tarnowie, Łodzi oraz Lublinie. Wystawę przygotował Instytut Pamięi Narodowej. W 2021 roku inicjatywa ta odbywała się na pocztach głównych w Warszawie, Katowicach, Krakowie, Poznaniu oraz Gdańsku.

TADEUSZ A. GOLDMANN, PP ■



Wyprawka dla polskiego Orłęcia w Kazachstanie

Już po raz trzeci Instytut Pamięci i Dziedzictwa Kresowego prowadzi akcję „Wyprawka i zabawka dla polskiego Orłęcia w Kazachstanie”. Obecna edycja ma na celu wesprzeć Polaków zamieszkałych w diecezji Almaty, na terenie parafii, które znajdują się pod opieką duszpasterską ks. Szymona Grzywińskiego.

Zamieszkujący w Kazachstanie Polacy są potomkami ofiar komunistycznego reżimu, który dopuścił się masowych wywózek Polaków, w wyniku których tysiące z nich straciło zdrowie, a często życie.

Zebrane pieniądze pozwolą zapewnić tamtejszym polskim dzieciom odpowiednie miejsca i środki do nauki i zabawy.

Akcję patronatem honorowym objął poseł na Sejm RP Grzegorz Braun, który zachę-



ając do włączenia się z darem serca podkreśla: „Władza warszawska w ostatnich latach tak ostentacyjnie i kosztownie rada przychylić nieba przybyszom z różnych stron, różnych narodowości, ale pozostaje to w ogromnej dysproporcji do tego rażą-

cego braku troski o naszych Rodaków, choćby tam w dalekim Kazachstanie... Serdecznie zapraszam do udziału w akcji oraz udostępnienia dalej zrzutki”. Link do zrzutki: www.zrzutka.pl/sxxvt4

Akcję można również wesprzeć bezpośrednio wpłatami na konto Fun-

dacji Konfederacja Gietrzwałdzka (42-200 Częstochowa, ul. Jagiellońska 59/65) – PKO Bank Polski S.A. nr 71 1020 1664 0000 3002 0660 3908; w tytule wpłaty należy wpisać: „Darowizna na cele statutowe – Orłęcia w Kazachstanie”. **ISB ■**

Polakom na Białorusi

W listopadzie będziemy świętować kolejną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Cieszymy się wolnością, żyjemy w pokoju, łatwo jest być u nas Polakiem. Są jednak miejsca gdzie ludzie są dyskryminowani właśnie za to, że są Polakami, widać to zwłaszcza na terenie Białorusi.

Uczcijmy Niepodległość. Wesprzyjmy naszych rodaków, pokażmy, że o nich pamiętamy, dajmy im nadzieję. Fundacja Dunajec – Pomoc Polakom Na Kresach organizuje w listopadzie transport

darów dedykowany Polakom żyjącym na Białorusi.

Zbieramy żywność z długim terminem ważności, artykuły dziecięce, środki czystości, a także pieniądze na transport i pomoc finansową. Konto Fundacji: Pieniński Bank Spółdzielczy, nr 70 8817 0000 0209 0801 2000 0010. Zbiórka trwa do 15 listopada 2023 roku.

Zapraszamy do wsparcia, współpracy, wspólnej pracy... W ramach swoich działań statutowych Fundacja Dunajec organizuje wydarzenia charytatywne i akcje pomoco-

we, prowadzi zbiórki finansowe i rzeczowe, organizuje transport najpotrzebniejszych rzeczy dla Polaków mieszkających na Wschodzie, finansuje kolonie dla dzieci z najuboższych rodzin, pomaga w remontach szkół i wiele innych. Sukces naszych działań to realna pomoc niesiona najbardziej potrzebującym.



ZBIGNIEW KONOPKA ■

Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza młodzież szkolną oraz opiekunów merytorycznych – nauczycieli do udziału w VI ogólnopolskim projekcie edukacyjnym „Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku”.

Celem konkursu jest popularyzowanie wiedzy o historii polskich Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej wśród młodzieży. Jednym z najważniejszych aspektów projektu jest uwrażliwianie uczestników na los Polaków mieszkających za naszą obecną wschodnią granicą, kształtowanie świadomości, że nadal są oni częścią naszej Ojczyzny.

Uczestnikom projektu proponujemy udział w sesjach naukowo-edukacyjnych i spotkaniach warsztatowych, w czasie których będą odbywać się wykłady lub pokazy filmów.

Najważniejszą częścią projektu jest konkurs. Zadaniem uczestników będzie przygo-



totowanie pracy pisemnej lub multimedialnej na wybrany przez siebie temat – na podstawie dostępnej literatury, zgromadzonych dokumentów, wspomnień i materiału ikonograficznego. Dla laureatów etapu centralnego przewidziana jest nagroda w postaci wyjazdu edukacyjnego na Kresy.

„Nie jesteśmy w stanie zmienić biegu historii, ale możemy ją wspólnie

udokumentować dla obecnych i przyszłych pokoleń. W ten sposób damy choć trochę satysfakcji tym naszym rodakom, którzy pomimo bolesnych wyroków historii wciąż trwają na swym kresowym posterunku” – podkreśla organizator. – Udział w projekcie

na pewno pomoże owocniej kształcić i wychowywać naszą młodzież. A i nam samym da poczucie, że wobec Ojczyzny i jej spraw nie byliśmy obojętni – czytamy w regulaminie.

Szczegóły projektu na stronie internetowej: edukacja.ipn.gov.pl. Zgłoszenia szkół do udziału w projekcie przyjmowane są do 30 listopada 2023 roku. **AS, IPN ■**

MCC MAZURKAS
CONFERENCE CENTRE & HOTEL****

To tutaj spotyka się biznes

Doskonała lokalizacja,
3500 m² pow. konferencyjnej,
35 sal konferencyjno-bankietowych,
największa sala na **1000 osób,**
158 pokoi dwuosobowych
oraz wielofunkcyjny charakter
przestrzeni konferencyjno-hotelowej czynią
z **MCC Mazurkas Conference Centre & Hotel******
doskonałe miejsce do organizacji kongresów,
konferencji, bankietów, wydarzeń firmowych,
targów, szkoleń, koncertów.

WWW.MAZURKASHOTEL.PL



360° MAZURKAS
CATERING

WWW.CATERING.MAZURKAS.PL

Catering w całej Polsce



